FERDYNAND KURAS

PRZEZ CIERNIE ŻYWOTA.

Tom II.

Przeżycia osobiste

i

wspomnienia od wybuchu wielkiej wojny 1914 do 1928 roku.

Cz. II pamiętnika Ferdynanda Kurasia (nie drukowana) przepisał z brulionu Michał Marczak; brulion uległ zagładzie w r. 1944 w warszawskim mieszkaniu Marczaka. Kopię tę otrzymałem od M. Marczaka i składam ją w Bibliotece Jagiel.

1 IX 1955 r.

St. Pigoń

1

Wstęp

W słowie wstępnym części pierwszej mych wspomnień przyobiecałem - „jak Bóg da" - opowiedzieć ciąg dalszy koleismegp życia. Opisywanie osobistych przeżyć takimi, jakimi one w rzeczywistości były, bez przybierania pozy, opisywanie wolne od choćby najmniejszej fantazji, to doprawdy do przyjemności autorskiej nie należy. Częstokroć trudno powstrzymać się od skargi na krzywdę, ciężko stłumić jęk, gdy coś zaboli.

A jednak dotrzymać obietnicy trzeba. Więc zmusiłem się do pisania, a to tymbardziej, że ponoś rzadkimi są wypadki, by nędzarny prostak pisał historię własnych przeżyć. Prawda, nie brak w literaturze opisów życia nędzarzy, tworzyła je jednak obca myśl, nie zdolna wczuć się w istotę rzeczywistości, więc takie opisy z pod cudzego pióra w każdym wypadku są nierealne.

Dalej, nie małą było dla mnie podnietą do kontynuowania opowieści owe serdeczne przyjęcie, z jakim w szerokich kołach czytelników spotkała się część pierwsza opisu mych przejść przez ciernie żywota.

Słabiutka jest już nić mego życia, tego biednego życia, w które coraz to straszliwsze gromy z dopuszczenia Bożego biły - i nie zabiły. Jeżeli więc łaska Stwórcy użyczy mi jeszcze parę latek istnienia na ziemi i potrzebnych sił, starał się będę dać ziomkom wykończony obraz bytowania polskiego nędzarza ; jeśli zaś wcześniej moje utrudzone kości spoczną w mogile - proszę rodaków o dobre wspomnienie.

F. K.

I.

I s z c z ą s i ę p r z e p o w i e d n i e - I n w a z j a r o s y j s k a. - D z i k ó w p l a c ó w k ą h u m a n i t a r n ą. - S p o s t r z e ż e n i a. - B o m b a r d o w a n i e.

Więc to już wojna ! Wojna między ciemiężcami polskiego narodu. Wojna, o którą w „Litanii pielgrzymstwa" modlił się Mickiewicz : „O wojnę powszechną za wolność ludów - prosimy Cię, Panie!"

Iszczą się przepowiednie wieszczów naszych ; po stuletniej nocy niewoli świta udręczonej Ojczyźnie dzień zmartwychwstania.

Rozlegał się wprawdzie płacz i lament matek, żon i dzieci, którym brutalna ręka zaborcy wydarła i na niepewny, krwawy los pognała synów, mężów i ojców, ale w podobnych dziejowych wypadkach mało komu jest danem losu tego uniknąć.

Między narodem wielu było naiwnych, co to wierzyli rozpuszczanym świadomie przez rządowych pupilów pogłoskom, że wojna trwać będzie trzy miesiące ; drudzy przeczuwali, że zawierucha ta potrwa lat parę i z lękiem patrzyli w niepewną przyszłość, a jeszcze inni - najlepsza cząstka narodu - pragnęli jak najdłuższego trwania wojny, w zupełnym bowiem osłabieniu walczących z sobą zaborców upatrywali jedyną nadzieję odzyskania wolności, za którą kilka pokoleń walczyło, w krwawym polu padało, w turmach gniło, na szubienicach konało, w tajgach sybirskich marło.

I byliśmy świadomi bierpień, jakie w zgliszczach chat naszych, w głodzie, w chorobach, w pokłosiu śmierci i we wszelakich udrękach nieuchronnie nawiedzić nas miały. Wszystko to atoli znieść byliśmy gotowi, byle cierpieniami tymi wolność swą naród okupił.

„Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie ...
Jedno wiem tylko : sprawiedliwość będzie ;
Jedno wiem tylko : Polska zmartwychwstanie ;
Jedno wiem tylko : na dziejów przestrzeni
Grób nasz nam w życia gmach się przepromieni ".

Tak wieścił Krasiński. Ale nietylko wielcy poeci głosili to

zmartwychwstanie. Przeczuwali i przepowiadali je także prostaczkowie: robotnicy z fabryk, hut i kopalń, oraz chłopi od pługa. Tylko że oni, nie posiadając nauk, nie umieli myśli swych ubrać w wyszukaną formę, oraz że byli zmuszeni każdy dzień życia w znojnym wieść trudzie, więc - jak to zwykle bywa - poszli w zapomnienie.

We wsi Grębowie tarnobrzeskiego powiatu żyje sobie najzwyklejszy w świecie chłopina, na paru morgach piasku gospodarz, Wincenty Motas, który w ładnych, niewyszukanych piosenkach głosił cześć Ojczyzny. Mam pod ręką jeden z Motasowych wierszy, pisany w r. 1894 - więc równo 20 lat przed wybuchem wielkiej wojny - i nie mogę się powstrzymać, by chociaż w skróceniu nie przytoczyć tego serdecznego utworu nieuczonego brata, który tak pięknie czuć i kochać po polsku umiał. Utwór ten to jeden z wielu dokumentów świadczący, jak głęboko chłop polski wierzył, „że ojczyzna jego nazad się powróci".

„Stara nasza Wisła przez kraj polski płynie,
W nurtach się odzywa, że Polska nie zginie.
Chociaż tak upadła, Bóg o niej pamięta.
Że Polska nie zginie, jest to prawda święta ...
Bóg trzyma świat cały, żywioł w nim wszelaki,
A miałby zagubić biedne te Polaki ?
On o nich pamięta, chociaż zagniewany,
Przyjdzie czas, co zrzuci niewoli kajdany ...
To przepowiadają wszystkie nasze drzewa ;
Że Polska nie zginie - ptaszek nawet śpiewa,
Gdy w wiosennej porze w powietrze się wzbije,
Wtenczas sobie śpiewa : Niechaj Polska żyje !
Ogłaszają góry, mówią i doliny,
Że Polska doczeka wesołej nowiny ...
I Polak też sobie taką piosnkę nuci,
Że ojczyzna jego nazad się powróci.
Najmilsze mu śpiewać tylko to jedynie :
Polska nie zginęła i nigdy nie zginie !"

Bitym traktem w kierunku północnym ciągnęły przez Tarnobrzeg nieprzeliczone szeregi austriackich wojsk z działami, strzeliwem, kuchniami polowymi i przeróżnymi furgonami. Ciągnęły dniem i nocą i zdawało się, że pochodom tym końca niema. Armia ta wkroczyła w granice byłej Kongresówki, wojska zaś rosyjskie cofały się w głąb.

Popoli ludzie z obydwu stron Wisły, z początku nieśmiało, potem już coraz śmielej, poczęli przekraczać granicę zaborów. Pewnej niedzieli wybrałem się i ja z gromadką znajomych na tamtą stronę, do

Koprzywnicy. Jakiego uczucia doznałem, jaka radość i duma pierś mi rozpierała, skoro oparłszy stopę na drugim brzegu Wisły, uprzytomniłem sobie, że pierwszy raz w życiu bez paszportu i bez żadnych przeszkód idę do braci „Królewiaków" - trudno wysłowić. Niestety, ludzie tamtejsi, którym radbym był rzucić się w objęcia, poglądali na nas z wyraźną nieufnością, prawie z niechęcią. Nic dziwnego ; wiekowa niewola zrobiła swoje.

Wreszcie dobry Bóg dozwolił mi dożyć chwili oglądania owych wymarzonych, prawdziwych polskich żołnierzy-legionistów z formacji brygadiera Józefa Piłsudskiego. Daleki od roztrząsania koncepcyj politycznych różnych naszych, wiecznie się z sobą swarzących ugrupowań partyjnych, błogosławiłem tę radość oczu moich.

A skoro po niewielu dniach pozornej ciszy dochodzić nas poczęły bitewne odgłosy, wówczas wymknął się mi z pod pióra ten wierszyk :

Na naszej ziemi ozwały się grzmoty
Setnych wystrzałów i żelaza szczęk,
Sen Polski iścić poczyna się złoty,
Serce ciemiężcy nagły przejął lęk.
    Jak wątłą łodzią fala niespokojna,
    Tak dzisiaj światem wstrząsa okrzyk : Wojna !
Wojna ! Ach, ileż w tym słowie się mieści
Krwi i pożarów, cierpienia i łez, -
Lecz ducha Polski nie trwożą te wieści,
Niewoli naszej niesie ona kres !
    Za krwi męczeńskiej wytoczone morze
    Sądy nad zbrodnią już widzimy Boże.
Długo ważyła się Pańska cierpliwość,
Długo krzywd Polski nie doceniał świat,
Dziś oto w grzmotach idzie Sprawiedliwość
Z księgą wyroków za zbrodnie stu lat.
    Władza zaborców, na gwałcie oparta,
    Za krzywdy nasze runie, na proch starta.
Wyleć nasz Orle, wyleć Orle Biały !
Skrzydeł łopotem mnogie hufce budź,
Do wielkich czynów na okopy chwały
Prowadź lud polski, prowadź dzielną młódź !
    Niech całym światem lęk wstrząsa i trwoga,
    My po zwycięstwo idźmy w imię Boga !

Z terenu wojny początkowo głucho, skądś daleko, potem stopniowo coraz bliżej i coraz głośniej odgłosy grzmotów armatnich płynęły na sandomierską nizinę, gdzie rozłożył się powiat tarnobrzeski. W miarę potężniejącego huku dział niepokój głuchy ogarniać począł ludność cywilną wsi i miasteczka ; obaw tych wszakże, zdawało się, nie podzielały władze rządowe i żandarmeria, starające się wpływać uspo -

kajająco na ludność, zdenerwowaną niepewnością położenia. Ale skoro było już publiczną tajemnicą, że armia austriacka, poprzedzana łańcuchem podwód, wycofuje się z placu boju, naraz ulotnili się urzędnicy starostwa, sądu powiatowego, urzędu podatkowego, żandarmeria, straż skarbowa, wreszcie urzędnicy wydziału powiatowego i większość inteligencji wolnych zawodów.

Ucieczka ta dokonała się nadzwyczaj szybko i cicho. Cała machina biurokratyczna stanęła ; archiwa i akta urzędowe pozostawiono własnemu losowi. Tylko przezorniejsi uciekinierzy wcześniej poukrywali swe wartościowe ruchomości, powierzając je opiece pozostawionej w domu służby.

Śladem urzędników poszli także okoliczni obywatele ziemscy z wyjątkiem właściciela rozległego klucza dzikowskiego, Zdzisława hr. Tarnowskiego, który jedynie dzieci swe do Wiednia wyprawiwszy, z żoną i większą częścią swych oficjalistów na miejscu pozostał.

Jakkolwiek siłą rzeczy przerwać się musiał tok mojej codziennej czynności w Wydziale Powiatowym, w którym jedynie stróż Antoni Rutyna na straży powierzonego mu mienia pozostał, przecież codziennie zachodziłem do biura, by załatwiać przygodne sprawy.

Rankiem 15 września zauważyliśmy zbliżający się nieśmiało od strony lasu, Zwierzyńcem zwanego, rosyjski patrol, a w parę pacierzy później miałem już na podwórzu mego osiedla uzbrojonych w długie piki konnych kozaków, dopytujących się o „awstryjcow", pomstujących na wysokie w Galicji podatki i zachwalających rosyjskie rządy.

Nad wieczorem zalały Tarnobrzeg wojska rosyjskie, a pierwszą czynnością sołdatów było rozbijanie sklepów i masowe wyrzucanie z nich towarów na ulicę.

Z chwilą najazdu Rosjan położenie ludności w okolicy stało się ciężkie. Luźne watahy pijanego żołdactwa rozlały się po wsiach, niepokojąc wystraszonych mieszkańców. Nowe szeregi wojsk od strony Sandomierza ciągle napływały, a zawadzając o stojące tuż przy trakcie gorzelnie, zakrapiały się obficie wódką, by, rozkwaterowawszy się po chałupach, dopuszczać się niepoczytalnych wybryków.

Dnia 23 września zaleciał nas od strony maszerujących traktem wojsk ostry opar okowity, mimo że szosa, którą wojsko to maszerowało, oddalona była od mego osiedla kilkaset kroków. Łamaliśmy głowę, coby to miało znaczyć - czyżby się wojsko skąpało w wódce ? Dopiero nieco później przyczyna się wyjaśniła. Oto starszy z dowodzących oficerów, nie mogąc powstrzymać rwących się do gorzelni żołnierzy, by bodaj paroma łykami wódki spieczone gardła odwilżyć, rozkazał był z kadzi i beczek w gorzelni na pobliskim Wymysłowie wylać wódkę do przydrożnego rowu. Płynęła więc wódka rzęką w ścisłym tego słowa znaczeniu, nasycając daleko powietrze dławiącym zapachem. Odtąd już rzadziej spotykało się pijanego sołdata i wybryki zmalały.

Wkrótce po wkroczeniu wojsk rosyjskich u części okolicznej ludności zbudziła się uśpiona dzikość instynktów, o czym z uczuciem niesmaku i rumieńcem wstydu li tylko z obowiązku pamiętnikarskiego wspominam. Oto do zalanego rozhukanym żołdactwem i splądrowanego Tarnobrzega ludność obojga płci i różnego wieku z okolicznych wsi ciągnęła całymi procesjami, a obładowawszy się do niemożliwości wszelkimi, powyrzucanymi przez sołdatów ze sklepów towarami, utykając i uginając się pod ciężarem tobołów, wlokła się z tym łupem do domów.

Prawda, że na wsi bieda była duża i w dodatku brakło wówczas w domach powołanych na wojnę żywicieli, ale wszystko to niczym nie uprawniało do przywłaszczenia sobie nieswoich rzeczy, choćby i zgnić na ulicy miały. Czyż na to codziennie przez życie całe wymawiać będziemy siódme w dziesięciorgu przykazań, danych Mojżeszowi na górze Synaj, by nigdy przestrzegane nie było ?

Choć wychodzenie z domu bezpiecznym wtedy nie było, wałęsające się bowiem grupami po osiedlach żołdactwo niepokoiło mieszkańców, przecież nie mogąc oprzeć się ciekawości oglądania na własne oczy gospodarki sołdatów, poszedłem pewnego dnia na miasto.

Przepuszczony zostałem bez żadnych przeszkód. Miasteczko jakby wymarło. Ani jednego żyda na ulicy, ani nikogo z miejscowej inteligencji. Przed porozbijanymi i splądrowanymi sklepami walały się porozrzucane stosy najprzeróżniejszych towarów, przeważnie łokciowych.

Sołdaty, którym za przewodników służyły osobniki z podmiejskich mętów, wałęsali się wśród ulic w poszukiwaniu nowych zdobyczy... Do - znałem wrażenia, jakbym się znalazł na rozkopanym cmentarzu, po którym snują się ponure szakale, to też z największą odrazą zawróciłem szybko do domu.

Ale jak łatwy był wstęp do miasta, tak trudne było wyjście. Wychodzących rewidowali sołdaci, rabując im pieniądze i wartościowe drobiazgi. Ja ciekawość swą przypłaciłem utratą zegarka i nieznacznym poturbowaniem.

Po krótko trwającej ciszy i pozornym spokoju znów na trakcie jakoteż bocznych drogach wzmógł się ruch wojsk i furgonów, raz w tę, raz w tamtą posuwających się stronę, co przy towarzyszącym ruchowi temu głośnym huku dział wskazywało, że w niezbyt odległej okolicy ważą się losy bitwy, a ze zdenerwowania sołdatów łatwo wyczuć się dało, że pozycja ich tutaj nie bardzo pewna. Przypuszczenie to nabrało znamion pew - ności, skoro w dniu 2 października hr. Zdzisława Tarnowskiego wywieźli Moskale do Lublina.

Chociaż rozpolitykowana okoliczna ludność niezbyt przychylnie do domu hr. Tarnowskich była się odnosiła, przecież na wieść o wywie - zieniu hrabiego smutek i żal wszystkich ogarnął. W tej bowiem wojennej zawierusze, opuszczeniu, niepewności jutra i ogólnej niedoli dwór w Dzikowie był ośrodkiem, gdzie najbardziej potrzebujący niejednokrotnie doznawali pomocy.

Nareszcie szala walki przechyliła się na korzyść Austriaków, którzy też nad ranem 6 października wkroczyli do Tarnobrzega, a za wojskami tymi wtłoczyła się powrotna fala miejscowych uciekinierów.

Było też między tymi powrotnymi, co to sami nad sobą dobrowolnej ewakuacji dokonali, dużo narzekań, lamentów, złorzeczeń i przekleństw, skoro mieszkania swe zastali w stanie zupełnego splądrowania. Ale kogo właściwie odpowiedzialnym za szkody te czynić mieli ? Chyba że Pana Boga, którego opatrzności mienie powierzyli, sami zaś, przez nikogo nie zmuszani, na pierwszy odgłos armatniego pukania zamknąwszy oczy, gnali na oślep przed siebie, dokąd chyżość nóg poniosła.

Wśród tej powrotnej fali przeważali urzędnicy, którzy po przykrym doświadczeniu z wielką już rezerwą przyjmowali zapewnienia wojskowych dowódców o niepokonalnej sile austriackiej armii.

Urzędy więc na nowo rozpoczęły swe czynności, ale - z wyjątkiem starostwa, które nadmiarem gorączkowej pracy było przeciążone - ot tak dla zwykłej formalności, dla oka tylko, dużo bowiem ksiąg i aktów, z którymi bieżące sprawy urzędowe były związane, uległo podczas inwazji zniszczeniu. Pozatym wobec groźby ponownego najazdu Moskali nikt o prawidłowym urzędowaniu nie myślał.

Poczęto więc przezornie pozostałe akta i księgi w przygotowane skrzynie ładować, by je do Wiednia lub w inne bezpieczne wywieźć miejsce. Bo pierwsza nieprzezorność - dodajmy i wielkooczna strachajłość - tarnobrzeskiej urzędniczej inteligencji pod niejednym względem fatalne miała następstwa, co przykładami poprę.

Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny „Sokół" tarnobrzeski obchodził z wielką pompą i fanfaronadą uroczystość poświęcenia własnego sztandaru, połączoną z wbijaniem w drzewce pamiątkowych gwoździ. Jeszcze na parę dni przed wkroczeniem Rosjan do Tarnobrzega członkowie zarządu „Sokoła", zdawszy całe mienie Towarzystwa / a więc i wspomniany sztandar / opiece żony powołanego na wojnę swego kursora, wystraszeni odgłosem odległego armatniego huku za Wisłą i przejęci trwogą wkroczenia Moskali, zwiali z miasta. I przyszli później Moskale, a zająwszy opuszczony gmach „Sokoła", sztandar ów „zarekwirowali" i do stolicy państwa carów jako trofeum wojenne między innymi zdobyczami Wywieźli.

W gmachu Wydziału tarnobrzeskiej Rady Powiatowej mieściło się powiatowe muzeum imienia zasłużonego, długoletniego prezesa tejże Rady, Zbigniewa Horodyńskiego, powstałe dzięki inicjatywie i moralnemu poparciu b. starosty tarnobrzeskiego, Eugeniusza Swobody. Muzeum to zawierało wiele cennych przedmiotów, jak : kilkanaście oryginalnych, ciekawej treści kwitów, pisanych przez dowódców w wojnie narodowej 1809 r.; stare pisane kroniki, autograf J. I. Kraszewskiego ; duży, prymitywnej roboty, wielce oryginalny kolczyk złoty, niewiadomo,

z której epoki pochodzący ; urny, żalniki i inne ciekawe wykopaliska ; bogatą kolekcję dawnych monet i t.d., i t.d.

Gdyby mię byli kierownicy ostrzegli, że Moskale prą naprzód, a oni sami uchodzić będą, przedmioty owe byłbym do swego domu przeniósł i ukrył. Niestety, panowie ci uciekli cicho, zabezpieczając przed zagładą jedynie swoją prywatną własność. To też skoro po niespodzianym wkroczeniu do miasta wojsk rosyjskich, nie zważając na mogące mi grozić ze strony sołdatów nieprzyjemności, wpadłem do gmachu Rady Powiatowej, w całym muzeum zastałem przeraźliwą pustkę, a tylko kilka na drobne okruchy startych butami czerepów z rozbitych urn na podłodze się walało.

Triumf austriackiej broni był krótkotrwały, bo już w miesiąc później 6 listopada Moskale znów opanowali Tarnobrzeg. Musieli też Austriacy rączo zmykać, skoro zamagazynowane przez nich w gmachu sądu powiatowego wielkie ilości do worów zsypanego i do wywozu przygotowanego zboża, w szczególności pszenicy oraz sucharów, nietknięte na łup Moskali zostawili.

Dziesiątego listopada hr. Tarnowski wrócił wolny do Dzikowa.

Nie będę się kusił na zobrazowanie przebiegu działań wojennych, jakie miały miejsce na terenie powiatu, i klęsk, jakie na ludność spadły. Wytknąwszy sobie bowiem za główny cel skreślenie li tylko osobistych przeżyć, nie chciałbym od przedmiotu zbytnio odbiegać. Zresztą ważyć się na opis dziejów wojny, chociażby tylko na terytorium miasteczka i kilku przyległych wiosek - byłby dla takiego jak ja ułomka rzeczą zbyt śmiałą. Niech się w was przeto, moi czytelnicy, daremna ciekawość na senzację nie budzi.

Nie mogę przecież pominąć milczeniem akcji dzikowskiego zamku, w którym dotknięta wypadkami wojennymi ludność okoliczna pomoc w potrzebie znajdywała. Opiszę ją pokrótce z tej strony, na którą sam patrzyłem.

Po pierwszej inwazji hr. Zdzisławowa Tarnowska przekonawszy się, że wrazie dłuższego trwania wojny może braknąć najniezbędniejszych artykułów życia, jęła czynić zakupy na dłuższą metę na potrzeby zamku. Rząd austriacki dostarczył na ręce hrabiny większą kwotę pieniężną na rzecz potrzebującej ludności, za które to pieniądze nabyte zo -

z której epoki pochodzący ; urny, ślniki i inne ciekawe wykopaliska ; bogata kolekcja dawnych monet i t.d., i t.d.

Gdyby mię byli kierownicy ostrzegli, że Moskale prą naprzód, a oni sami uchodzić będą, przedmioty owe byłbym do swego domu przeniósł i ukrył. Niestety, panowie ci uciekli cicho, zabezpieczając przed zagładą jedynie swoją prywatną własność. To też skoro po niespodzianym wkroczeniu do miasta wojsk rosyjskich, nie zważając na mogące mi grozić ze strony soldatów nieprzyjemności, wpadłem do gmachu Rady Powiatowej, w całym muzeum zastałem przeraźliwą pustkę, a tylko kilka na drobne okruchy startych butami czerepów z rozbitych urn na podłodze się walało.

Triumf austriackiej broni był krótkotrwały, bo już w miesiąc później 6 listopada Moskale znów opanowali Tarnobrzeg. Musieli też Austriacy rącze zmykać, skoro zamagazynowane przez nich w gmachu sądu powiatowego wielkie ilości do worów zsypanego i do wywozu przygotowanego zboża, w szczególności pszenicy oraz sucharów, nietknięte na łup Moskali zostawili.

Dziesiątego listopada hr. Tarnowski wrócił wolny do Dzikowa.

Nie będę się kusił na zobrazowanie przebiegu działań wojennych, jakie miały miejsce na terenie powiatu, i klęsk, jakie na ludność spadły. Wytknąwszy sobie bowiem za główny cel skreślenie li tylko osobistych przeżyć, nie chciałbym od przedmiotu zbytnio odbiegać. Zresztą ważyć się na opis dziejów wojny, choćby tylko na terytorium miasteczka i kilku przyległych wiosek - byłby dla takiego jak ja ukomka rzeczą zbyt śmiałą. Niech się w was przeto, moi czytelnicy, daremna ciekawość na sensacje nie budzi.

Nie mogę przecież pominąć milczeniem akcji dzikowskiego zamku, w którym dotknięta wypadkami wojennymi ludność okoliczna pomoc w potrzebie znajdywała. Opiszę ją pokrótce z tej strony, na którą sam patrzyłem.

Po pierwszej inwazji hr. Zdzisławowa Tarnowska przekonawszy się, że w razie dłuższego trwania wojny może braknąć najniezbędniejszych artykułów życia, jęła czynić zakupy na dłuższą metę na potrzeby zamku. Rząd austriacki dostarczył na ręce hrabiny większą kwotę pieniężna na rzecz potrzebującej ludności, za które to pieniądze nabyte zo -

stały w większej ilości zapasy soli, nafty, zapałek, mydła. Dla potrzeb zaś urządzonego w zamku szpitala Czerwonego Krzyża dostarczył magazyn wojskowy pewną ilość mąki, kaszy, tłuszczów i t.p. Hrabina zaczęła więc odsprzedawać z końcem października ludności zapasy po cenie własnych kosztów. Ludność nietylko miejscowa, ale i zza Wisły gromadnie ciągnęła do zamku po zakupy.

To też pani zamku i bawiąca podówczas w Dzikowie hr. Adamowa Tarnowska, jakoteż zamkowy bibliotekarz Michał Marczak mieli dość roboty przy obsługiwaniu całych procesyj interesantów.

Kiedy po raz wtóry wkroczyli Moskale, zamek odcięty został od źródeł uzupełniania zapasów, ale sprzedawano dalej, co jeszcze starczyło. Sprzedażą tą zajęty był teraz już sam Marczak, bowiem hr. Adamowa oddała się na usługi chorych w zakaźnym szpitalu, mieszczącym się w budynku tarnobrzeskiej szkoły ludowej. W szpitalu tym niegodziwcy Austriacy zostawili około 80 żołnierzy, dotkniętych chorobą cholery, duru i dyzenterii i nic o tym nikomu nie mówiąc, umknęli. Dowiedziano się o nich przypadkiem dopiero po tygodniu, gdy już mnóstwo tych nieszczęśników umarło tak, że żywi przez parę dni z trupami leżeli. Mieszczącym się w zamku szpitalem Czerwonego Krzyża zajęła się hr. Zdzisławowa ; pomocy lekarskiej udzielał niestrudzenie dyrektor tarnobrzeskiego szpitala powszechnego dr. Ryszard Urbanik, a później jego asystent dr. Jan Chruściel, rodak trześniowski.

Dla ludności - zwłaszcza dla żyjących z pensji rodzin urzędniczych - ciężkie nastały czasy. Również dla żydów były to chwile niewesołe, bo handel ustał. Na szczęście o działalności dzikowskiego zamku dowiedział się warszawski Komitet Obywatelski, instytucja polska wojenna, mająca za zadanie nieść pomoc unieszczęśliwionej wojną ludności, i utworzył w tymże zamku swoją placówkę na kilka najbliższych powiatów. Nadesłano więc do zamku pieniądze, a następnie jęto dostarczać z Lublina wagonowo mąkę, krupy i t.p. do rozdziału między ludność. Potem i lwowski Komitet nadesłał na ręce tegoż zamku kilka tysięcy rubli.

Można więc było hojnie świadczyć ludziom z całego powiatu tar-

stęży w większej ilości zapasy soli, nafty, zapałek, mydła. Dla po - trzeb zaś urządzonego w zamku szpitala Czerwonego Krzyża dostarczył magazyn wojskowy pewną ilość mąki, kaszy, tłuszczów i t.p. Hrabina zaczęła więc odsprzedawać z końcem pazdziernika ludności zapasy po cenie własnych kosztów. Ludność nietylko miejscowa, ale i zza Wisły gromadnie ciągnęła do zamku po zakupy.

To też pani zamku i bawiąca podówczas w Dzikowie hr. Adamowa Tarnowska, jakoteż zamkowy bibliotekarz Michał Marczak mieli dość ro- boty przy obsługiwaniu całych procesyj interesantów.

Kiedy po raz wtóry wkroczyli Moskale, zamek odcięty został od źródeł uzupełniania zapasów, ale sprzedawano dalej, co jeszcze star - czyło. Sprzedażą tą zajęty był teraz już sam Marczak, bowiem hr. Ada- mowa oddała się na usługi chorych w zakaźnym szpitalu, mieszczącym się w budynku tarnobrzeskiej szkoły ludowej. W szpitalu tym niegodzi- wcy Austriacy zostawili około 80 żołnierzy, dotkniętych chorobą cho - lery, duru i dyzenterii i nic o tym nikomu nie mówiąc, umknęli.Dowie- dziano się o nich przypadkiem dopiero po tygodniu, gdy już mnóstwo tych nieszczęśników umarło tak, że żywi przez parę dni z trupami le - żeli. Mieszczącym się w zamku szpitalem Czerwonego Krzyża zajęła się hr. Zdzisławowa ; pomocy lekarskiej udzielał niestrudzenie dyrektor tarnobrzeskiego szpitala powszechnego dr. Ryszard Urbanik, a później jego asystent dr. Jan Chruściel, rodak trześniowski.

Dla ludności - zwłaszcza dla żyjących z pensyj tudzież urzęd - niczych - ciężkie nastały czasy. Również dla żydów były to chwile nie- wesołe, bo handel ustał. Na szczęście o działalności dzikowskiego zam- ku dowiedział się warszawski Komitet Obywatelski, instytucja polska wojenna, mająca za zadanie nieść pomoc unieszczęśliwionej wojną lud - ności, i utworzył w tymże zamku swoją placówkę na kilka najbliższych powiatów. Nadesłano więc do zamku pieniądze, a następnie jęto dostar- czać z Lublina wagonowo mąkę, krupy i t.p. do rozdziału między lud - ność. Potem i lwowski Komitet nadesłał na ręce tegoż zamku kilka ty - sięcy rubli.

Można więc było hojnie świadczyć ludziom z całego powiatu tar- ku. [illegible]

[illegible]

nobrzeskiego, kolbuszowskiego, mieleckiggo, niżanskiego, częściowo nawet ropczyckiego.

Ponadto hrabia otworzył w swm zamku, później w mieście, jadłodajnię koszerną dla ludności żydowskiej, ziemniaki i opał dając od siebie, inne zaś artykuły z nadsyłanych transportów.

W grudniu otwarto nawet w budynku zarządu dóbr dzikowskich szkołę dla dzieci z Dzikowa i Tarnobrzega, by je godziwie zatrudnić i uchronić przed demoralizacją. Szkółka ta istniała do połowy maja następnego 1915-go roku. Prowadził ją po trzy godziny dziennie wspomniany bibliotekarz Marczak, ucząc wedle programu czterech klas ludowych czytania, pisania, rachunków, śpiewu. Deklamowano, opowiadano, uczono się historii Polski, czytano wspólnie sienkiewiczowską trylogię, ballady Mickiewicza. Przez dwa pierwsze miesiące pomagała Marczakowi nauczycielka Janina Czeppowa. Nauki religii udzielał O. Franciszek Rączkowski, przeor Dominikanów. Frekwencja dziatwy, między którą był i mój syn Staś, wynosiła coś ponad 150 główów.

Poświęcając powyższy ustęp działalności humanitarnej dzikowskiego zamku, pragnę tym oddać hołd pracy i obowiązkom obywatelskim działających osób, w szczególności zaś podjętej z zaparciem i poświęceniem się dla pospolitego dobra pracy bibliotekarza dzikowskiego i zasłużonego dla tarnobrzeskiego powiatu pisarza-społecznika, Michała Marczaka, który nie spoczął, nie dojadł, nie dospał, ustawiczale będąc na nogach, jużto załatwiając tysiące interesantów, jużto ucząc w prowizorycznej szkółce, - na co patrząc, dziwiłem się, skąd w jednym człowieku tyle naraz siły i energii się bierze ! A ileż to razy interweniował u komend rosyjskich i wypraszał, by nie wywożono ruchomości pozostawionych przez uciekonierów-urzędników oraz bronił biedaków przed rekwizycją jedynych krów-żywicielek !

Z chwilą rozpętania się wojny okazało się dopiero, jak bardzo zdezorganizowane było nasze społeczeństwo pod względem zapatrywań politycznych co do ukształtowania się przyszłych losów Polski. Poza częścią zdrowo myślących i dążących do odbudowy niezależnej Ojczyzny ludzi, jedni, nie wierząc w powstanie samodzielnego państwa polskie-

nobrzeskiego, kolbuszowskiego, mieleckiego, niżańskiego, częściowo nawet ropczyckiego.

Ponadto hrabia otworzył w swym zamku, później w mieście, jadłodajnię koszerną dla ludności żydowskiej, ziemniaki i opał dając od siebie, inne zaś artykuły z nadsyłanych transportów.

W grudniu otwarto nawet w budynku zarządu dóbr dzikowskich szkołę dla dzieci z Dzikowa i Tarnobrzega, by je godziwie zatrudnić i uchronić przed demoralizacją. Szkółka ta istniała do połowy maja następnego 1915-go roku. Prowadził ją po trzy godziny dziennie wspomniany bibliotekarz Marczak, ucząc wedle programu czterech klas ludowych czytania, pisania, rachunków, śpiewu. Deklamowano, opowiadano, uczono się historii Polski, czytano wspólnie sienkiewiczowską trylogię, ballady Mickiewicza. Przez dwa pierwsze miesiące pomagała Marczakowi nauczycielka Janina Czeppowa. Nauki religii udzielał O. Franciszek Raczkowski, przeor Dominikanów. Frekwencja dziatwy, między którą był i mój syn Staś, wynosiła coś ponad 150 głów.

Poświęcając powyższy ustęp działalności humanitarnej dzikowskiego zamku, pragnę tym oddać hołd pracy i obowiązkom obywatelskim działających osób, w szczególności zaś podjętej z zaparciem i poświęceniem się dla pospolitego dobra pracy bibliotekarza dzikowskiego i zasłużonego dla tarnobrzeskiego powiatu pisarza-społecznika, Michała Marczaka, który nie spoczął, nie dojadł, nie dospał, ustawicznie będąc na nogach, jużto załatwiając tysiące interesantów, jużto ucząc w prowizorycznej szkółce, - na co patrząc, dziwiłem się, skąd w jednym człowieku tyle naraz siły i energii się bierze ! A ileż to razy interweniował u komend rosyjskich i wypraszał, by nie wywożono ruchomości pozostawionych przez uciekinierów-urzędników oraz bronił biedaków przed rekwizycją jedynych krów-żywicielek !

Z chwilą rozpętania się wojny okazało się dopiero, jak bardzo zdezorganizowane było nasze społeczeństwo pod względem zapatrywań politycznych co do ukształtowania się przyszłych losów Polski. Poza częścią zdrowo myślących i dążących do odbudowy niezależnej Ojczyzny ludzi, jedni, nie wierząc w powstanie samodzielnego państwa polskie-

go, zbawienie Polski widzieli pod skrzydłem Austrii, drudzy pod Niemcami, inni zaś w zespoleniu z Rosją ... Przykre pomięszanie pojęć.

Wtedy to w listopadzie 1914 r. napisałem następujący wierszyk :

Co tu wierzyć cudzoziemcom,
Austriakom, Rusom, Niemcom -
Dość nam o nich mówią dzieje,
Co za dobrodzieje ....
Dotąd naszej chcieli zguby,
Dziś, gdy wzięli się za czuby,
Wraz im w mózgach zaświtało,
Że jest nas nie mało ...
I ot patrzcie, jak ochoczy
Austriak słodkimi oczy
Od pierwszej nas wabi chwili,
Łasi się, a mili !
Czego nie mógł przez lat dwieście,
Dziś przypomniał sobie wreszcie,
Że król polski z wojskiem przednim
Zbawił go pod Wiedniem ...
I stąd naraz już się bierze
W trwałe z nami wejść przymierze,
Więc przysięga, że nas kocha,
Byle razem kropić Mocha ...
Prusak niby to folguje,
Wolną Polskę obiecuje,
Byle skupić nasze dłonie
Po germańskiej stronie.
Moskal też się wyzbył buty,
Gdzieś zapodział stryczki, knuty,
A niemieckie wywlókł zdzierstwo
I --- Słowian braterstwo ...
„Macie - gada - w dziejach chwały
Miecz grunwaldzki nierdzewiały,
Rąbać Niemców bądźcie zdolni,
A za to będziecie wolni" ...
A kacapy ! A pludraki !
Ten jest taki i ten taki !
Kto zawierza ich przyjaźni,
Kaducznie się zbłaźni.
Gorzej oni od szakali
Ojczyznę nam rozszarpali,
Potu, krwi, łez naszych strugi
Wiek już toczą drugi.
I tak bardzo nas miłują,
Tak wyściskać usiłują,
Byśmy przepadli bez śladów,
Lub zeszli na dziadów.
Przed krwawą dopiero łaźnią
Raptem z nami się przyjaźnią,
Aż im ciarki łażą skórą :
Kto z nich będzie górą ? ...
A że przeciw bratu brata
Zbroją, nie wstyd im u świata,
Chcą nas jeszcze mieć posłusznych,
Jak tych psów bezdusznych ...
I na naszą ziemię walą,
Gwałcą, rąbią, kradną, palą,
Dokuczają nam bez miary,
Że niczym Tatary !
Lecz choć nas tak srodze nęka
Przeznaczenia krwawa ręka,
Nie dajmy się złamać klęskom,
Trzymajmy się męsko !

go, zbawienie Polski widzieli pod skrzydłem Austrii, drudzy pod Niemcami, inni zaś w zespoleniu z Rosją ... Przykre pomieszanie pojęć.

Wtedy to w listopadzie 1914 r. napisałem następujący wierszyk :

Co tu wierzyć cudzoziemcom,
Austriakom, Rusom, Niemcom -
Dość nam o nich mówią dzieje,
Co za dobrodzieje ....
Dotąd naszej chcieli zguby,
Dziś, gdy wzięli się za czuby,
Wraz im w mózgach zaświtało,
Że jest nas nie mało ...
I ot patrzcie, jak ochoczy
Austriak słodkimi oczy
Od pierwszej nas wabi chwili,
Łasi się, a mili !
Czego nie mógł przez lat dwieście,
Dziś przypomniał sobie wreszcie,
Że król polski z wojskiem przednim
Zbawił go pod Wiedniem ...
I stąd naraz już się bierze
W trwałe z nami wejść przymierze,
Więc przysięga, że nas kocha,
Byle razem kropić Mocha ...
Prusak niby to folguje,
Wolną Polskę obiecuje,
Byle skupić nasze dłonie
Po germańskiej stronie.
Moskal też się wyzbył buty,
Gdzieś zapodział stryczki, knuty,
A niemieckie wywlókł zdzierstwo
I --- Słowian braterstwo ...
„Macie - gada - w dziejach chwały
Miecz grunwaldzki nierdzewiały,
Rąbać Niemców będzie zdolny,
A za to będziecie wolni" ...
A kacapy ! A pludraki !
Ten jest taki i ten taki !
Kto zawierza ich przyjaźni,
Kaducznie się zbłaźni.
Gorzej oni od szakali
Ojczyznę nam rozszarpali,
Potu, krwi, łez naszych strugi
Wiek już toczą drugi.
I tak bardzo nas miłują,
Tak wysoko szacują,
Byśmy przepadli bez śladów,
Lub zeszli na dziadów.
Przed krwawą dopiero łaźnią
Raptem z nami się przyjaźnią,
Aż im ciarki łażą skórą :
Kto z nich będzie górą ? ....
A że przeciw bratu brata
Zbroją, nie wstyd im u świata,
Chcą nas jeszcze mieć posłusznych,
Jak tych psów bezdusznych ...
I na naszą ziemię walą,
Gwałcą, rabią, kradną, palą,
Dokuczają nam bez miary,
Że niczym Tatary !
Lecz choć nas tak srodze nęka
Przeznaczenia krwawa ręka,
Nie dajmy się złamać klęskom,
Trzymajmy się męsko !

Wnet wrogowie z tonu spuszczą,
Gdy krwi sobie wzajem puszczą,
Wojowania wkońcu syci
Będą jak rozbici.
I ten Sędzia z wysokości
Na proch zetrze ich wielkości,
Bo gwałt każdy i rabunek
Zdać musi rachunek.
A nam błyśnie dzień wolności,
Podźwigną się grody, włości,
Rozśpiewają pieśnią niwy :
Bógjest sprawiedliwy !

W miarę im dalej w pościgu za Austriakami parły wojska rosyjskie, okolica stopniowo opróżniała się z żołdactwa, aż wreszcie mogła ludność odetchnąć swobodnie.

Oprócz niewielkiej liczby wojskowych pozostało w Dzikowie sporo t.zw. „rotników", których zajęciem były roboty ziemne przy urządzaniu schronów i pozycyj dla dział i karabinów maszynowych. Byli to przeważnie Polacy. U mnie zakwaterowało się ich sześciu, sami gospodarze z Kaliskiego. Dobrzy, kochani ludziska ; wnet między nami wywiązał się stosunek niemal familijny. W ich towarzystwie znikała monotonna, dławiąca nuda, a wśród długich, jesiennych i zimowych wieczorów brzmiały śpiewy i rozlegały się śmiechy przy godziwej zabawie. Przebywali oni w moim domu całe cztery miesiące. Zmuszeni iść na stanowiska do innych wsi, opuszczali nas ze łzami.

Słyszeliśmy i dużo przed wojną czytaliśmy o wrodzonym barbarzyństwie Moskali. Zetknąwszy się przecież bliżej z nimi czasu wielkiej wojny, przekonaliśmy się, że „nie taki diabeł straszny, jak go malują". Prawda, że naród nasz w ciągu wieku zaznał wiele ciężkich krzywd od Moskali. Ale krzywdy te i prześladowania zapisać trzeba przedewszystkim na rachunek carskich rządów i biurokracji wszelkich stopni. Lud rdzennie rosyjski, z którego synami my, Małopolanie, pierwszy raz czasu wielkiej wojny zetknęliśmy się, nie jest z natury tak zły. Owszem, dużo ma w sobie cech wspólnych rasie słowiańskiej, jak gościnność, co nawet potwierdzają kroniki naszych męczeńskich katorżników Sybiraków.

A że większość żołnierzy rosyjskich hołdowała zasadzie : „co twoje - to moje", to już zasługa systemu wychowania sfer rządowych. Rabunkom zresztą i wszelakim wybrykom oddawali się żołnierze nietylko z ar-

mii rosyjskiej, ale z wszystkich walczących z sobą armij. Poza tym rosyjscy dowódcy podczas tej wielkiej wojny nie rozstrzelali, na szubienicach nie wywieszali tylu tysięcy całkiem niewinnych ludzi, co owi wierni słudzy Jego Cesarskiej i Królewskiej Apostolskiej Mości. A chociaż później Moskale ewakuowali mężczyzn na poniewierkę po całej Rosji, to ileż tysięcy najniewinniejszych ludzi internowali Austriacy w osławionych „obozach" w zachodnich prowincjach monarchii.

Między żołnierzami rosyjskimi poznałem kilku rodowitych Gruzinów od Tyflisu. Dorodni to i zręczni ludzie, piękni jak ich kaukaska kraina. Ale porozmawiać z nimi było trudno, chyba że któryś dobrze władał rosyjskim językiem. Gruzini obdarzeni są pięknym charakterem. Przez jakiś czas stykałem się z jednym, który mając posterunek w Dzikowie, przychodził do mnie po mleko. Zaproponowałem mu wymianę mleka na sól, cukier, herbatę, tytoń i t.p. produkty, o które wówczas było bardzo trudno. Na propozycję moją chętnie ów Gruzin przystał ; produkty dostarczał nawet obficie, a swoją drogą za mleko chciał płacić. Ofiary jego, rzecz prosta, darmo nie przyjąłem.

W ciągu trwania drugiej, blisko ośmiomiesięcznej inwazji rosyjskiej, jakkolwiek w każdej niemal chacie dotkliwie odczuwać się dawał brak żywności, nie było znów ludziom tak rozpaczliwie źle, zwłaszcza w tych punktach, gdzie pewna ilość żołnierzy posterunki miała. Do kuchen żołnierskich przychodziły z garnkami dzieci i starsze kobiety i nie wiem, czy wiele było takich wypadków, by z próżnymi garnkami do domów odchodziły. Mogło to mieć miejsce chyba tam, gdzie żołnierze sami odczuwali braki.

Ciężkie momenty przeżywała ludność Tarnobrzega, Dzikowa i najbliżej położonych wsi podczas walk pozycyjnych w maju i czerwcu 1915 r., kiedy to wojska austriackie napierając na Moskali, bombardowały to miasto i przyległe wsi.

Podczas walk tych dłuższy czas trwała pogoda, skwar zaś panował taki, że ziemia pękała, a rośliny więdły. Powietrze, przesycone spalenizną gorejących w oddali wsi i miasteczek / Rozwadów, Radomyśl oraz lasów - poprostu dusiło. I nie powiał najlżejszy wietrzyk, coby

dławiące dymy rozpędził.

Z baterii na Wymysłowie grzmiały działa rosyjskie, a ponieważ dom mój stał w linii tych armatnich strzałów, za każdorazowym hukiem trzęsły się ściany, a szyby w oknach dzwoniły. Zmuszony czuwać nocami, próbowałem w dzien drzemki. Ale daremnie. Od pacholęcych lat pędząc życie w grobowej głuszy, nerwy miałem na tę piekielną muzykę niezmiernie wrażliwe. Głowa mnie silnie rozbolała, a tak w niej huczało, iż zdawało mi się, że pęknie. Obcisnąłem więc skroń silnie ręcznikiem, jak obręczą, ale niewiele to pomogło. Nogi się pode mną z wyczerpania uginały, a tymczasem ten niemilknący, oszałamiający grzmot ani się mi położyć, ani nawet usiąść nie dozwalał... Porwałem więc motykę i wybiegłem na pole, by w zapamiętałej robocie obróbki ziemniaków uspokoić rozstrojone nerwy. Nade mną świstały armatnie pociski, od których oderwane płonące wióry sypały się koło mnie, jak grube płaty brudnego śniegu, a pod niebem, w zamglonych od dymów przestworzach, koło krążących austriackich samolotów, ukazywały się raz po raz zaróżowione obłoczki, powstałe z pękających rosyjskich szrapneli. Obłoczki te to naprawdę godny obserwacji widok. Ale sołdaci, widno przejęci troską o całość mej szacownej osoby, zegnali mię z pola do chałupy.

Interesujący również był widok wybuchu austriackich pocisków, wymierzanych na Tarnobrzeg i Dzików od strony Nagnajowa. Skoro taki pocisk w pobliżu mego domu upadł, można było doskonale widzieć, jak wrywszy się płytko w ziemię, przez chwilę wił się jak bąk, ryjąc ją wściekle, wreszcie wybuchał, wzbijając w górę szary, strzępiasty słup dymu i kurzu ; nieco zaś dalej, upadłszy na wilgotny grunt, wzbijał pod niebo śmigły, niezmiernie wysoki, a jak smoła czarny, słup dymu.

Rzecz dziwna, że choć na podwórze mego osiedla dolatywały odłamy granatów, a z pod nieba spadały ołowiane szrapnelowe kulki, ani ludziom ani budynkom prawie żadnej szkody nie wyrządziły.

Ze szczególną pasją bombardowali Austriacy tarnobrzeski kościół OO. Dominikanów, do którego, dufając jego grubym murom, radzi chronili się przed strzelaniną najbliżsi mieszkańcy z Dzikowa i Tarnobrzega, nie przypuszczając zresztą, by katolickie wojska katolickiego monarch

poważały się brać za cel armatnich pocisków katolicką świątynię w katolickiej prowincji swego państwa ... To też skoro ogromny granat w murze kościoła zrobił potężny wyłom i wnętrze jego zasypał gruzem, chroniąca się w nim ludność runęła ku wyjściom i pod gradem kul biegła oszalała szukać schronu w pobliskim dzikowskim zamku hr. Tarnowskich, który austriackie wojska oszczędzały.

Oprócz rozbicia kościoła w Tarnobrzegu zburzyli Austriacy zabytkowy kościół Cystersów w pobliskiej Koprzywnicy, nie uniknął również szwanku osobliwy kościół parafialny w przyległym Miechocinie.

poważy się brać za cel armatnich pocisków katolicką świątynię w katolickiej prowincji swego państwa ... To też skoro ogromny granat w murze kościoła zrobił potężny wyłom i wnętrze jego zasypał gruzem, chroniąca się w nim ludność runęła ku wyjściom i pod gradem kul biegła oszalała szukać schronu w pobliskim dzikowskim zamku hr. Tarnowskich, który austriackie wojska oszczędzały.

Oprócz rozbicia kościoła w Tarnobrzegu zburzyli Austriacy zabytkowy kościół Cystersów w pobliskiej Koprzywnicy, nie uniknął również szwanku osobliwy kościół parafialny w przyległym Miechocinie.

II.

Odwrót Moskali. - Dobroczynny kapłan. - Uprzedzenie miasta do wsi. - Zosia do szkół. - Zadurzenie i ocknienie. - Zanik ducha. - Walka z drożyzną i odbudowa. - Akt 5 Listopada.

Na koniec w dniu 22 czerwca 1915 r. wojska rosyjskie opuściły Tarnobrzeszczyznę, tym razem już na stałe. Przegrawszy w Karpatach generalną bitwę, zrozumieli Moskale, że ponowna ich ofenzywa na Małopolskę byłaby niedościgłym marzeniem.

Na parę godzin przed wycofaniem się z Tarnobrzega porozstawiali się żołnierze po kilku i kilkunastu w różnych punktach Dzikowa i w pewnej chwili, jakby na dany sygnał, poczęli wyganiać bydło z obór i zganiać je na główny plac spędu pod zamek, skąd już całe stada popędzono w stronę granicy b. Kongresówki.

Było dużo przeraźliwego wrzasku, płaczu i lamentu wśród kobiet, broniących rozpaczliwie swej chudoby, ale sołdaci łatwo radzili sobie kolbami karabinów i nahajami. Mężczyźni kobietom spieszyć na pomoc nie mogli, gdyż każdy, który się nawinął, bywał wraz z bydłem uprowadzany. Mnie również zrabowano jedyną krowę. Kilkudziesięciu wówczas uprowadzili z sobą mężczyzn zdatnych do wojska, wśród nich nawet proboszcza z Zaleszan, X. Malinowskiego.

Nie mając okrucha chleba, pozbawiony kapki mleka, zgoła wszelkich środków do życia, napisałem list do znajomego, na Bukowinie wówczas mieszkającego, X. Józefa Janiszewskiego, i przedstawiwszy mu ciężkie swoje położenie, prosiłem go o pomoc, której w miejscu daremnie byłoby mi szukać. Dobroczynny ten kapłan nadesłał mi ogółem przeszło tysiąc koron, czym umożliwił nam nabycie krowy, jako też zaopatrzenie się w niezbędne środki do życia.

Powrót Austriaków nie złagodził położenia ludności. Owszem głód wzmagał się coraz większy, coraz dokuczliwszy, a wielki brak mleka, powstały z powodu zrabowania bydła, dopełniał miary. Na dobitkę władze

rządowe miast nieść pomoc znękanej ludności, trapić ją poczęły coraz bezwzględniejszymi rekwizycjami wszystkiego, co tylko dla potrzeb wojska służyć mogło, oraz zarządzać dalsze pobory mężczyzn do wojska, by zapełnić w szeregach licznymi bitwami spowodowane luki.

To też wśród spustoszonych wsi i miasteczek, na zgliszczach rodzinnych domostw wzmógł się jęk i lament. Wiele rodzin opłakiwało śmierć lub ciężkie kalectwo swoich najbliższych, na rychłe zaś zakończenie tej burzy dziejowej wcale się nie zanosiło. I zdawało się niejednemu, że wojna ta nie skończy się wcześniej, aż wszystko i wszystkich wytraci.

Więc z podziurawionych i na pół rozwalonych kulami austriackich armat kościołów, z rozbolałych serc matek, żon i sióstr, starców i dzieci płynęły ku stropom niebios ciche modły o siłę wytrwania.

W zgliszczach wioski, w gruzach miasta,
W pustym polu chłód,
Panowania objął berło
Bezlitosny głód.
A śmierć czyha i obfity
Zbiera co dnia połów -
Taka teraz nasza dola,
Królowo Aniołów !
Bracia nasi i synowie
Na wolności zew
Pospieszyli w pole chwały,
Gdzie się leje krew.
Tam znajdują odpocznienie
W chłodzie wspólnych dołów ...
Taka dola dzieci Polski,
Królowo Aniołów !
Więc żałobni, utrudzeni
Modlimy się wraz :
Dłoń nam podaj i ku świtom
Jutra prowadź nas !
Zdejm te smutki, co na duszy
Osiadły jak ołów,
A nadziei ożyw ciepłem,
Królowo Aniołów !
Za ofiarę przepełnionych
Krwią gorącą kruż,
Za te życia, wcześnie zgasłe
Dla wolności zórz,
Za trud wieków, obrócony
Dziś w kupę popiołów,
Ziścij naszych serc pragnienia,
Królowo Aniołów !

Stali mieszkańcy miast zwykli twierdzić, że miasto podczas wojny więcej cierpiało od wsi, a to z powodu braku pożywienia, które bądź co bądź wieś mogła sobie sama wyprodukować. Nie przeczę, że egzystencja w mieście trudną podówczas była, o czym świadczą takie nie od-

rządowe miast nieść pomoc znękanej ludności, trapić ją poczęły coraz bezwzględniejszymi rekwizycjami wszystkiego, co tylko dla potrzeb wojska służyć mogło, oraz zarządzać dalsze pobory mężczyzn do wojska, by zapełnić w szeregach licznymi bitwami spowodowane luki.

To też wśród spustoszonych wsi i miasteczek, na zgliszczach rodzinnych domostw wzmógł się jęk i lament. Wiele rodzin opłakiwało śmierć lub ciężkie kalectwo swoich najbliższych, na rychłe zaś zakończenie tej burzy dziejowej wcale się nie zanosiło. I zdawało się niejednemu, że wojna ta nie skończy się wcześniej, aż wszystko i wszystkich wytreci.

Więc z podziurawionych i na pół rozwalonych kulami austriackich armat kościołów, z rozbolałych serc matek, żon i sióstr, starców i dzieci płynęły ku stropom niebios ciche modły o siłę wytrwania.

W zgliszczach wioski, w gruzach miasta,
W pustym polu chłód,
Panowania objął berło
Bezlitosny głód.
A śmierć czyha i obficy
Zbiera co dnia połów -
Taka teraz nasza dola,
Królowo Aniołów !
Bracia nasi i synowie
Na wolności zew
Pospieszyli w pole chwały,
Gdzie się leje krew.
Tam znajdują odpoczynienie
W chłodzie wspólnych dołów ...
Taka dola dzieci Polski,
Królowo Aniołów !
Więc żałobni, utrudzeni
Modlimy się wraz :
Dłoń nam podaj i ku świtom
Jutra prowadź nas !
Zdejm te smutki, co na duszy
Osiadły jak ołów,
A nadziei ożyw ciepłem,
Królowo Aniołów !
Za ofiarę przepełnionych
Krwią gorącą kruż,
Za te życia, wcześnie zgasłe
Dla wolności zórz,
Za trud wieków, obrócony
Dziś w kupę popiołów,
Ziścij naszych serc pragnienia,
Królowo Aniołów !

Stali mieszkańcy miast zwykli twierdzić, że miasto podczas wojny więcej cierpiało od wsi, a to z powodu braku pożywienia, które bądź co bądź wieś mogła sobie sama wyprodukować. Nie przeczę, że egzystencja w mieście trudną podówczas była, o czym świadczą także nie od-

osobnione wypadki, że inteligenci z miasta, skoro tylko okoliczności normalnej pracy na roli sprzyjać poczęły, szli na wieś najmować się do robót polnych u gospodarzy, byle móc przetrzymać kryzys głodowy.

Kto z mieszkańców miast podczas szalejącej wojny nie przypatrzył się zbliska własnymi oczyma stosunkom wsi, nie może mieć nawet przybliżonego pojęcia o nędzy życiowej ludności wiejskiej. Wszystkich zdolnych do jakiejkolwiek fizycznej pracy mężczyzn nienasycony moloch wojny z domów pozabierał, pozostawiając tylko kobiety, dzieci i niedołężnych starców. Dotkliwie też dawał się odczuć brak niezbędnego do robót polnych inwentarza. Jeżeli komuś ocalał jakiś zapasik ziarna czy ziemniaków, mimo panującego głodu nie tykano tego zapasu, zachowując jako nasienie do siewu, by nie dopuścić w polu odłogów.

Skoro nastała pora uprawy pól, do robót tych zabierały się kobiety, biorąc z sobą do pomocy niedorostków. Wychudzoną na szkielet szkapę wprzęgano do pługa, niedorostek ujmował lejce i bat, a kobieta czepigi i rozpoczynała się orka ... Podcinana szkapa, szarpięc się w wysiłku na zaniedbanej roli, nie ciągnęła regularnie pługa, a oblana potem i ubabrana ziemią, z omdlałymi rękoma kobieta upadała w tej pracy ze zmęczenia. Tak uprawiona ziemia, nie zasilona należycie nawozem, marny wydała plon, którego sprzętem i młocką również kobiety z dziećmi zająć się musiały.

Najbliższa moja sąsiadka w Dzikowie, matka pięciorga drobnych dzieci w wieku od 10 lat do jednego roku, nie mogąc w żaden sposób wynająć koni do zorania swojego jednomorgowego pola, zmuszona była cały ten grunt sama jedna zryć szpadlem. A ponieważ nie mogła również zastosować brony, pole zaś było mokre o nieprzepuszczalnym podglebiu, - wynik nadludzkiej pracy kobieciny był ten, że pole nadzwyczaj bujnie obrodziło - same chwasty - i praca poszła na marne.

Z powodu więc tej nieobecności mężczyzn cała egzystencja wsi opierała się wyłącznie na kobietach. W Dzikowie na przykład funkcje policjanta gminnego spełniała kobieta, a w Wielowsi, gdy umarł długoletni grabarz, Bartłomiej Gronek, który już paru pokoleniom groby kopał, smutne to po nim rzemiosło objęła jego córka Maria i do chwili, gdy słowa te kreślę, trwa na tym stanowisku.

Brak mężczyzn nie tak dotkliwie dawał się odczuwać w mieście, tu bowiem potrzebni byli urzędnicy do prowadzenia poruczonego im za -

osobnione wypadki, że inteligenci z miasta, skoro tylko okoliczności normalnej pracy na roli sprzyjać poczęły, szli na wieś najmować się do robót polnych u gospodarzy, byle móc przetrzymać kryzys głodowy.

Kto z mieszkańców miast podczas szalejącej wojny nie przypatrzył się zbliska własnymi oczyma stosunkom wsi, nie może mieć nawet przybliżonego pojęcia o nędzy życiowej ludności wiejskiej. Wszystkich zdolnych do jakiejkolwiek fizycznej pracy mężczyzn nienasycony moloch wojny z domów pozabierał, pozostawiając tylko kobiety, dzieci i niedołężnych starców. Dotkliwie też dawał się odczuć brak niezbędnego do robót polnych inwentarza. Jeżeli komuś ocalał jakiś zapasik ziarna czy ziemniaków, mimo panującego głodu nie tykano tego zapasu, zachowując jako nasienie do siewu, by nie dopuścić w polu odłogów.

Skoro nastała pora uprawy pól, do robót tych zabierały się kobiety, biorąc z sobą do pomocy niedorostków. Wychudzoną na szkielet szkapę wprzęgano do pługa, niedorostek ujmował lejce i bat, a kobieta czepiła i rozpoczynała się orka ... Podcinana szkapa, szarpiąc się w wysiłku na zaniedbanej roli, nie ciągnęła regularnie pługa, a oblana potem i ubabrana ziemią, z omdlałymi rękoma kobieta upadała w tej pracy ze zmęczenia. Tak uprawiona ziemia, nie zasilona należycie nawozem, marny wydała plon, którego sprzętem i młocką również kobiety z dziećmi zająć się musiały.

Najbliższa moja sąsiadka w Dzikowie, matka pięciorga drobnych dzieci w wieku od 10 lat do jednego roku, nie mogąc w żaden sposób wynająć koni do zorania swojego jednomorgowego pola, zmuszona była cały ten grunt sama jedna zryć szpadlem. A ponieważ nie mogła również zastosować brony, pole zaś było mokre o nieprzepuszczalnym podglebiu, - wynik nadludzkiej pracy kobiecej był ten, że pole nadzwyczaj bujnie obrodziło - same chwasty - i praca poszła na marne.

Z powodu więc tej nieobecności mężczyzn cała egzystencja wsi opierała się wyłącznie na kobietach. W Dzikowie na przykład funkcję policjanta gminnego spełniała kobieta, a w Wielowsi, gdy umarł długoletni grabarz, Bartłomiej Gronek, który już paru pokoleniom groby kopał, smutne to po nim rzemiosło objęła jego córka Marta i do chwili, gdy słowa te kreślę, trwa na tym stanowisku.

Brak mężczyzn nie tak dotkliwie dawał się odczuwać w mieście, tu bowiem potrzebni byli urzędnicy do prowadzenia poruczonego im za-

kresu działania, związanego ściśle z interesem toczącej się wojny,, więc rodziny ich nie zaznały opuszczenia.

Chociaż wieś znacznie później niż miasto wróciła do jakiej takiej równowagi po zadanych wojną klęskach, przecież dostarczała miastu produkty rolne oraz nabiał. I nie dlatego, by produktów tych miała w bród, lecz z konieczności, by mieć za co kupić soli, nafty, odzież, buty oraz wszelkie powinności opłacić, bo gdyby nie to, z pewnością sama by skąpą tę ilość skonsumowała.

W swoim czasie ustanowiony został jakiś tam urząd do walki z drożyzną, a działalność jego prawie wyłącznie na wiejskiej ludności się skrupiała. Bo skoro od litra mleka, funta masła, czy kilku jajek zażądała gospodyni parę fenigów więcej ponad ustanowioną przez tenże urząd aż do śmieszności niską cenę, ze strony kupujących zaraz podnosił się wielki krzyk na „zdzierstwo", zjawiał się w te pędy policjant i wlókł sprzedającą do odnośnego urzędu, gdzie ściągano z niej protokół, a odebrany prowiant „sprzedawano" za bezcen, albo wprost konfiskowano.

Ale kiedy chłop n.p. za proste buty zmuszony był zapłacić w mieście równowartość czterech, a nawet sześciu centnarów żyta, wtedy ci, co tak sumiennie pilnowali, by wiejska kobieta feniga więcej ponad ustanowioną normę za funt masła nie wzięła, tego jakoś nie widzieli, choć było to zdzierstwo o pomstę wołające.

Jak we wszystkich, zniszczeniem wojennym dotkniętych powiatach kraju, tak i w Tarnobrzegu utworzony został urząd odbudowy, który zniszczoną wsią zaopiekował się niezgorzej od urzędu walki z drożyzną.

Na zarządzenie tegoż urzędu nacięto w lasach mnóstwo pierwszorzędnego drzewostanu, nieraz w takich masach, że sosny na znacznej przestrzeni leżały pokotem, drzewo na drzewie, jak gdyby trąbą powietrzną poprzewracane, uniemożliwiając dostęp. Nic to. Zapotrzebowanie zniszczeniem wojennym dotkniętych wsi było ogromne, a że chłop jest w sobie twardy i uparty, więc łatwo sobie z wywózką poradzi.

kresu działania, związanego ściśle z interesem toczącej się wojny, więc rodziny ich nie zaznały opuszczenia.

Chociaż wieś znacznie później niż miasto wróciła do jakiej takiej równowagi po zadanych wojną klęskach, przecież dostarczała miastu produkty rolne oraz nabiał. I nie dlatego, by produktów tych miała w bród, lecz z konieczności, by mieć za co kupić soli, nafty, odzież, buty oraz wszelkie powinności opłacić, bo gdyby nie to, z pewnością sama by skąpą tę ilość skonsumowała.

W swoim czasie ustanowiony został jakiś tam urząd do walki z drożyzną, a działalność jego prawie wyłącznie na wiejskiej ludności się skrupiała. Bo skoro od litra mleka, funta masła, czy kilku jajek zażądała gospodyni parę fenigów więcej ponad ustanowioną przez tenże urząd aż do śmieszności niską cenę, ze strony kupujących zaraz podnosił się wielki krzyk na „zdzierstwo", zjawiał się w te pędy policjant i wlókł sprzedającą do odnośnego urzędu, gdzie ściągano z niej protokół, a odebrany prowiant „sprzedawano" za bezcen, albo wprost konfiskowano.

Ale kiedy chłop n.p. za proste buty zmuszony był zapłacić w mieście równowartość czterech, a nawet sześciu centnarów żyta, wtedy ci, co tak sumiennie pilnowali, by wiejska kobieta feniga więcej ponad ustanowioną normę za funt masła nie wzięła, tego jakoś nie widzieli, choć było to zdzierstwo o pomstę wołające.

Jak we wszystkich, zniszczeniem wojennym dotkniętych powiatach kraju, tak i w Tarnobrzegu utworzony został urząd odbudowy, który zniszczoną wsią zaopiekował się niegorzej od urzędu walki z drożyzną.

Na zarządzenie tegoż urzędu nacięto w lasach mnóstwo pierwszorzędnego drzewostanu, nieraz w takich masach, że sosny na znacznej przestrzeni leżały pokotem, drzewo na drzewie, jak gdyby trąbą powietrzną poprzewracane, uniemożliwiając dostęp. Nic to. Zapotrzebowanie zniszczeniem wojennym dotkniętych wsi było ogromne, a że chłop jest w sobie twardy i uparty, więc łatwo sobie z wywózką poradzi.

I tak by było, bowiem biura tychże urzędów - krótko Odd b u - d o w ą zwanych - oblęgały stale gromady wiejskiej biedoty, tak mężczyzn, jak kobiet, ale jak Odbudowie łatwo przyszło zarządzić wycięcie całych rewirów leśnych, tak trudno przychodziło prowadzenie rejestrów i wydawanie asygnat. Więc długo w lesie leżące, wystawione na działanie opadów atmosferycznych, w niestosownej porze wycięte drzewo, poczęło butwieć i gnić. A chłopi łazili i łazili, w kornej postawie skamląc o zmiłowanie.

Najlepiej jeszcze wyszli ci, co to ceniąc każdą godzinę Bożego dzionka, bez oglądania się na Odbudowę, z prywatnego składu drzewo za gotówkę zakupili, mogli bowiem na czas pobudować sobie schroniska i uniknąć długotrwałych niewygód oraz idących stąd chorób.

A skoro nareszcie cierpliwie czekający dożyli tej błogosławionej chwili bezpłatnego otrzymania budulca, na samą tylko robociznę stawiania większe ponieśli koszta z powodu spadku wartości pieniądza, niż ci, co nie czekając i nie oglądając się na Odbudowę, z zakupionego całkowicie materiału budynki sobie postawili.

Nieco odmiennie działo się w mieście przy istniejących „stosuneczkach". Wielu właścicieli, którym wojna nie poczyniła w ogólnym mieniu żadnych szkód, dzięki stosunkom z Odbudową, bez uszczerbku dla własnej kieszeni poprzerabiało sobie domy, n.p. zmieniając ubikacje, burząc piece ceglane, a stawiając kaflowe, odrywając podłogi zwykłe, a układając parkietowe i t. p. A były i takie wypadki, że na pustych od stworzenia świata placach, będących własnością pewnych dobrze ustosunkowanych jegomościów, Odbudowa „odbudowywała" wcale przyzwoite domki ...

A poniewierający się bez dachu nad głową, poszkodowani wiejscy nędzarze, patrząc na ten proceder, zaciskali zęby i - pięście.

Owo wspomniane poprzednio uprzedzenie miasta do wsi nasuwa niezbyt wesołe refleksje. Trafiało mi się czytać w gazetach i to w takich, co to mają pretensje uchodzić za pisma „ludowe", takie sobie pikantne historyjki, jakoby chłop siennik pieniądzmi wypychał, do snopów słomy milionowe banknoty chował, a potem przez zapomnienie snopki te wraz ze schowanymi w nich banknotami na sieczkę zerżnął i t.p. banialuki.

I tak by było, bowiem biura tychże urzędów - krótko O d b u - d o w ą zwanych - obległy stale gromady wiejskiej biedoty, tak mężczyzn, jak kobiet, ale jak Odbudowie łatwo przyszło zarządzić wycięcie całych rewirów leśnych, tak trudno przychodziło prowadzenie rejestrów i wydawanie asygnat. Więc długo w lesie leżące, wystawione na działanie opadów atmosferycznych, w niestosownej porze wycięte drzewo, poczęło butwieć i gnić. A chłopi łazili i łazili, w końcu postawie skamląc o zmiłowanie.

Najlepiej jeszcze wyszli ci, co to ceniąc każdą godzinę Bożego dzionka, bez oglądania się na Odbudowę, z prywatnego składu drzewo za gotówkę zakupili, mogli bowiem na czas pobudować sobie schroniska i uniknąć długotrwałych niewygód oraz idących stąd chorób.

A skoro nareszcie cierpliwie czekający dożyli tej błogosławionej chwili bezpłatnego otrzymania budulca, na samą tylko robociznę stawiania większe ponieśli koszta z powodu spadku wartości pieniądza, niż ci, co nie czekając i nie oglądając się na Odbudowę, z zakupionego całkowicie materiału budynki sobie postawili.

Nieco odmiennie działo się w mieście przy istniejących „stosunkach". Wielu właścicieli, którym wojna nie poczyniła w ogólnym mieniu żadnych szkód, dzięki stosunkom z Odbudową, bez uszczerbku dla własnej kieszeni poprzerabiało sobie domy, n.p. zmieniając ubikacje, burząc piece ceglane, a stawiając kaflowe, odrywając podłogi zwykłe, a układając parkietowe i t. p. A były i takie wypadki, że na pustych od stworzenia świata placach, będących własnością pewnych dobrze ustosunkowanych jegomościów, Odbudowa „odbudowywała" wcale przyzwoite domki ...

A poniewierający się bez dachu nad głową, poszkodowani wiejscy nędzarze, patrząc na ten proceder, zaciskali zęby i - pięście.

Owo wspomniane poprzednio uprzedzenie miasta do wsi nasuwa niezbyt wesołe refleksje. Trafiało mi się czytać w gazetach i to w takich, co to mają pretensję uchodzić za pisma „ludowe",takie sobie pikantne historyjki, jakoby chłop siennik pieniądzmi wypychał, do snopów słomy milionowe banknoty chował, a potem przez zapomnienie snopki te wraz ze schowanymi w nich banknotami na sieczkę zerżnął i t.p. banialuki.

Owi gazeciarze, co to mieli odwagę podobnego rodzaju „wiadomości" przyjmować i w świat je puszczać, o panujących na wsi stosunkach chyba nawet dziecinnego pojęcia nie mieli, albo też wrogo do wsi usposobieni byli. Mógł ten i ów chłop dorobić się na spekulacji jakiegoś mająteczku, bo i takie wypadki były ; zapewne w kilku zachodnio-małopolskich powiatach, które nieprzyjaciela nie widziały, wytworzyły się dość korzystne warunki życia ; ale uogólnianie tych sporadycznych zdarzeń i rozgłaszanie takich, jak wyż przytoczone wiadomości, to już ukoronowany absurd.

Najstarsza córka moja, Zosia, objawiła gorące pragnienie kończenia nauk w seminarium nauczycielskim w Krakowie / a której to szkoły w Tarnobrzegu wówczas nie było /, owiana bowiem duchem patriotyzmu, pragnęła stać się pożyteczną społeczeństwu. Nie posiadając wszakże żadnych po temu środków i w dodatku cierpiąc niedostatek, długo opierałem się prośbie dziewczyny. Ale skoro poczęła łzami się zalewać i błagać, by jej życia nie łamać, brakło mi w końcu siły do dalszego oporu i ostatecznie z początkiem roku szkolnego 1916/17 wyprawiłem ją do Krakowa, gdzie przyjęta została do prywatnego seminarium nauczycielskiego żeńskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej im. Fr. Preisendanza. Pomieszczenie znalazła w jednej z tamtejszych burs za stosowną opłatą.

Pomimo że utrzymanie Zosi w szkołach pochłaniało całą moją pensję, zmuszoną ona była ograniczać się do najprymitywniejszych potrzeb i stale cierpiała głód, co na jej wątłe zdrowie niekorzystnie wpływało.

Jednym z donioślejszych, dotyczących Polski zdarzeń politycznych w owym czasie, był znany pod datą 5 listopada 1916 r. manifest skojarzonych interesami toczącej się wojny, austriackiego i niemieckiego cesarzy, co to „przejęci silną wiarą w ostateczne zwycięstwo ich broni, ożywieni pragnieniem, by obszarom polskim, które ich waleczne wojska wśród ciężkich ofiar wyrwały z pod panowania rosyjskiego, otworzyć szczęśliwą przyszłość, ułożyły się, by z tych obszarów utworzyć samoistne państwo polskie z dziedziczną monarchią ",*) jako też proklamowanie „samoistności Galicji".

---

*) Są to słowa manifestu / Przypisek autora /.

Owi gazeciarze, co to mieli odwagę podobnego rodzaju „wiadomość" przyjmować i w świat je puszczać, o panujących na wsi stosunkach chyba nawet dziecinnego pojęcia nie mieli, albo też wrogo do wsi usposobieni byli. Mógł ten i ów chłop dorobić się na spekulacji jakiegoś mająteczku, bo i takie wypadki były ; zapewne w kilku zachodnio-małopolskich powiatach, które nieprzyjaciela nie widziały, wytworzyły się dość korzystne warunki życia ; ale uogólnianie tych sporadycznych zdarzeń i rozgłaszanie takich, jak wyż przytoczone wiadomości, to już u - koronowany absurd.

Najstarsza córka moja, Zośka, objawiła gorące pragnienie kończenia nauk w seminarium nauczycielskim w Krakowie / a której to szkoły w Tarnobrzegu wówczas nie było /, owiana bowiem duchem patriotyzmu, pragnęła stać się pożyteczną społeczeństwu. Nie posiadając wszelkie żadnych po temu środków i w dodatku cierpiąc niedostatek, długo opierałem się prośbie dziewczyny. Ale skoro poczęła łzami się zalewać i błagać, by jej życia nie łamać, brakło mi w końcu siły do dalszego oporu i ostatecznie z początkiem roku szkolnego 1916/17 wyprawiłem ją do Krakowa, gdzie przyjęta została do prywatnego seminarium nauczycielskiego żeńskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej im. Fr. Preisendenza. Pomieszczenie znalazła w jednej z tamtejszych burs za stosowną opłatą.

Pomimo że utrzymanie Zośi w szkołach pochłaniało całą moją pensję, zmuszona ona była ograniczać się do najprymitywniejszych potrzeb i stale cierpiała głód, co na jej zdrowiu niekorzystnie wpływało.

Jednym z donioślejszych, dotyczących Polski zdarzeń politycznych w owym czasie, był znany pod datą 5 listopada 1916 r. manifest skojarzonych interesami toczącej się wojny, austriackiego i niemieckiego cesarzy, co to „przejęci silną wiarą w ostateczne zwycięstwo ich broni, ożywieni pragnieniem, by obszarom polskim, które ich waleczne wojska wśród ciężkich ofiar wyrwały z pod panowania rosyjskiego, otworzyć szczęśliwą przyszłość, ułożyły się, by z tych obszarów utworzyć samoistne państwo polskie z dziedziczną monarchią "(*), jako też proklamowanie „samoistności Galicji".

---

*) Są to słowa manifestu / Przypisek autora /.

I chociaż z powyższego aktu, powołującego do życia ów twór państwowy o nieokreślonych granicach, śmiali się w kułak nawet prości, ale umiejący zdrowo myśleć ludzie, przecież znalazła się i w Tarnobrzegu garść swoistych polityków, którzy, ulegając omamieniu świecącej fosforycznym blaskiem potęgi państwzcentralnych i odurzeni płynacymi z ich gabinetów napuszonymi frazesami - zdarzenie to uroczystymi pochodami przy muzyce i śpiewach obchodzili.

Co zaś do samego proklamowania „samoistności Galicji", to żdaje się, że wszyscy akt ten po cichu przeklinali. Jedni dlatego, iż Galicja została poza orbitą nowotworzonego państwa polskiego, drudzy zaś z tego powodu, że owo wyodrębnienie rozluźniało ścisłą spójność tegoż kraju z Wiedniem.

A jednak owe proklamowanie Królestwa Polskiego miało tę dobrą stronę, że zaświadczyło przed światem o istnieniu Polaków i Polski, o czym nie wszędzie wiedziano, a co bardzo korzystnie wpłynęło na późniejsze ukształtowanie się stosunków w sprawie niepodległości Polski, jaką dziś mamy.

W Tarnobrzegu powstała „Delegatura Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego" na powiaty Tarnobrzeg i Bisko, z biurem w gmachu Rady Powiatowej, a urzędowali w niej lustrator Wydziału tejże Rady, Piotr Krasoń, i profesor miejscowej szkoły realnej, dr. Karol Adwentowski. Wszelkie elaboraty tejże delegatury przydzielano mi do przepisywania bez wynagrodzenia. Z chęcią podjąłem się tej pracy, byłem bowiem przeświadczony, że służę dobrej narodowej sprawie. Ale niedługo miałem się przekonać, że cała działalność owego N. K. N. idzie wyłącznie po linii nie naszych narodowych,lecz austriackich interesów, obrachowanych aż nadto widocznie na paraliżowanie dążeń narodu do niepodległej Polski. To też gdy pewnego dnia wspomniani panowie zlecili mi przepisać jakieś „kawałki" delegatury, wzburzony odmówiłem. Wtedy jeden z nich rzekł mi : „Na co się Pan złości ?... My Panu zapłacimy"...

Hm ! „Zapłacimy"... A więc nietylko że do wojska za innymi wwi panowie nie zostali powołani, ale w dodatku rozporządzali pieniądzmi na wynagradzanie czynności w N. K. N. Naturalnie za dotychczasową pra-

cę grosza nie wziąłem i już do tej roboty ręki nie przyłożyłem.

C. k. starostwa, nad którymi zwierzchniczą władzę miało c. k. namiestnictwo we Lwowie, były podczas wojny wszechwładnymi w Małopolsce powiatowymi władzami, których zarządzeniom podlegały bez zastrzeżeń samorządy z Radą Powiatową na czele.

Personal urzędniczy starostwa w Tarnobrzegu składał się z samych prawie Polaków, ale w personalu tym trudno było dopatrzyć się polskiego ducha. Wszystkie zarządzenia urzędu tego tchnęły wyłącznie troską o całość c. k. państwa.

I gdy dla naszych narodowych obchodów, jak Trzeciego Maja, urzędnicy ci okazywali najczęściej obojętność, to podczas wojny w c. k. uroczystościach gremialnie udział brali, a w zbieraniu „dobrowolnych" datków na c. k. cele okazywali gorliwość godną lepszej sprawy.

Pewnej pięknej, jesiennej niedzieli - nie pomnę dokładnie, w którym to było roku - wybrałem się do kościoła na nabożeństwo, nie wiedząc, że jest to dzień kwesty na jakieś cele c. k. armii. We wszystkich bardziej ruchliwych punktach miasta stały stoliki z porozkładanymi na nich, prymitywnymi, blaszanymi odznakami, mającymi formę medali. Za stolikami tymi usadowili się c. k. urzędnicy starostwa, jako też żony ich ze starościną na czele. Żadnego z tych stolików wręcz niepodobna było ominąć, nie okupiwszy się bodaj kilkudziesięciogroszowym haraczem, w zamian za co pobierający datki dekorowali ofiarodawcę blaszką.

Chciałem ominąć pierwszy stolik. - „Co,nic nie złożysz ? Taki to z ciebie lojalny obywatel ?" I na piersi mojej już błyszczała blaszka. Idę dalej. - „Jakto, tylko jeden drobny datek ?" Więc druga blaszka. Przy trzecim stoliku : -„Jak śmiałbyś tak panią komisarzową pominąć ?" Trzecia blaszka. Jeszcze dalej : - „Skoro dałeś tam, dajże coś i tu !"Czwarta blaszka ! I tak dalej, - a gdy wreszcie znalazłem się poza obrębem tego c. k. koła pozawieszany medalami, wyglądałem nieprzymierzając, jak jaki egzotyczny generał.

I dopiero ów sławny, w Brześciu nad Bugiem zawarty później traktat, mocą którego ziemię Chełmską i Podlasie cichaczem oderwano od pnia macierzystego na rzecz nowo tworzonej Ukrainy, ostudził tę c.k. gorliwość

Twórcy owego haniebnego, brzeskiego paktu, hr. Czerninowi, ówczesnemu austriackiemu ministrowi spraw zagranicznych, należy się od nas Polaków prawdziwa wdzięczność. Traktat ten bowiem odkrył prawdziwe, zręcznie dotychczas maskowane zamiary wiedeńskiego rządu względem Polaków i był zarazem kubłem zimnej wody, wylanej na rozpalone głowy zbytnią miłością ku Wiedniowi pałającej części naszej inteligencji.

Nastąpiło otrzeźwienie i żywiołowy odruch. Ocknął się długoletnią, wiedeńską hipokryzją usypiany naród i zszeregował się w duchu na szańcach zagrożonej swej ziemi odwiecznej.

Na znak protestu w dniu 18 lutego 1918 r. zawiesiły swe czynności wszystkie urzędy, nie wyłączając starostw ; ustała wszelka praca powszednia, zamarł zupełnie ruch w handlach i warsztatach, stanęły koleje. Z okolicznych wsi tłumy ludności ściągały do Tarnobrzega, gdzie liczni mówcy wyjaśniali zgromadzonym haniebną zdradę austriackiego rządu, nie szczędząc mu wrogich okrzyków.

Na jednym z takich zgromadzeń, urządzonym w lasku, zwanym Borkiem Miechocińskim, sędziwy wójt dzikowski, Jan Słomka, złożył na ręce organizatorów wiecu swój medal zasługi celem odesłania go cesarzowi ; podobnie postąpił wspomniany poprzednio dr. Urbanik z orderem kawalerskim Franciszka Józefa.

A pod obłoki huraganową mocą biły słowa „Roty": „Nie damy ziemi, skąd nasz ród! Tak nam dopomóż Bóg!" - i brzmiała pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła".

Wspaniały to był moment ! Zespolił on jedną wielką myślą wszystkie stany narodu, wszystkie nasze obozy polityczne, stał się wielkim świętem grzmiącego na świat cały protestu Polski. A c. k. satrapi stali i drżeli bezradni. Dziesiątki lat żmudnej, nieustającej pracy nad wyplenieniem z duszy narodu zielska austriackiego nie dokazałyby chyba takiego cudu, co ten jeden dzień. Hej, jakeśmy wtedy hr. Czernina za ten polityczny absurd błogosławili !

W związku z powyższą sprawą Zosia pisała mi z Krakowa, że na zewnętrznej ścianie jednej z kamienic przy ruchliwej ulicy można było oglądać wizerunek rozpiętego na krzyżu Chrystusa, a po obu jego bokach portrety cesarzów Karola i Wilhelma, na spodzie zaś dużymi literami u-

Twórcy owego haniebnego, brzeskiego paktu, hr. Czerninowi, ówczesnemu austriackiemu ministrowi spraw zagranicznych, należy się od nas Polaków prawdziwa wdzięczność. Traktat ten bowiem odkrył prawdziwe, zręcznie dotychczas maskowane zamiary wiedeńskiego rządu względem Polaków i był zarazem kubłem zimnej wody, wylanej na rozpalone głowy zbytnią miłością ku Wiedniowi pałającej części naszej inteligencji.

Nastąpiło otrzeźwienie i żywiołowy odruch. Ocknął się długoletnią, wiedeńską hipokryzją uśpiony naród i zszeregował się w duchu na szańcach zagrożonej swej ziemi odwiecznej.

Na znak protestu w dniu 18 lutego 1918 r. zawiesiły swe czynności wszystkie urzędy, nie wyłączając starostw ; ustała wszelka praca powszednia, zamarł zupełnie ruch w handlach i warsztatach, stanęły koleje. Z okolicznych wsi tłumy ludności ściągały do Tarnobrzega, gdzie liczni mówcy wyjaśniali zgromadzonym haniebną zdradę austriackiego rządu, nie szczędząc mu wrogich okrzyków.

Na jednym z takich zgromadzeń, urządzonym w lasku, zwanym Borkiem Miechocińskim, sędziwy wójt dzikowski Jan Słomka złożył na ręce organizatorów wiecu swój medal zasługi celem odesłania go cesarzowi ; podobnie postąpił wspomniany poprzednio dr. Urbanik z orderem kawalerskim Franciszka Józefa.

A pod obłoki huraganową mocą biły słowa „Roty": „Nie damy ziemi, skąd nasz ród! Tak nam dopomóż Bóg!" - i brzmiała pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła".

Wspaniały to był moment ! Zespolił on jedną wielką myślą wszystkie stany narodu, wszystkie nasze obozy polityczne, stał się wielkim świętem grzmiącego na świat cały protestu Polski. A c. k. satrapi stali i drżeli bezradni. Dziesiątki lat żmudnej, nieustającej pracy nad wypleniem z duszy narodu zielska austriackiego nie dokazałyby chyba takiego cudu, co ten jeden dzień. Hej, jakżeśmy wtedy hr. Czernina za ten polityczny absurd błogosławili !

W związku z powyższą sprawą Zosia pisała mi z Krakowa, że na zewnętrznej ścianie jednej z kamienic przy ruchliwej ulicy można było oglądać wizerunek rozpiętego na krzyżu Chrystusa, a po obu jego bokach portrety cesarzów Karola i Wilhelma, na spodzie zaś dużymi literami u-

widoczniony napis, że „Między takimi dwoma łotrami Pan Jezus jeszcze nigdy nie wisiał".

Ale też i przygnębienie, przeradzające się niemal w całkowite zwątpienie, wywołał ów pakt brzeski u części społeczeństwa, szczególnie u tych, którzy zbawienie Polski widzieli w łączności z Austrią.

Poeta Lucjan Rydel, autor „Betleemu Polskiego", Polak gorący, jedna z najszlachetniejszych dusz, jakie w mej życiowej wędrówce spotykałem, pod wpływem tych austriackich zdrad, w dniu 6 marca 1918 r., a więc na krótko przed swą śmiercią, pisał do mnie między innymi :

„Tak mną wstrząsnęły wypadki toczące się obecnie,że po prostu myśli pozbierać nie mogę.Dotąd ciągle jestem jak rozbity i całym wysiłkiem woli zdobywam się na tyle równowagi, ile jej potrzeba koniecznie,żeby spełniać codziennie obowiązki, - ale tylko tyle ! Myśli zebrać trudno, opamiętać się nie sposób. Każdą wolną chwilę zbywam czytaniem, żeby nie myśleć, nie pamiętać, nie czuć ...

„Każdy dzień przynosi nowe przykrości, albo zapowiedź nowych krzywd i niepowodzeń ... Życie mierznie, resztki energii zużywają się w tych zabiegach, w końcu przychodzi zmęczenie i obojętność bezmyślna, która na wszystko ma tylko jedną odpowiedź : Po co ? Czy warto ? Ja wiem, że to źle, że to wstyd - zawsze warto i trzeba robić wszystko, co się tylko da zrobić. Trzymałem się, znosiłem wszystko z humorem i pogodą, której się ludzie nieraz dziwili i zazdrościli, bo na końcu tej krzyżowej drogi utrapień widziałem wyraźną zorzę i mówiłem sobie, że wobec niej wszystko jest błahostką. Byłbym wytrzymał i dziesięć lat, byle z tą wiarą, z tą nadzieją. Aż tu jednego dnia okazuje się, że zarza jest tylko łuną pożarną, poza którą tylko pustka i noc. W tę ciemność patrzeć zgroza bierze.

„Prawda, że to wszystko może jeszcze zupełnie się zmienić, mogą zajść rzeczy, o których wie tylko Bóg, rzeczy godne Boga i przyszłej ludzkości, może te zmory z piekła rodem rozwieją się jak mgła. Lecz tymczasem zostaje tylko niepokój, troska, zgryzota. Musieli takimi oczyma ludzie patrzeć na wzbierające wody potopu i czuć to, co my teraz czujemy. Ale przecie wody opadły i na niebie zajaśniała tęcza. Teraz

dopiero nauczyłem się modlić, jak nigdy przedtem, teraz dopiero pojmuję, co znaczy „przyjdź królestwo Twoje !"

„Wszystkie nasze osobiste przykrości, niedole i trudy toć to tylko dym niby, który wprawdzie gryzie w oczy, ale się rozwieje z pierwszym podmuchem. Byle tylko ten podmuch powiał, byle te zmory porozpędzał, a wszystko złe minie.

„Możem ja nie powinien drogiemu Panu wypisywać tego wszystkiego, bo to nie pocieszające. Każdy ma swój głaz na piersiach, po co mu zwalać jeszcze ten cudzy ? Ale ja wiem, że my dusimy się wszyscy pod tym samym kamieniem, Pan również jak ja, my wszyscy przeżywamy to samo."

Zwątpieniu poddało się wówczas wielu moich przyjaciół, chociaż przed wojną radzi śpiewali: „Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei, Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi", - a jeden z nich, Szymon Chełpiński, skarżył się mi : „Bodajem tej chwili nie dożył". I, niestety, nie dożył biedak, ale dnia zmartwychwstania Ojczyzny, na wolność której wiele serdecznych piosenek wyśpiewał.

Bardzo to smutne, jeżeli w dniach niepowodzeń braknie wiary we własne siły. Cierpieliśmy podczas wojny dużo, to prawda, ale też nie należy zapominać, że rzecz wielką zdobyć można kosztem wielkich tylko ofiar.

Gdy gromy wojny, huczące nad nami,
W gorzkiej niedoli wtrącają nas toń,
Zamiast rzewnymi zalewać się łzami,
Wszyscy podajmy sobie bratnią dłoń.
  Złączone siły, serca skojarzone
  Najsnadniej leczą dusze zasmucone.
Ciężkie przygniata barki nasze brzemię,
Gruzy, popioły - zwykły wojny siew -
Ojczystą, naszą zaścieliły ziemię
I hojnie ludzka zwilżyła ją krew.
  Lecz łzy i skargi, co echem się niosą,
  Ran nie zagoją, chat ze zgliszcz nie wzniosą.
Błogosławieni, którzy silni duchem
Patrzeć umieją śmiało klęsce w twarz
I, nie zmożeni nieszczęścia obuchem,
U progów J u t r a wiernie pełnią straż.
  Im wschodzącego słońca blask promieni
  Ciężkie kajdany w lekkie skrzydła zmieni.
Bo wiedz, serdeczny mój ludu Piastowy,
Że z tych zgliszcz naszych grodów, świątyń, chat
Wnet ku obłokom Feniks wzleci nowy,
Bujnie rozkrzewi się wolności kwiat.
  I nową, świetną szatą przyodziana,
  Żal nasz ukoi Ojczyzna kochana.
Więc nie poddając się zbytniej żałobie,
Kładźmy fundament pod przyszłości chram,
Wszak Pan powiedział :Pomagajcie sobie,
Jeżeli chcecie, bym dopomógł wam.
  Pomoc wzajemna i jeden duch męski
  Niech nam przodują wśród dziejowej klęski !

III.

Świty. - Wyprawa po zboże. - Uczynność przyjaciół. - Śmierć matki. - Zosia po maturze.

Niedługo po brzeskiej ugodzie było już wiadomem, że armie państw centralnych stale ponoszą klęski, a faktu tego nie zdołały ukryć wychodzące pod ostrą cenzurą gazety, zmuszone karmić swych czytelników urzędowymi komunikatami o ciągłych „sukcesach", mimo „strategicznego" cofania się wojsk austriacko - niemieckich.

Była to więc wyraźna „jutrzenka swobody", zza której wyłonić się nam miało „zbawienia słońce". Ale też i nędza wśród ludności doszła była do zatrważających rozmiarów, powodując bezwład ducha i bezmyślną apatię wobec najżywotniejszych spraw narodu.

Wstrząsnęły ciałem ludu Twego dreszcze,
Gdy oto zorze, wiekuisty Panie,
Nam ukazujesz na niebiosach wieszcze -
Na zmartwychwstanie.
Wstrząsnęły dreszcze sercami naszymi,
Jak łanem żyta wiatr w południe skwarne,
Gdy płowe kłosy już chyli ku ziemi
Ziarnem ciężarne.
Wśród rozpętanej, krwawej zawieruchy,
Piorunów trzasku, ognistej spiekoty,
Dążymy pełni wiary i otuchy
Na szczyt Golgoty.
Skąd ujrzeć mielim brzask swego zbawienia,
A brzask ten oto już nam różowieje,
Gdy ciało w długiej drodze z utrudzenia
Chwilowo mdleje.
O, wspomóż, Panie ! Wesprzyj wątłe siły,
Gdyż brzemię trudów przytłacza nas srodze,-
Mnogie na naszej znaczą się mogiły
Krzyżowej drodze.
I poprzez strugi krwi brodząc czerwone,
Widzim dokoła ciał strzępy i kości
I Twych przybytków budowle zburzone
I zgliszcza włości.
O, nie daj, Panie, by w połowie drogi
Z sił wyczerpane ciało omdlewało,
By serce, wolne dotychczas od trwogi,
Drżeć w końcu miało.
Bo choć ogromne są nasze cierpienia,
Bo choć nie milknie wdów i sierot łkanie,
W kres kaźni naszej, w Jutro Odrodzenia
My wierzym, Panie !

Największą trudność stanowiło zdobycie środków żywności, na które wydawano owe sławne kartki, bez których nie kupiłby ani szczypty cukru,

III.

Świty. - Wyprawa po zboże. - Uczynność przyjaciół. - Śmierć matki. - Zosia po maturze.

Niedługo po brzeskiej ugodzie było już wiadomem, że armie państw centralnych stale ponoszą klęski, a faktu tego nie zdołały ukryć wychodzące pod ostrą cenzurą gazety, zmuszone karmić swych czytelników urzędowymi komunikatami o ciągłych sukcesach, mimo „strategicznego" cofania się wojsk austriacko - niemieckich.

Była to więc wyraźna „jutrzenka swobody", zza której wyłonić się nam miało „zbawienia słońce". Ale też i nędza wśród ludności doszła była do zatrważających rozmiarów, powodując bezwład ducha i bezmyślną apatię wobec najżywotniejszych spraw narodu.

Wstrząsnęły ciałem ludu Twego dreszcze,
Gdy oto zorze, wiekuisty Panie,
Nam ukazujesz na niebiosach wieszcze -
Na zmartwychwstanie.
Wstrząsnęły dreszcze sercami naszymi,
Jak łanem żyta wiatr w południe skwarne,
Gdy płowe kłosy już chylił ku ziemi
Ziarnem ciężarne.
Wśród rozpętanej, krwawej zawieruchy,
Piorunów trzasku, ognistej spiekoty,
Dążymy pełni wiary i otuchy
Na szczyt Golgoty.
Skąd ujrzeć mielim brzask swego zbawienia,
A brzask ten oto już nam różowieje,
Gdy ciało w długiej drodze z utrudzenia
Chwilowo mdleje.
O, wspomóż, Panie ! Wesprzyj wątłe siły,
Gdyż brzemię trudów przytłacza nas srodze, -
Mnogie na naszej znaczą się mogiły
Krzyżowej drodze.
I poprzez strugi krwi broczące czerwone,
Widzim dokoła ciał strzępy i kości
I Twych przybytków budowle zburzone
I zgliszcza włości.
O, nie daj, Panie, by w połowie drogi
Z sił wyczerpane ciało omdlewało,
By serce, wolne dotychczas od trwogi,
Drżeć w końcu miało.
Bo choć ogromne są nasze cierpienia,
Bo choć nie milknie wdów i sierot łkanie,
W kres kaźni naszej, w Jutro Odrodzenia
My wierzym, Panie !

Największą trudność stanowiło zdobycie środków żywności, na które wydawano owe sławne kartki, bez których nie kupiłby ani szczypty cukru,

ani garści mąki, ani niczego. Dotkliwie też odczuć się dawał brak materiałów na ubrania, płócien na bieliznę i skór na obuwie.

Ludzie na stanowiskach, lepiej sytuowani urzędnicy, wreszcie ci, co to wobec możnych umieli giąć swoje elastyczne karki i z usługami nadskakiwać, braków tych nie odczuwali ; biedniejsi natomiast cierpieli skrajną nędzę, która wielu siłą faktu pchnęła na bezdroża, co głównie dało początek ogólnej demoralizacji.

Dla tych to wpływowych osobników i rodzin ich w okolicznych dworach zawsze się coś na potrzeby znalazło.

Przyciśnięty koniecznością udałem się pewnego dnia do dzikowskiego zamku z prośbą o sprzedanie mi nieco ziarna na chleb dla głodnych dzieci. Po długim i denerwującym czekaniu w przedpokoju otrzymałem odpowiedź - odmowną. Odmowę tę motywowano zaś tym, że pełnomocnik hrabiego, dr. Józef Kaden, jako komisarz zbożowy z ramienia rządu, nie może wchodzić w kolizję z prawem ,.. Dla osłody tej odmowy radzono mi pójść do starostwa i tam uzyskać urzędowy kwit na wydanie potrzebnej ilości zboża, a wtedy dopiero zboże to dostanę.

Do tej życzliwej rady jednak nie zastosowałem się, wiedziałem bowiem nadto dobrze, tak dobrze, jak i ci, co tej rady mi udzielili, że prośba uzyskania od panów urzędników starostwa takiego urzędowego kwitu byłaby niedościgłą mrzonką. Wróciłem więc z niczym. A skoro koledze biurowemu opowiedziałem tę nieudałą do zamku wyprawę i przytoczyłem treść danej mi odpowiedzi, ten odrzekł : „Panie, to polityka ... Gdyby rzeczywiście w tym wypadku tylko przepis prawny stał na przeszkodzie, a zapas zboża był nawet co do kilograma obliczony, znaleźliby tysiąc sposobów na obejście przepisów i byłoby wszystko w porządku ". Uwadze tej nie odmówić słuszności.

Innym razem dowiedziawszy się, że pełnomocnik dóbr Stanisława Dolańskiego w Baranowie, Trzeciak, wydziela urzędnikom tarnobrzeskim zboże, zaopatrzyłem się w worek i pieniądze i pojechałem do owego baranowskiego zamku, sławnego ongiś z przebywającego w jego lochach legendarnego bazyliszka. Ale i stąd wróciłem do domu z tym samym pustym workiem, straciwszy niepotrzebnie kilkanaście koron na jazdę koleją.

Jeszcze innym razem poszedłem za poradą wtajemniczonych osób do

pobliskiego, w skład klucza dzikowskiego wchodzącego folwarku Wymysłowa, którego zarządca, inspektor Zdzisław Gumiński, dostarczał znajomym pszenicę. Było to rankiem przy końcu zimy. Inspektor jeszcze spał po nocnej zabawie w towarzystwie austriackiego pułkownika. Postanowiłem czekać cierpliwie. Może po godzinie czekania w chwili, gdy kucharka do pokoju pana wnosiła ranną kawę, przez uchylone drzwi oczy moje spotkały się z oczyma pana inspektora, który snać domyśliwszy się, co mię tam sprowadziło, dyskretnie cofnął się i drzwi za sobą zamknął. Czekałem jeszcze jakiś czas, ale skoro pukanie moje nie odnosiło skutku, zniechęcony i zły wróciłem do domu.

Żeby mi kto nie czynił zarzutu, iż na świat i życie patrzę zza okularów klasowego uprzedzenia, oraz chcąc być sprawiedliwym, - dla satysfakcji panów dziedziców, jakoteż ich wielkorządców, stwierdzam z miejsca lojalnie, że nasi kochani chłopkowie nie przewyższali ich w chwalebnym wypełnianiu szczytnych przykazań czynienia dobrze bliźniemu, co pozwolę sobie wykazać paroma faktami.

Spotkawszy raz w Tarnobrzegu mego kuma i przyjaciela, Waleriana Wryka, dość majętnego gospodarza i wójta z Wielowsi, o którym wiedziałem, że ładny zapasik zboża w jego sąsieku pleśnieje, proszę go :

„Kumie, zlitujcie się, sprzedajcie mi trochę żyta ".

- „Wieleż chcecie ?"

- „Choćby korczyk ..."

A kum, kiwając przyjaźnie głową, odrzekł z gotowością :

- „Dobrze, dobrze, sprzedam"

- „Bóg wam zapłać, kumoterku. Kiedyż mam wysłać furmankę ?"

- „Nie potrzebujecie się trudzić, kumie. Za parę dni mam być znów w Tarnobrzegu, to wam przywiozę".

Ale minęło tych parę dni, wreszcie tygodni - i nic. Aż spotykam przypadkiem kuma i przypominam mu obiecaną dostawę. Wtedy on, jakby nigdy zgoła o niczym nie wiedział, nabiera całkiem z innej beczki :

„Ja dla własnej potrzeby kupuję sobie żyto za Wisłą, bo swego nie mam. Więc i wam radzę, kumie, pójść za Wisłę, gdzie tanio sobie żyta kupicie".

W potocznym języku znaczyło to : „Jedź na Berdyczów"...

Kiedyindziej spotykam szwagra, Marcina Chaję, z Koćmierzowa i pro -

pobliskiego, w skład klucza dzikowskiego wchodzącego folwarku Wymysłowa, którego zarządca, inspektor Zdzisław Gumiński, dostarczał znajomym pszenicę. Było to rankiem przy końcu zimy. Inspektor jeszcze spał po nocnej zabawie w towarzystwie austriackiego pułkownika. Postanowiłem czekać cierpliwie. Może po godzinie czekania w chwili, gdy kucharka do pokoju pana wnosiła ranną kawę, przez uchylone drzwi oczy moje spotkały się z oczyma pana inspektora, który snać domyśliwszy się, co mię tam sprowadziło, dyskretnie cofnął się i drzwi za sobą zamknął. Czekałem jeszcze jakiś czas, ale skoro pukanie moje nie odniosło skutku, zniechęcony i zły wróciłem do domu.

Żeby mi kto nie czynił zarzutu, iż na świat i życie patrzę zza okularów klasowego uprzedzenia, oraz chcąc być sprawiedliwym, - dla satysfakcji panów dziedziców, jakoteż ich wielkorządców stwierdzam z miejsca lojalnie, że nasi kochani chłopkowie nie przewyższali ich w chwalebnym wypełnianiu szczytnych przykazań czynienia dobrze bliźniemu, co pozwolę sobie wykazać paroma faktami.

Spotkawszy raz w Tarnobrzegu mego kuma i przyjaciela, Waleriana Wryka, dość majętnego gospodarza i wójta z Wielowsi, o którym wiedziałem, że ładny zapasik zboża w jego sąsieku pleśnieje, proszę go :

„Kumie, zlitujcie się, sprzedajcie mi trochę żyta ".

- „Wieleż chcecie ?"

- „Choćby korczyk ..."

A kum, kiwając przyjaźnie głową, odrzekł z gotowością :

- „Dobrze, dobrze, sprzedam"

- „Bóg wam zapłać, kumoterku. Kiedyż mam wysłać furmankę ?"

- „Nie potrzebujecie się trudzić, kumie. Za parę dni mam być znów w Tarnobrzegu, to wam przywiozę".

Ale minęło tych parę dni, wreszcie tygodni - i nic. Aż spotykam przypadkiem kuma i przypominam mu obiecaną dostawę. Wtedy on, jakby nigdy zgoła o niczym nie wiedział, nabiera całkiem z innej beczki :

„Ja dla własnej potrzeby kupuję sobie żyto za Wisłą, bo swego nie mam. Więc i wam radzę, kumie, pójść za Wisłę, gdzie tanio sobie żyta kupicie".

W potocznym języku znaczyło to : „Jedź na Berdyczów"...

Kiedyindziej spotykam szwagra, Marcina Chaję, z Kocmierzowa i pro-

dzę go o sprzedanie mi żyta.

- „Sprzedałbym, sprzedał z drogiej chęci, ale sam nie mam nic, a nic" - odrzekł szwagier.

- „Ależ szwagrze, tylko ćwierć ; na tyle was chyba stać."

- „Nie mam nic, a nic !"

I na poparcie prawdziwości swego twierdzenia począł się szwagierek łupać pięścią w kałdun.

Aliści w kilka dni później żona idąc do Koćmierzowa, na drodze spotyka znajomego żydka z Wielowsi, wiozącego worki z żytem.

- „Icek, - woła moja kobieta - bój się Boga, skąd ty tyle żyta wieziesz ?"

- „A od Marcina Chaji " - brzmiała odpowiedź.

Wchodzi wreszcie żona do szwagra i mówi doń prosto z mostu : „Tak to szwagrze robicie ! Kiedy mój prosił was, byście nam choć ćwierć żyta sprzedali, toście się zaklinali, że nic nie macie, ale jak dla żyda, to się zdybało u was parę korcy na raz ".

A szwagierek z obleśnym uśmiechem odparł cynicznie :

„A czy to was byłoby stać tyle zapłacić, ile mi żyd zapłacił ?"

Tak więc na nędzy ludzkiej rośli i tuczyli się paskarze, a siłą popędową, dostarczającą energii dla ich egzystencji, byli właśnie tacy, jak powyż opisani samolubni egoiści, z których wielu nawet dość szybko na prawdziwych paskarzy się przeobraziło.

Raz przecież owego czasu głodu udało się nam w dość łatwy i pospolity sposób zdobyć dwa korce żyta, a to tak było:

Matus Motyka, gospodarz z Sobowa, przywiózł pewnego jesiennego dnia do nas cichaczem pięć korcy żyta celem ukrycia i uchronienia przed rekwizycją. Zaausługę przechowania odsprzedał nam jeden korzec. W międzyczasie odczuliśmy dotkliwy brak chleba, wobec czego żona postanowiła sięgnąć do jednego z owych, w naszym przechowaniu będących worków.

-„Miejże, kobieto,sumienie - perswaduję jej - cudza własność jest rzeczą świętą".

- „Sumienie, sumienie - ona mi na to - miałażbym to sumienie dozwolić zginąć dzieciom z głodu! A na jakiż to cel żyto u nas Matus przechował ? Na handel, na szmugiel pewnikiem. Czy to nie grzech ?"

się go o sprzedanie mi żyta.

- „Sprzedałbym, sprzedał z drogiej chęci, ale sam nie mam nic, a nic" - odrzekł szwagier.

- „Alež szwagrze, tylko ćwierć ; na tyle wąs chyba stać."

- „Nie mam nic, a nic !"

I na poparcie prawdziwości swego twierdzenia począł się szwagierek łupać pięścią w kałdun.

Aliści w kilka dni później żona idąc do Łomierzowa, na drodze spotyka znajomego żydka z Wielowsi, wiozącego worki z żytem.

- „Icek, - woła moja kobieta - bój się Boga, skąd ty tyle żyta wieziesz ?"

- „A od Marcina Chaji " - brzmiała odpowiedź.

Wchodzi wreszcie żona do szwagra i mówi doń prosto z mostu :

„Tak to szwagrze robicie ! Kiedy mój prosił was, byście nam choć ćwierć żyta sprzedali, toście się zaklinali, że nic nie macie, ale jak dla żyda, to się zdybało u was parę korcy na raz ".

A szwagierek z obleśnym uśmiechem odparł cynicznie :

„A czy to was byłoby stać tyle zapłacić, ile mi żyd zapłacił ?"

Tak więc na nędzy ludzkiej rośli i tuczyli się paskarze, a siłą popędową, dostarczającą energii dla ich egzystencji, byli właśnie tacy, jak powyż opisani samolubni egoiści, z których wielu nawet dość szybko na prawdziwych paskarzy się przeobraziło.

Raz przecież owego czasu głodu udało się nam w dość łatwy i pospolity sposób zdobyć dwa korce żyta, a to tak było:

Matus Motyka, gospodarz z Sobowa, przywiózł pewnego jesiennego dnia do nas cichaczem pięć korcy żyta celem ukrycia i uchronienia przed rekwizycją. Za usługę przechowania odsprzedał nam jeden korzec. W międzyczasie odczuliśmy dotkliwy brak chleba, wobec czego żona postanowiła sięgnąć do jednego z owych, w naszym przechowaniu będących worków.

-„Miejże, kobieto,sumienie - perswaduję jej - cudza własność jest rzeczą świętą".

- „Sumienie, sumienie - ona mi na to - miałażbym to sumienie dozwolić zginąć dzieciom z głodu! A na jakiż to cel żyto u nas Matus przechował ? Na handel, na szmugiel pewnikiem. Czy to nie grzech ?"

I spierajże się z tak dowodzącą kobietą ?! Odsypała więc ćwierć, potem drugą.

W kwietniu dopiero, kiedy to cena zboża doszła była do zawrotnej wysokości, przyjechał Matus po swoje żyto i z miejsca dowiedział się o ubytku pół korca oraz usłyszał propozycję żony odstąpienia nam drugiego pół korca.

Nawymyślał coś tam chłop, namruczał, propozycję ze złością odrzucił, ale skoro chciał ów półkorczyk na wóz naładować, żona rozpaczliwie uczepiła się worka i rozpoczęło się wzajemne mocowanie. Przedmiot sporu przechylał się to w tę, to w tamtą stronę ; chłop był mocniejszy, ale miłość macierzyńska ku głodującym dzieciom wprost nadludzkich sił kobiecie dodała, wobec czego Matus jako chłop honorowy, nie chcąc burd robić, skapitulował i, nie upomniawszy się nawet o zapłatę, z ocalonymi trzema korcami pojechał.

Dopiero za kilka dni przyszedł po zapłatę, którą co do grosza już bez jakiejkolwiek sprzeczki, jakby nic nigdy nie zaszło, otrzymał. Tak więc „wilk był syty i owca cała".

Do ukrywania zboża przed rekwizycją uciekali się wszyscy drobni producenci, używając przytym najrozmaitszych fortelów dla omylenia czujności rekwirujących urzędników i żandarmów. Ale zabiegi ich nie zawsze dobry odnosiły skutek, wszystkie bowiem kąciki osiedla gospodarza skrzętnie rewidowano, wszystko - że użyję utartego terminu - do góry nogami przewracano. Ukrywanie odbywało się zawyczaj w sekrecie przed sąsiadami, którzy zazdrosnym okiem wzajemnie na siebie spoglądali.

Opowiadano mi wówczas taki wypadek, że pewien gospodarz uprzedzony o mającej się odbyć rewizji, na ustawiony umyślnie przy gnojowni wóz nałożył worki ze zbożem, przykrył je kopiasto gnojem i uspokojony czekał rewizji. Ale niestety, zazdrosny sąsiad podpatrzył i zadenuncjował, wobec czego biedakowi nietylko że wszystko zabrano, ale go jeszcze ukarano.

W tego rodzaju denuncjacjach tkwi coś tak haniebnego i potwornego że określenie postępków takich mianem „chamstwa" wydaje się zbyt łagodną terminologią.

Troska utrzymania przy życiu rodziny zmuszała mnie imać się bodaj groszowych, ubocznych zarobków, którym na szczęście z powodu nieobecności

powołanego do wojska sekretarza Rady Powiatowej, Antoniego Bielewicza, mogłem się każdej wolnej chwili swobodnie oddawać, co ułatwiało mi wegetację - ale tylko wegetację.

Pozostałe w domu, skazane na przymusowe głodowanie, dzieci słabły, w konsekwencji czego zdolności do nauk w nich zanikały. Skutki tego głodu odbiły się najpierw na zdrowiu mej matki, która spędziwszy całe swe życie w twardej, nieustającej pracy, bez pracy tej żyć wręcz nie umiała i pomimo głodu i widocznej niemocy, obojętna na moje prze - strogi i prośby, odpocząć nie chciała, dopóki zupełna niemoc na łoże cierpień jej nie powaliła. Po kilku dniach choroby, nad ranem 23 kwietnia 1918 r., pobłogosławiwszy nas wszystkich, po 74 latach pracowitego a gorzkiego życia ducha Bogu oddała.

Od świtu życie jej się wypełniało
Modlitwą cichą i pracą wytrwałą,
Wczasu południa odmawiała sobie,
W zachód spoczęła w wymodlonym grobie.

W czerwcu 1918 r. zdała Zosia maturę, a choć dwuletnia praca nad sobą w głodzie i chłodzie bardzo ją zmizerowała, pełna zapału do pracy i ochoty do życia, radośnie przed siebie patrzyła. Wkrótce dostała posadę nauczycielki kierującej we wsi Strzyżewice gminy Piotrowice, niedaleko Lublina.

powołanego do wojska sekretarza Rady Powiatowej, Antoniego Bielewicza, mogłem się każdej wolnej chwili swobodnie oddawać, co ułatwiało mi wegetację - ale tylko wegetację.

Pozostałe w domu, skazane na przymusowe głodowanie, dzieci słabły, w konsekwencji czego zdolności do nauk w nich zanikały. Skutki tego głodu odbiły się najpierw na zdrowiu mej matki, która spędziwszy całe swe życie w twardej, nieustającej pracy, bez pracy też żyć wprost nie umiała i pomimo głodu i widocznej niemocy, obojętna na moje przestrogi i prośby, odpocząć nie chciała, dopóki zupełna niemoc na łoże cierpień jej nie powaliła. Po kilku dniach choroby, nad ranem 23 kwietnia 1918 r., pobłogosławiwszy nas wszystkich, po 74 latach pracowitego a gorzkiego życia ducha Bogu oddała.

Od świtu życie jej się wypełniało
Modlitwą cichą i pracą wytrwałą,
Wczasu południa odmawiała sobie,
W zachód spoczęła w wymodlonym grobie.

W czerwcu 1918 r. zdała Zosia maturę, a choć dwuletnia praca nad sobą w głodzie i chłodzie bardzo ją zmizerowała, pełna zapału do pracy i ochoty do życia, radośnie przed siebie patrzyła. Wkrótce dostała posadę nauczycielki kierującej we wsi Strzyżewice gminy Piotrowice, niedaleko Lublina.

IV.

W i t a j O j c z y z n o ! - R e p u b l i k a t a r n o - b r z e s k a . - P r a c a a p ł a c a .

W listopadzie 1918 r. gruchnęła wieść : Austria i Niemcy pobite ! i równocześnie na ulicach Tarnobrzega uwijali się w drobnych grupkach nasi legioniści. Przewidujący klęskę państw centralnych, poukrywani w swych kwaterunkach nieliczni żołnierze-Czesi, na pierwszą wieść o pogromie wypełzli ze swych kryjówek i odrzuciwszy precz broń oraz pozrywawszy z czapek austriackie bączki, z śmiejącymi oczyma, pozdrawiając nas wykrzykiwaniem „Na zdar!" - w żwawych podskokach spieszyli do stacji kolejowej, pragnąc się jak najrychlej dostać do ojczyzny.

Tymczasem legioniści patrolowali, odbierając błądzącym w osłupieniu po mieście nielicznym c. k. żołnierzom broń, ładunki, tornistry i rzemienne pasy.

Ukazali się i żandarmi, z bardzo niewyraźnymi minami, budząc swymi służbowymi czapkami, kaducznie oszpeconymi poobrywaniem szczytowych bączków, złośliwe uśmiechy u patrzących.

Rzadko spotykani żydzi z pospuszczanymi głowami i jakby zataczający się na nogach, czynili wrażenie odrętwiałych.

Wolność !.. Hej ! Boże kochany ! Bądź uwielbiony, iżeś dozwolił dożyć tej radosnej chwili wybawienia !

Witaj Ojczyzno w aureoli chwały !
Wolność na nowo bierze z tobą ślub,
Na nowe życie powstał naród cały,
Odbywszy drogę wszystkich życia prób.
Po długich latach rozłąki, pospołu
Twe dzieci znowu u jednego stołu.
Witaj Ojczyzno ! Stuletnie udręki
Znosić umiałaś i nadzieją żyć,
Więc oczyszczona w ogniu własnej męki,
Świetniej niż ongi odtąd będziesz lśnić.
Będziesz dla innych przykładem i wzorem,
Jakim przez życie dążyć trzeba torem.
Witaj Ojczyzno ! - Polsko zjednoczona !
Rozbrzmiewaj pieśnią wśród dolin i gór
I bądź po trzykroć sercem pozdrowiona
W męstwie twych synów, wierności twych cór !
Bądź pozdrowiona w tym morzu cierpienia,
Z którego wzięłaś chrzest twego zbawienia !
Bądź pozdrowiona w nowej życia dobie,
W wskrzeszonej erze najświetniejszych lat !

IV.

W i t a j O j c z y z n o ! - R e p u b l i k a t a r n o - b r z e s k a . - P r a c a a p ł a c a .

W listopadzie 1918 r. gruchnęła wieść : Austria i Niemcy pobite i równocześnie na ulicach Tarnobrzega uwijali się w drobnych grupkach nasi legioniści. Przewidujący klęskę państw centralnych, poukrywani w swych kwaterunkach nieliczni żołnierze-Czesi, na pierwszą wieść o pogromie wypełzli ze swych kryjówek i odrzuciwszy precz broń oraz pozrywawszy z czapek austriackie bączki, z śmiejącymi oczyma, pozdrawiając nas wykrzykiwaniem „Na zdar!" - w żwawych podskokach spieszyli do stacji kolejowej, pragnąc się jak najrychlej dostać do ojczyzny.

Tymczasem legioniści patrolowali, odbierając błądzącym w osłupieniu po mieście nielicznym c. k. żołnierzom broń, ładunki, tornistry i rzemienne pasy.

Ukazali się i żandarmi, z bardzo niewyraźnymi minami, budząc swymi służbowymi czapkami, kaducznie oszpeconymi poobrywaniem szczytowych bączków, złośliwe uśmiechy u patrzących.

Rzadko spotykani Żydzi z pospuszczanymi głowami i jakby zataczający się na nogach, czynili wrażenie odrętwiałych.

Wolność !.. Hej ! Boże kochany ! Bądź uwielbiony, żeś dozwolił dożyć tej radosnej chwili wybawienia !

Witaj Ojczyzno w aureoli chwały !
Wolność na nowo bierze z tobą ślub,
Na nowe życie powstał naród cały,
Odbywszy drogę wszystkich życia prób.
Po długich latach rozłąki, pospołu
Twe dzieci znowu u jednego stołu.
Witaj Ojczyzno ! Stuletnie udręki
Znosić umiałaś i nadzieją żyć,
Więc oczyszczona w ogniu własnej męki,
Świetniej niż ongi odtąd będziesz lśnić.
Będziesz dla innych przykładem i wzorem,
Jakim przez życie dążyć trzeba torem.
Witaj Ojczyzno ! - Polsko zjednoczona !
Rozbrzmiewaj pieśnią wśród dolin i gór
I bądź po trzykroć sercem pozdrowiona
W męstwie twych synów, wierności twych cór !
Bądź pozdrowiona w tym morzu cierpienia,
Z którego wziąłaś chrzest twego zbawienia !
Bądź pozdrowiona w nowej życia dobie,
W wskrzeszonej erze najświetniejszych lat !

Niech na niewoli i ucisku grobie
Szczęścia narodu rozwija się kwiat !
Z upadku na szczyt chwały wyniesiona
Ojczyzno wolna - bądź nam pozdrowioną !

Zaraz po odzyskaniu wolności ukazali się na arenie politycznej tarnobrzeskiego powiatu niepowołani budowniczowie ustroju państwowego w Polsce, z X. Eugeniuszem Okoniem z Radomyśla nad Sanem i Tomaszem Dąbalem z Sobowa na czele.

Rozagitowana na licznych wiecach i ujęta zapowiedzią oddania rządów „w ręce ludu" oraz obietnicę bezpłatnego rozdzielenia pańskich gruntów, - ludność powiatu zaakceptowała projekt owych „opatrznościowych" mężów utworzenia „republiki tarnobrzeskiej".

Na czym właściwie owa republika zasadzać się miała, bliżej nie wiem, będąc bowiem zaabsorbowany rozlicznymi, osobistymi strapieniami, nie mięszałem się w te sprawy.

Ale obok mnogich, rekrutujących się z bezkrytycznej masy zwolenników, miała republika ta także przeciwników, głównie pośród inteligencji. Nieubłaganym zaś wrogiem owych twórców „republikańskiego porządku" okazał się ówczesny szef administracji, poseł Zygmunt hr. Lasocki, aż dotąd przez ludność powiatu uwielbiany, od chwili zaś kiedy Okoń z Dąbalem położenie opanowali, raptem znienawidzony. Z jego to zarządzenia chciano aresztować Dąbala, ale tenże ostrzeżony umknął za Wisłę, gdzieśsię przez jakiś czas ukrywał ; bardziej zaś zapalonym z pośród okolicznego chłopstwa osobnikom leczono ową republikańską gorączkę - sypaniem pewnej ilości „buków"...

Sprawiedliwość podnieść nakazuje, że w Zygmuncie Lasockim miała ludność szczerego opiekuna i oddanego rzecznika spraw swoich tak wówczas, kiedy to jeszcze jako starosta tarnobrzeski kierował sprawami powiatu, jako też później, kiedy do parlamentu wiedeńskiego posłował.

Szczególnie podczas wojny dużo dobrego ludności czynił. Kwatera jego w Dzikowie / w domu Gołębiowskiego / zawsze była przez tłumy okolicznej ludności oblęgana, skoro tylko tamdotąd przyjechał. Każdego interesanta przyjął, każdego wysłuchał, każdemu w miarę możności dopomógł. Wystarał się był nawet o tanie ubrania, materiały na nie, buty, skóry i t.p. rzeczy, o które podczas wojny niezmiernie trudno było, i towary te po ce-

nie kosztu między najbardziej potrzebującą ludność rozdawał.

Niepochlebne więc świadectwo ludność tarnobrzeskiego powiatu dojrzałości swej wystawiła, skoro w tak niezmiernie ważnym, dziejowym momencie, dając się lekkomyślnie uwieść pustym krzykom domorosłych demagogów, nienawiść swą zwróciła przeciw dotychczasowemu posłowi, który tyle dobrego jej czynił i mógł przy dalszym darzeniu go zaufaniem wiele jeszcze dobrego uczynić.

„Sypanie buków" - jakkolwiek było niebardzo politycznie pomyślanym aktem - miało swój usprawiedliwiony powód. Ludność bowiem świeżo upieczonej „ republiki tarnobrzeskiej" zbyt radykalnego nabrała pojęcia o swej osobistej wolności, zbyt wygórowane pod względem przysługujących jej praw rościła sobie pretensje, o czym świadczy następujący, jeden z wielu fakt.

Celem uspokojenia roznamiętnionych umysłów wydali biskupi list pasterski do ogłoszenia go z ambon ludowi. O liście tym i mającym nastąpić w kościołach jego ogłoszeniu uprzedzeni byli owi samozwańczy trybuni i, pragnąc za każdą cenę ustrzec się niepożądanego dla siebie zwrotu / Okoń i Dąbal kandydowali właśnie na posłów do sejmu ustawodawczego /, podmówili pewnych chłopów, by ci przeszkodzili odczytaniu owego biskupiego orędzia.

Podczas uroczystej sumy w tarnobrzeskim kościele pobożny ludek kajał się Panu w kornej modlitwie ; klęcząc, tłukł czołem o zimny głaz posadzki i, bijąc się w piersi, żebrał zmiłowania : „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina !" Ale skoro kaznodzieja, wszedłszy na ambonę, rozpoczął czytanie pasterskiego listu, wtedy świątynię Pańską napełniły pomruki, wreszcie w stronę ambony skierowane podniosły się pięści i rozległy się możliwe tylko w karczmie pogróżki zrzucenia księdza z ambony „na łeb", skoroby nie zaniechał czytania ...

Jakoż nerwy kapłana nie wytrzymały, przeor wycofał się do zakrystii, drugi O. Dominikanin nie miał odwagi zaryzykować, aż dopiero najmłodszy, niedawno wyświęcony rodak z Mokrzyszowa / gniazda obok Sobowa najzażartszych radykałów /, O. Szymon Ordon, elastycznym krokiem i zdecydowanie wstąpił na ambonę i niczym się nie zrażając, odczytał biskupie orędzie.

Postępek ten owych zbałamuconych i być może samych nie wie -

dzących, co czynią, osobników / Niestety, do głównych podżegaczy należał „światłodawca" wsiowy, nauczyciel Jan Buczek /, przywodzi na myśl zaiste żałosną skargę Chrystusa, wyrażoną w wwielkopiątkowej pieśni :

„Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił ?
W czemem zasmucił, albo w czym zawinił ?
Jam dał, że zbici Chanaan królowie,
A ty zaś trzciną biłeś mnie po głowie !"

A jednak Okoń i Dąbal wybrani zostali posłami do pierwszego sejmu odrodzonej Rzeczypospolitej. Postępkami zaś swymi ci dwaj wybrańcy wyrobili sobie wkrótce sławę Herostrata.

Sekretarz Rady Powiatowej - nie pomnę już kiedy - wrócił wreszcie z wojska i rozpoczęła się forsowna praca biurowa w Wydziale Powiatowym.

Tymczasem rząd powziął był plan rekonstrukcji administracji, podług którego to planu rady powiatowe miały być zwinięte, a funkcjonariusze tych skasowanych autonomicznych urzędów jedni mieli być w miarę potrzeby przydzieleni do starostw, zbędni zaś spensjonowani.

Ale powiadają : „Co nagle, to po diable "- tak też i na owych projektach warszawskich sprawdziło się to przysłowie. W chaosie różnych reform zamiary rychłego skasowania rad powiatowych jakoś się przeciągały, z czego korzystając owe zagrożone instytucje, porozumiały się między sobą, utworzyły komitet i rozpoczęły gorączkową akcję, zdążającą do unicestwienia rządowych zamierzeń. Generalnym sekretarzem, a raczej kierownikiem tego komitetu, ustanowiony został sekretarz Rady Powiatowej tarnobrzeskiej i cały tok prac odbywał się w Tarnobrzegu.

Rozpisywało się więc i rozsyłało memoriały, przedstawienia i prośby do rządu i sejmu, do różnych miarodajnych czynników, do poselskich klubów sejmowych wszystkich niemal ugrupowań politycznych, jako też z osobna do poszczególnych posłów i t.d., a czynnością sporządzania tych memoriałów i wszelakich odezw mnie obciążono. Za uciążliwą pracę w całej tej akcji wypłacono mi wspaniałomyślnie pięćdziesiąt ówczesnych zdewaluowanych koron.

Kiedy już groźba zniesienia rad powiatowych minęła, jął sekretarz czynić usilne starania tworzenia przy Wydziale Powiatowym obok istniejących już biur : Okręgowego Towarzystwa Rolniczego i zarządu

dzących, co czynią, osobników / Niestety, do głównych podżegaczy należał „świątłodawca" wsiowy, nauczyciel Jan Buczek /, przywodzi na myśl zaiste żałosną skargę Chrystusa, wyrażoną w wielkopiątkowej pieśni :

„Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił ?
W czemem zasmucił, albo w czym zawinił ?
Jam dał, że zbici Chanaan królowie,
A ty zaś trzciną biłeś mnie po głowie !"

A jednak Okoń i Dąbal wybrani zostali posłami do pierwszego sejmu odrodzonej Rzeczypospolitej. Postępkami zaś swymi ci dwaj wybrańcy wyrobili sobie wkrótce sławę Herostrata.

Sekretarz Rady Powiatowej - nie pomnę już kiedy - wrócił wreszcie z wojska i rozpoczęła się forsowna praca biurowa w Wydziale Powiatowym.

Tymczasem rząd powziął był plan rekonstrukcji administracji, podług którego to planu rady powiatowe miały być zwinięte, a funkcjonariusze tych skasowanych autonomicznych urzędów jedni mieli być w mierę potrzeby przydzieleni do starostw, abędni zaś spensjonowani.

Ale powiadają : „Co nagle, to po diable" - tak też i na owych projektach warszawskich sprawdziło się to przysłowie. W chaosie różnych reform z miary rychłego skasowania rad powiatowych jakoś się przeciągały, z czego korzystając owe zagrożone instytucje, porozumiały się między sobą, utworzyły komitet i rozpoczęły gorączkową akcję, zdążającą do unicestwienia rządowych zamierzeń. Generalnym sekretarzem, a raczej kierownikiem tego komitetu, ustanowiony został sekretarz Rady Powiatowej tarnobrzeskiej i cały tok prac odbywał się w Tarnobrzegu.

Rozpisywało się więc i rozsyłało memoriały, przedstawienia i prośby do rządu i sejmu, do różnych miarodajnych czynników, do poselskich klubów sejmowych wszystkich niemal ugrupowań politycznych, jako też z osobna do poszczególnych posłów i t.d., a czynnością sporządzania tych memoriałów i wszelakich odezw mnie obciążono. Za uciążliwą pracę w całej tej akcji wypłacono mi wspaniałomyślnie pięćdziesiąt ówczesnych zdewaluowanych koron.

Kiedy już groźba zniesienia rad powiatowych minęła, jął sekretarz czynić usilne starania tworzenia przy Wydziale Powiatowym obok istniejących już biur : Okręgowego Towarzystwa Rolniczego i zarządu

powiatowego Kółek rolniczych, osobnych agend, jak urzędu Pośrednictwa Pracy, biura Opieki Społecznej i czegoś tam jeszcze, - a ciężar przepisywania całego mnóstwa referatów, sporządzania odbitek różnych okólników, uwiadomień, wezwań i t.p. spadł na mnie.

A przecież pracy, ściśle związanej z moim stanowiskiem służbowym w Wydziale Powiatowym, miałem i bez tego dość, w ostatnich zaś czasach tym więcej, że obok obowiązkowych zajęć musiałem dodatkowo bez dodatkowego wynagrodzenia prowadzić w zastępstwie zmarłego kancelisty manipulacyjnego dziennik podawczy, registraturę, ekspedycję. To też praca ponad siły wyczerpywała do ostateczności moje zdrowie, nie dozwalając mi - co gorsza - oddać się ubocznym, tak koniecznym dla utrzymania rodziny zajęciom, na które już czasu nie stało.

Wprawdzie za wykonywanie niektórych nadobowiązkowych robót wyznaczał mi sekretarz według własnego uznania osobne wynagrodzenie, było ono jednak w cyfrze swej tak humorystyczne, że, nie będąc usposobiony do opowiadania anegdot, wolę je zamilczeć.

W lipcu 1919 r. z powodu przeciążenia pracą biurową począłem szybko zapadać na zdrowiu, odczuwając gwałtowną potrzebę spoczynku. Ale sekretarz, jakkolwiek nie mógł nie zauważyć mego osłabienia, spocząć nie pozwolił, mówiąc, że jest bardzo dużo pilnej roboty, w której nie miałby mnie kto zastąpić. Mimo więc przedstawień żony i dzieci, mimo ich prób skłonienia mnie, bym się położył, chodziłem do moich codziennych zajęć biurowych.

Pewnego przedpołudnia wszedł do mej kancelarii sekretarz i kiedy znów, nie wiem już który raz, począłem się mu żalić na coraz silniejsze wyczerpanie, on w przypadkowej obecności mego kuzyna, Jana Kurasia, ująwszy w swą dłoń moją, zimną jak lód rękę, zaopiniował, że nic mi nie będzie, bo gorączki nie mam ...

O, Stańczyku, Stańczyku ! Mimo że już blisko cztery wieki upłynęły, jak na wiekuisty położyłeś się spoczynek, żyje do dziś dnia pamięć o tobie, a to głównie dzięki temu, iżeś królowi i dworzanom jego jasno udowodnił, że najwięcej jest na świecie - doktorów ...

Przyszedłszy dnia tego do domu na obiad, po godzinnym wypoczynku zebrałem się znów iść do biura, lecz po zrobieniu kilkunastu kroków mu-

powiatowego Kółek rolniczych, osobnych agend, jak urzędu Pośrednictwa Pracy, biura Opieki Społecznej i czegoś tam jeszcze, - a ciężar przepisywania całego mnóstwa referatów, sporządzania odbitek różnych okólników, uwiadomień, wezwań i t.p. spadł na mnie.

A przecież pracy, ściśle związanej z moim stanowiskiem służbowym w Wydziale Powiatowym, miałem i bez tego dość, w ostatnich zaś czasach tym więcej, że obok obowiązkowych zajęć musiałem dodatkowo bez dodatkowego wynagrodzenia prowadzić w zastępstwie zmarłego kancelisty manipulacyjnego dziennik podawczy, registraturę, ekspedycję. To też praca ponad siły wyczerpywała do ostateczności moje zdrowie, nie dozwalając mi - co gorsza - oddać się ubocznym, tak koniecznym dla utrzymania rodziny zajęciom, na które już czasu nie stało.

Wprawdzie za wykonywanie niektórych nadobowiązkowych robót wyznaczał mi sekretarz według własnego uznania osobne wynagrodzenie, było ono jednak w cyfrze swej tak humorystyczne, że, nie będąc usposobiony do opowiadania anegdot, wolę je zamilczeć.

W lipcu 1919 r. z powodu przeciążenia pracą biurową począłem szybko zapadać na zdrowiu, odczuwając gwałtowną potrzebę spoczynku. Ale sekretarz, jakkolwiek nie mógł nie zauważyć mego osłabienia, spocząć nie pozwolił, mówiąc, że jest bardzo dużo pilnej roboty, w której nie miałby mnie kto zastąpić. Mimo więc przedstawień żony i dzieci, mimo ich prób skłonienia mnie, bym się położył, chodziłem do moich codziennych zajęć biurowych.

Pewnego przedpołudnia wszedł do mej kancelarii sekretarz i kiedy znów, nie wiem już który raz, począłem się mu żalić na coraz silniejsze wyczerpanie, on w przypadkowej obecności mego kuzyna, Jana Kurasia, ująwszy w swą dłoń moją, zimną jak lód rękę, zaopiniował, że nic mi nie będzie, bo gorączki nie mam ...

O, Staszczyku, Staszczyku ! Mimo że już blisko cztery wieki upłynęły, jak na wiekuisty położyłeś się spoczynek, żyje do dziś dnia pamięć o tobie, a to głównie dzięki temu, iżeś królowi i dworzanom jego jasno udowodnił, że najwięcej jest na świecie - doktorów ...

Przysiedłszy dnia tego do domu na obiad, po godzinnym wypoczynku zebrałem się znów iść do biura, lecz po zrobieniu kilkunastu kroków mu-

siałem nazad do izby zawrócić i całkiem już obojętny, co na to mój szef powie, wstrząsany dreszczami, położyłem się do łóżka, a wkrótce potem popadłem w gorączkę. Całą noc przy mnie, w malignie majaczącym, czuwała rodzina, okładając nieprzytomnemu pałającą skroń zimnymi kompresami.

Rankiem następnego dnia, kiedy przytomność już odzyskałem, sprowadziła mi Zosia lekarza w osobie Dr. Franciszka Grochowiaka, który po stwierdzeniu wysokiego stopnia gorączki i jakichś tam po łacinie nazwanych komplikacyj, wystawił mi na piśmie świadectwo lekarskie, zalecające bezwarunkowo sześciomiesięczne wstrzymanie się od pracy biurowej, i napisał receptę.

Poczciwy ten i kochany doktor otoczył mnie wielką troskliwością i, pomimo że będący wówczas pod jego opieką szpital przepełniony był chorymi, znalazł czas na przybycie do mnie pieszo dwukilometrowej drogi, nie przyjmując za wizyty wynagrodzenia.

Zebrawszy w sobie siły, napisałem do Wydziału Powiatowego podanie, w którym na podstawie dołączonego świadectwa lekarskiego prosiłem o sześciomiesięczny urlop. Szczęście tym razem mi sprzyjało, podanie moje bowiem w sam raz trafiło na posiedzenie wydziału; sekretarza w miejscu nie było, bo gdzieś za interesem wyjechał, a zastępował go w urzędowaniu inż. Władysław Matusiński, człowiek ludzki i wyrozumiały. Na posiedzeniu tym uchwalono mi trzymiesięczny urlop z uwagą, ażebym po upływie tego czasu zgłosił się do pracy, ewentualnie przedłożył nowe świadectwo lekarskie.

Sekretarza, skoro ze swej podróży powrócił, uchwała Wydziału Powiatowego, przyznająca mi trzymiesięczne „nieróbstwo", musiała bardzo poirytować, bo zaraz wyprawił do mnie woźnego z rozkazem, bym się stawił do pracy ...

Ale we mnie zrodził się już był bunt, więc woźnego z rozkazami sekretarza, bym wstawał z łóżka i szedł do mojej kancelaryjnej roboty, żadnego nie odnosiły skutku.

To osobliwe względem mnie stanowisko sekretarza stwierdza poniekąd, że nie lubił mnie i jednocześnie, że nie mógł się obejść beze mnie. Byłem dla niego czymś w rodzaju żony, określonej następującym aforyzmem :

„O żonie mówią mężowie czuli,
Że z nią nie dobrze i bez niej źle,
Prawie to samo co o cebuli,
Którą choć z płaczem, jednak się je."

siałem nazad do izby zawrócić i całkiem już obojętny, co na to mój szef powie, wstrząsany dreszczami, położyłem się do łóżka, a wkrótce potem popadłem w gorączkę. Całą noc przy mnie, w malignie majaczącym, czuwała rodzina, okładając nieprzytomnemu pałającą skroń zimnymi kompresami.

Rankiem następnego dnia, kiedy przytomność już odzyskałem, sprowadziła mi Zosia lekarza w osobie Dr. Franciszka Grochowiaka, który po stwierdzeniu wysokiego stopnia gorączki i jakichś tam po łacinie nazwanych komplikacyj, wystawił mi na piśmie świadectwo lekarskie, zalecające bezwarunkowo sześciomiesięczne wstrzymanie się od pracy biurowej, i napisał receptę.

Poczciwy ten i kochany doktor otoczył mnie wielką troskliwością i, pomimo że będący wówczas pod jego opieką szpital przepełniony był chorymi, znalazł czas na przybycie do mnie pieszo dwukilometrowej drogi, nie przyjmując za wizyty wynagrodzenia.

Zebrawszy w sobie siły, napisałem do Wydziału Powiatowego podanie, w którym na podstawie dołączonego świadectwa lekarskiego prosiłem o sześciomiesięczny urlop. Szczęście tym razem mi sprzyjało, podanie moje bowiem w sam raz trafiło na posiedzenie wydziału; sekretarza w miejscu nie było, bo gdzieś za interesem wyjechał, a zastępował go w urzędowaniu inż. Władysław Matusiński, człowiek ludzki i wyrozumiały. Na posiedzeniu tym uchwalono mi trzymiesięczny urlop z uwagą, ażebym po upływie tego czasu zgłosił się do pracy, ewentualnie przedłożył nowe świadectwo lekarskie.

Sekretarza, skoro ze swej podróży powrócił, uchwała Wydziału Powiatowego, przyznająca mi trzymiesięczne „nierobstwo", musiała bardzo poirytować, bo zaraz wyprawił do mnie woźnego z rozkazem, bym się stawił do pracy ...

Ale we mnie zrodził się już był bunt, więc woźnego z rozkazami sekretarza, bym wstawał z łóżka i szedł do mojej kancelaryjnej roboty, żadnego nie odnosiły skutku.

To osobliwe względem mnie stanowisko sekretarza stwierdza poniekąd, że nie lubił mnie i jednocześnie, że nie mógł się obejść beze mnie. Byłem dla niego czymś w rodzaju żony, określonej następującym aforyzmem :

„O żonie mówią mężowie czuli,
Że z nią nie dobrze i bez niej źle.
Prawie to samo co o cebuli,
Którą choć z płaczem, jednak się je."

V.

Na Podkarpaciu.- Nad Bystrzycą. - Echa Republoki Lubelskiej. -W Zakrzówku.

Przyszedłszy cokolwiek do sił, na propozycję kuzyna, Janka Kurasia, wziąwszy z sobą Zosię, wybraliśmy się razem w Pilzneńskie do Jankowego brata, Antoniego, mieszkającego wówczas we wsi Siedliska-Bogusz, blisko Brzostka.

Ładna to i zdrowa ta podkarpacka okolica, o wzgórzach lesistych z żywiczną, ożywczą wonią, z mnóstwem strumieni i potoków. Jest tu na czym oprzeć stęsknione oko, jest czym pierś schorzałą ożywić.

Wzgórzyste grunta w Siedliskach, w szachownicy drobnych parcel, są na ogół trudno dostępne i ciężkie w uprawie. Ale lud miejscowy kocha tę swoją ojczystą rolę i ochotnie na niej pracując, rad śpiewa ku ochocie i Pana Boga chwali.

Siedliska budzą smutne wspomnienia. Pierwszą ofiarą rabacji 1846 r. był właśnie dziedzic tejże wsi, Bogusz. Niedaleko stąd leży wieś Smarzowa, miejsce pochodzenia haniebnej pamięci Jakóba Szeli.

Ale myliłby się, kto by na podstawie wypadków 1846 r. sądził, że w okolicy tej ludzie są źli i ciemni. Przeciwnie ; lud tu światły, uczynny, gościnny i miły w obejściu. Miałem nawet sposobność zetknąć się z wnukami potępionej pamięci rebeliantów, a między nimi z światłym gospodarzem Mikołajem Synowieckim, którego dziad tak smutno przy boku Szeli się wsławił.

Ale wy, panowie politycy, kłócący się między sobą na szpaltach gazet ludowych o przewodnictwo nad ludem, nie obrzucajcie się w zapamiętałości swojej partyjnej przezwiskiem Szeli ! Nie wywołujcie upiora z grobu.

Nie rańcie duszy tego poczciwego ludu wypominaniem win owych nieszczęśników, bo nie powinni wnukowie, prawnukowie i praprawnukowie cierpieć za winy swych dziadów, pradziadów i prapradziadów.

Uczcie się „Chorału" !

Bo potomkowie w czterdziestym szóstym pomordowanych nie odnosili się z taką nienawiścią do potomków „szatanów czynnych", z jaką odnoszą się

do potomków „ślepego miecza".

A owych popchnęła do stania się ślepym mieczem w ręku szatana - ciemnota i wódka.

Bo dawni kierownicy losami kraju i przyszłością poddanego ludu miast budować dla ludu tego szkoły - stawiali karczmy. Miast dać zdrową karm duchową - dawali truciznę dla duszy i ciała.

I nie było wolno poddanemu chłopu bez zezwolenia pana oddać syna do szkół.

A chłop, który wbrew woli dziedzica cichaczem syna swego do szkół wyprawił, przywołany był przed zagniewane oblicze pańskie i w oczach odszukanego i sprowadzonego przez sługi, łaknącego nauki syna, hańbiącymi plagami ćwiczony.

Czegoż się zatem można było później spodziewać po synach tak pohańbionych niesprawiedliwie ojców ?...

„Ale, o Panie, oni nie winni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani tam byli czynni,
O, rękę karaj, nie ślepy miecz !"

Korzystając dalej z wypoczynku, po skończonych wakacjach pojechałem do Zosi do Strzyżewic. Właścicielami niedużego majątku w tejże wsi są państwo Kazimierzostwo Kołaczkowscy, zacni i dla każdego dostępni ludzie.

Wiemy, że w swoim czasie utworzona została także i „Lubelska republika" do tarnobrzeskiej w skutkach swych podobniusieńka. Mówię w skutkach, można bowiem było oglądać te skutki w postaci samowoli nieokrzesanych elementów.

Jak w wielu miejscowościach, tak też i w Strzyżewicach służba folwarczna, ta służba, która od pracodawców swych nigdy krzywdy nie doznała, pod wpływem demagogicznych haseł, wygłaszanych przez zwolenników twórców tejże „Republiki", raptem poczuła się panem położenia.

Bez żadnego zastanowienia, jakie nietylko dla społecznej, ale i dla jej osobistej sprawy mogą wyniknąć skutki w tak ważnych dla Ojczyzny czasach, kiedy to należało wszystkie wytężyć siły w uczciwej, produktywnej pracy, zabawiła się w coś, cośmy w potocznej mowie „strajkiem" zwykli nazywać, z uzurpacją nieograniczonej władzy rządzenia.

do potomków „ślepego miecza".

A owych popchnęła do stania się ślepym mieczem w ręku szatana - ciemnota i wódka.

Bo dawni kierownicy losami kraju i przyszłością poddanego ludu miast budować dla ludu tego szkoły - stawiali karczmy. Miast dać zdrową karm duchową - dawali truciznę dla duszy i ciała.

I nie było wolno poddanemu chłopu bez zezwolenia pana oddać syna do szkół.

A chłop, który wbrew woli dziedzica cichaczem syna swego do szkół wyprawił, przywołany był przed zagniewane oblicze pańskie i w oczach odszukanego i sprowadzonego przez sługi, łaknącego nauki syna, hańbiącymi plagami ćwiczony.

Czegoż się zatem można było później spodziewać po synach tak pohańbionych niesprawiedliwie ojców ?...

„Ale, o Panie, oni nie winni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani tam byli czynni,
O, rękę karaj, nie ślepy miecz !"

Korzystając dalej z wypoczynku, po skończonych wykopaliskach pojechałem do Zosi do Strzyżewic. Właścicielami niedużego majątku w tejże wsi są państwo Kazimierzostwo Kołaczkowscy, zacni i dla każdego dostępni ludzie.

Wiemy, że w swoim czasie utworzona została także i „Lubelska republika", do tarnobrzeskiej w skutkach swych podobniuteńka. Mówię w skutkach, można bowiem było oglądać te skutki w postaci samowoli nieokrzesanych elementów.

Jak w wielu miejscowościach, tak też i w Strzyżewicach służba folwarczna, ta służba, która od pracodawców swych nigdy krzywdy nie doznała, pod wpływem demagogicznych haseł, wygłaszanych przez zwolenników twórców tejże „Republiki", raptem poczuła się panem położenia.

Bez żadnego zastanowienia, jakie nietylko dla społecznej, ale i dla jej osobistej sprawy mogą wyniknąć skutki w tak ważnych dla Ojczyzny czasach, kiedy to należało wszystkie wytężyć siły w uczciwej, produktywnej pracy, zabawiła się w coś, cośmy w potocznej mowie „strajkiem" zwykli nazywać, z uzurpacją nieograniczonej władzy rządzenia.

Kucharkę i służące pokojowe strzyżowickiego dworu zmuszono terrorem do opuszczenia służby, w samym zaś dworze stanął własny polowy i, przeistoczywszy się na wartownika, doglądał sumiennie, by ktokolwiek, broń Boże, drewek nie urąbał, wody nie przyniósł, strawy nie uwarzył, porządków nie robił, dzieci nie bawił. - „Niech sobie sama b u r ż u j k a robi"...

A dodać trzeba, że Kołaczkowscy mieli wówczas dwie małoletnie córeczki, z których starsza, ciężko chora na nogi, chodzić o własnych siłach nie mogła.

Za tego rodzaju „wierność" domagała się owa służba od chlebodawców podwyższenia ordynarii, - właśnie bardzo w porę, gdy zboże w polu z powodu strajku do cna zgniło ...

Nie zawadzi napomknąć, że strzyżowicka majętność Kołaczkowskich uległa podczas wojny zniszczeniu. Wszystkie zabudowania gospodarskie i obory, a wraz z nimi stado owiec strawił pożar. Mimo tych klęsk Kołaczkowscy poświęcili się pracy społecznej ; jeden z lepszych budynków mieszkalnych odstąpili na pomieszczenie szkoły powszechnej, dla której rozwoju dziedziczka, jako przełożona dozoru szkolnego, nie szczędziła pracy i zdrowia, zyskując zasłużony szacunek ludności wsi i ogromną miłość dziatwy szkolnej. Przytoczone więc postępowanie służby folwarcznej jest czymś w istocie swej niepojętym.

Godzi się z tego miejsca zapytać, czy paniom-żonom i paniom-córkom twórców owej republiki lubelskiej przydzielono również podobną opiekuńczą wartę, niedopuszczającą, by im ktokolwiek i w czymkolwiek pomagał ?...

Naprawdę piękna to ta okolica nad wartką Bystrzycą, pełna historycznych wspomnień, jakie w swych „Pamiętnikach" przekazał potomnym Kajetan Koźmian, radca stanu i senator w Królestwie Polskim od 1815 do 1829 r., ówczesny właściciel okolicznych włości. W pobliskiej wsi Bystrzycy nad rzeką tejże nazwy, w pięknym położeniu, stoi jeszcze stary dom, będący dawniej jego własnością. Ładne jest również położenie dworu w niedalekich Piotrowicach, ongiś głównej rezydencji tegoż pisarza, a już chyba najpiękniejszym jest prawy brzeg Bystrzycy od Kiełczewic do Piotrowic.

W stronach tych lubiłem odbywać krótkie samotne wycieczki, które powrotowi zdrowia korzystnie sprzyjały. Na cmentarzu Bychawki odwiedziłem grób Koźmiana i jego żony ; niestety, oba te groby w smutnym zastałem zaniedbaniu.

W uroczym zakątku Bychawy sterczą ciekawe ruiny dawnego zamku Stoińskich, w którym chowała się owa, w „Pamiętnikach" Koźmiana szerzej opisana, sławna, rozrzutna i roztrzepana kasztelanka gostyńska, Ewa Gałęzowska,późniejsza starościna sieradzka,Kossowska. Ktokolwiek z dalszych stron znajdzie się w Bychawie, radzę nie pominąć zwiedzenia wspomnianych ruin zamkowych, ręcząc, że nie pożałuje tego drobnego trudu.Dziś ruiny te z włością należą do niejakiego Budnego.

Gnany wspomnieniem lat młodości, chciałem odwiedzić w Bychawie owo „cudowne miejsce", gdzie przed laty matka moja, ułożywszy mi w dołku głowę, ziemią ją przysypała, by mnie z głuchoty wyleczyć, - lecz z powodu zaszłych w ciągu paru dziesiątek lat dużych zmian, miejsca tego nie odnalazłem.

W odległości dobrej mili od Strzyżewic w górę Bystrzycy leży Zakrzówek, gdzie przed trzydziestu kilku laty w cukrowni pracowałem. Powziąłem zamiar i tę miejscowość odwiedzieć, a zawsze do usług gotowy dziedzic strzyżewicki użyczył mi bezinteresownie podwody. Więc przy dniu niedzielnym w towyrzystwie Zosi oraz koleżanki jej, panny Heleny Grudzińskiej, pojechaliśmy do Zakrzówka.

Okazały gmach fabryki mało co przez te kilkadziesiąt lat pod względem zewnętrznego wyglądu się zmienił, tylko sadzone za mej pamięci przy głównym trakcie drzewka rozrosły się w okazałe drzewa, podnosząc powab tego ustronia. Tu spotkałem robotnika, który od około czterdziestu lat służbę w fabryce pełnił. Robotnik ten objawił gotowość oprowadzenia nas wewnątrz fabryki, ale zarządca pozwolenia odmówił. Ograniczyliśmy się przeto do zewnętrznego oglądnięcia fabryki, poczem udaliśmy się do miejscowego kościoła.

Na zewnętrznej stronie kościoła, gdzie wielki ołtarz, widnieje do dziś dnia napis, który w chłopięcych jeszcze latach odczytywać lubiłem i na dalsze życie zapamiętałem :

„Bóg widzi, czas ucieka,
Smierc goni, wieczność czeka".

Hej ! „Czas ucieka, śmierć goni"... Ile to już czasu od mego ostatniego w tych tu stronach pobytu uciekło ! Iluż rówieśników, towarzyszów pracy we fabryce, a wreszcie braci i rodziców moich śmierć dogoniła !..

Od kościoła zwróciliśmy się na drogę, ku Majdanowi wiodącą,gdzie (przy drodze, ów niepokaźny kurhanek,) odwiedziłem kurhanek, który mi dał impuls poznania dziejów ojczyszych. Na tych tu polach dawniej pracowałem przy obróbce buraków cukrowych, a tuż w przyległym, na szczęście ocalałym, ładnym lasku, rad po znoju w chłodnym cieniu drzew odpoczywałem.

Tam znów dalej w szczerym polu rozłożył się odosobniony, bujnie zadrzewiony ogród. To cmentarz parafialny. Na tym to cmentarzu ongiś matka moja mogiłę dzieciny swej obfitymi łzami skrapiała ...

Dziwnie ckliwe budzą się w duszy wspomnienia i tęsknoty za tym, co przeszło i co już nigdy nie wróci. I raptem poczułem się osamotnionym sierotą, którą „śmierć goni".

Nawracając, skierowaliśmy się na drogę, przy której dawniej stały rzędem baraki, przeznaczone na mieszkania dla ludności robotniczej cukrowni. Dziś z budynków tych ani śladu, całą zaś tę przestrzeń zajęły ładne, starannie uprawne ogrody.

Niezbadane wyroki Boże ! Przed kilkudziesięciu laty tułając się z rodzicami w tych stronach w poszukiwaniu pracy i chleba, trza się było na każdym prawie kroku wykazywać paszportem przed moskiewskimi żandarmami, trza było tłumić w sobie cisnące się gwałtem na usta słowa, odnoszące się do przeszłości i dziejów tej ziemi, za wypowiedzenie których łatwo się można było znaleźć w turmie, - a dziś ... Dziś już jako wolny obywatel, na wolnej ojczystej ziemi chodzić mogę swobodnie ... O, bracia ! Pojmujecie i doceniacie wy to krótkie, a jednak pełne jakiejś nieokreślonej potęgi słowo : „Wolność" ?

45

VI.

D a r e m n e p r ó b y .- R e z y g n a c j a .- N a j a z d b o l s z e w i k ó w.

Trzechmiesięczny mój wypoczynek do biegał końca. Nie czułem się wprawdzie zupełnie zdrów, ale wobec narzekań sekretarza na moje zbyt długo trwające „próżnowanie" postanowiłem już nie korzystać z dalszego urlopu, jaki w razie przedłożenia nowego świadectwa lekarskiego spodziewałem się od Wydziału Powiatowego uzyskać, byle sekretarzowi dalszej irytacji oszczędzić.

A zresztą, któż to wie, może mój doktorek zbyt przesadną okazał nademną troskliwość; może ten przebyty trzymiesięczny spoczynek wystarczył na zupełne usunięcie choroby, którą szanowny mój szef traktował jako symulację i mistyfikację ... Wróciłem więc do biura.

W pierwszych tygodniach wznowionej pracy czułem się stosunkowo rzeźko, ale im dalej, tym bardziej pod nawałem roboty siły mię opuszczały ; w krzyżach łamało, w głowie szum i chaos rósł, ręce drżały. Na domiar złego szesnastoletnia córka Bronia coraz ciężej na zdrowiu zapadać poczęła, a w mieszkaniu na półbagnistym terenie stojącego, aczkolwiek niedawno zbudowanego domu, czynił spustoszenie grzyb. Chcąc rozrost tego pasożyta zlokalizować, musiałem nawiedzone nim podłogi i części ścian wyrębywać i kipiącym wapnem zalewać.

Żebyż za cenę tej nadmiernej pracy w służbie, za cenę coraz bardziej zanikających sił i szybko zużywanego zdrowia móc bodaj rodzinie byt znośnym uczynić, przyszłość dzieciom zabezpieczyć, - ale gdzież tam ! Głód, nędza, choroby smutne horoskopy przed oczy stawiały. Postanowiłem tedy z tą niemożliwą do dalszego dźwigania dolą bezwolnego raba, co mię prawie do utraty pamięci doprowadzała, raz skończyć.

Bo jeśli w księdze przeznaczeń sądzone mi było bezustanne zmaganie się z przeciwnościami losu, to niechże borykanie to odbywa się nie w krępującym wolność ruchów jarzmie pariasa, nie wśród martwych ścian turmy, lecz swobodnie na otwartym polu ; nie w kajucie tonącego okrętu, lecz na powierzchni nawet wzburzonych fal morza. Gdyż walka taka, choćby nawet nie wróżyła zwycięstwa, wytwarza odwagę, napełnia pierś mocą, - gdy prze-

VI.

D a r e m n e p r ó b y . - R e z y g n a c j a . - N a j a z d b o l s z e w i k ó w.

Trzechmiesięczny mój wypoczynek do biegał końca. Nie czułem się wprawdzie zupełnie zdrów, ale wobec narzekań sekretarza na moje zbyt długo trwające „próżnowanie" postanowiłem już nie korzystać z dalszego urlopu, jaki w razie przedłożenia nowego świadectwa lekarskiego spodziewałem się od Wydziału Powiatowego uzyskać, byle sekretarzowi dalszej irytacji oszczędzić.

A zresztą, któż to wie, może mój doktorek zbyt przesadną okazał nadmną troskliwość; może ten przebyty trzymiesięczny spoczynek wystarczył na zupełne usunięcie choroby, którą szanowny mój szef traktował jako symulację i mistyfikację ... Wróciłem więc do biura.

W pierwszych tygodniach wznowionej pracy czułem się stosunkowo rześko, ale im dalej, tym bardziej pod nawałem roboty siły mię opuszczały ; w krzyżach łamało, w głowie szum i chaos rósł, ręce drżały. Na domiar złego szesnastoletnia córka Bronia coraz ciężej na zdrowiu zapadać poczęła, a w mieszkaniu na półbagnistym terenie stojącego, aczkolwiek niedawno zbudowanego domu, czynił spustoszenie grzyb. Chcąc rozrost tego pasożyta zlokalizować, musiałem nawiedzone nim podłogi i część ścian wyrębywać i kipiącym wapnem zalewać.

Żebyż za cenę tej nadmiernej pracy w służbie, za cenę coraz bardziej zanikających sił i szybko zużywanego zdrowia móc bodaj rodzinie byt znośnym uczynić, przyszłość dzieciom zabezpieczyć, - ale gdzież tam ! Głód, nędza, choroby smutne horoskopy przed oczy stawiały. Postanowiłem tedy z tą niemożliwą do dalszego dźwigania dolą bezwolnego raba, co mię prawie do utraty pamięci doprowadzała, raz skończyć.

Bo jeśli w księdze przeznaczeń sądzone mi było bezustanne zmaganie się z przeciwnościami losu, to niechże borykanie to odbywa się nie w krępującym wolność ruchów jarzmie parias, nie wśród martwych ścian turmy, lecz swobodnie na otwartym polu ; nie w kajucie tonącego okrętu, lecz na powierzchni nawet wzburzonych fal morza. Gdyż walka taka, choćby nawet nie wróżyła zwycięstwa, wytwarza odwagę, napełnia pierś mocą, - gdy prze-

ciwnie szamotanie się istoty skrępowanej, bezwolnej jest bezsilnym krzykiem przedśmiertnej rozpaczy.

I nietylko to ! Odjęty mi został zmysł słuchu, skarb życia wielki, - po cóż więc jeszcze na zmysł wzroku mam sobie kaptur narzucać ? Mieć ciągle przed oczyma przedmioty martwe, beztreściwe, a tylko przygodnie poglądać na twory przyrody - to nie egzystencja, lecz wegetacja i zanik życia.

Bo choćby i najwspanialsze dzieło geniuszu ludzkiego nosiło nazwę ósmego cudu świata, nigdy nie może iść w porównanie z najdrobniejszym nawet tworem Bożego ducha. Wszystko bowiem, co ludzkie, martwe jest i przemijające, lecz co z tchnienia Bożego wyszło, choćby najniklejsza roślinka, drga życiem, tchnie wonią, a lubo szron zimy ją zwarzy, to słońce wiosny odrodzi na nowo. Jest więc wieczne, niezniszczalne.

Stąd to dla umiejącego wznieść się ponad poziom rzeczy codziennych dzieła ludzkiego świat ten jest najwspanialszym, ogromnym, naturalnym kościołem, w którym każdy twór natury, wprawiając nas w zachwyt podziwu nad niepojętą mądrością Stwórcy, znośniejszą czyni niedolę i zwraca myśl naszą ku Bogu, co już jest najdoskonalszą, ukojenie dla duszy niosącą modlitwą.

Zwróciłem się do miejscowego właściciela rozległych włości, hr. Zdzisława Tarnowskiego z prośbą, by mi z dóbr swych odstąpił spłacheć ziemi, na którejbym samodzielnie gospodarzył, proponując mu w zamian na początek moją dzikowską realnośc, albo gotówkę, jakąbym ze sprzedaży tejże realności uzyskał. Lecz prośba moja nie odniosła pożądanego skutku, hrabia bowiem oświadczył, że ziemi, która od wieków jest w posiadaniu rodu Tarnowskich sprzedawać nie może ...

Nie wchodząc w to, czy ubytek kilku morgów wpłynąłby ujemnie na ogromny majątek hrabiego, zawsze jest to majątek jego i on jeden był w prawie nim rozporządzać. A ponieważ inną drogą kupić ziemi w rodzinnych stronach nie mogłem, zaniechałem więc dalszych bezskutecznych prób na terenie rodzinnego powiatu i oglądnąłem się za nią w dalszych stronach.

Może gdybym był jeszcze poczekał jakiś czas, dałoby się później i w Tarnobrzeskim parę morgów kupić, już bowiem w tym względzie poczęły się

ciwnie szamotanie się istoty skrępowanej, bezwolnej jest bezsilnym krzykiem przedśmiertnej rozpaczy.

I nietylko to ! Odjęty mi został zmysł słuchu, skarb życia wielki, - po cóż więc jeszcze na zmysł wzroku mam sobie kaptur narzucać ? Mieć ciągle przed oczyma przedmioty martwe, beztreściwe, a tylko przygodnie poglądać na twory przyrody - to nie egzystencja, lecz wegetacja i zanik życia.

Bo choćby i najwspanialsze dzieło geniuszu ludzkiego nosiło nazwę ósmego cudu świata, nigdy nie może iść w porównanie z najdrobniejszym nawet tworem Bożego ducha. Wszystko bowiem, co ludzkie, martwe jest i przemijające, lecz co z tchnienia Bożego wyszło, choćby najniklejsza roślinka, drga życiem, tchnie wonią, a lubo szron zimy ją zważy, to słońce wiosny odrodzi na nowo. Jest więc wieczne, niezniszczalne.

Stąd to dla umiejącego wznieść się ponad poziom rzeczy codziennych dzieła ludzkiego świat ten jest najwspanialszym, ogromnym, naturalnym kościołem, w którym każdy twór natury, wprawiające nas w zachwyt podziwu nad niepojętą mądrością Stwórcy, znośniejsza czyni niedolę i zwraca myśl naszą ku Bogu, co już jest najdoskonalsza, ukojenie dla duszy niosąca modlitwą.

Zwróciłem się do miejscowego właściciela rozległych włości, hr. Zdzisława Tarnowskiego z prośbą, by mi z dóbr swych odstąpił spłachec ziemi, na którejbym samodzielnie gospodarzył, proponując mu w zamian na początek moją działkową realność, albo gotówkę, jakąbym ze sprzedaży tejże realności uzyskał. Lecz prośba moja nie odniosła pożądanego skutku, hrabia bowiem oświadczył, że ziemi, która od wieków jest w posiadaniu rodu Tarnowskich sprzedawać nie może ...

Nie wchodząc w to, czy ubytek kilku morgów wpłynąłby ujemnie na ogromny majątek hrabiego, zawsze jest to majątek jego i on jeden był w prawie nim rozporządzać. A ponieważ inną drogą kupić ziemi w rodzinnych stronach nie mogłem, zaniechałem więc dalszych bezskutecznych prób na terenie rodzinnego powiatu i oglądnąłem się za nią w dalszych stronach.

Może gdybym był jeszcze poczekał jakiś czas, dałoby się później i w Tarnobrzeskim parę morgów kupić, już bowiem w tym względzie poczęły się

objawiać pierwsze znaki. Oto Rachmiel Kanarek, żyd, pan na Skowierzynie, który swojego czasu tak łatwym sposobem nabył od bar. Horocha dobra wrzawskie, w obawie przed przymusowym wywłaszczeniem na rzecz reformy rolnej, którą rząd Moraczewskiego był zaprojektował, całe swe dobra w Tarnobrzeskim sprzedał ryczałtem znanemu przemysłowcowi browarnianemu, bar. Janowi Götzowi z Okocima. Już sam fakt, że Götz dobra te kupił, nasuwał uzasadnione przypuszczenie, że nowonabywca bodaj część ziemi puści na parcelację, do czego później rzeczywiście przyszło.

Ale trudno było wówczas przewidzieć, kiedy do tej parcelacji przyjdzie i jaką wreszcie cenę za ziemię wyznaczą, a z drugiej strony rosnąca w domu nędza, choroba Broni i na domiar wszystkiego złego ogarniająca mnie fizyczny i duchowa niemoc, nie dopuszczały wahania.

jeden z moich znajomych dawnych objął był właśnie stanowisko dyrektora spółki parcelacyjnej „Ziemia" z siedzibą w Zamościu. Był nim Maciej Stopyra z Brzózy Stadnickiej w Łańcuckim. Do niego zatem zwróciłem się ze sprawą nabycia ziemi.

Stopyra przepowiadał mi świetną przyszłość i obiecywał wszelką pomoc w zagospodarowaniu się, skorobym ziemię kupił za pośrednictwem banku, w którym on dyrektorował.

Stopyrę znałem dawniej jako społecznego działacza, a jakkolwiek bezinteresownej pomocy odeń nie oczekiwałem, miałem do niego pełne zaufanie. Wystarawszy się o pieniądze, posłałem mu je na 12 mórg ziemi z będącego w on czas w parcelacji majątku Gdeszyn w powiecie hrubieszowskim, a z którego to majątku Stopyra dla siebie wydzielił 40 mórg, jak również bracia jego, szwagrowie i krewni po kilkanaście i po kilkadziesiąt morgów dla siebie ponabywali. Mieliśmy więc tworzyć tam zwartą gromadkę znajomych i poza spokojnym zajęciem na własnym zagonie społecznie pracować.

Ale niedługo sprawdzić się miało stare przysłowie, że „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi". Ujawniło się bowiem, niestety już po niewczasie, że pan Maciej pracowałby wprawdzie z poświęceniem dla pospolitego dobra, ale tylko o tyle,o ile praca ta w pierwszym rzędzie jemu samemu poważne, materialne korzyści zapewni.

Tak powziąwszy stanowcze postanowienie zmiany stanowiska, wnios-

objawić pierwsze znaki. Oto Nachmiel Kanarek, żyd, pan na Skowierzynie, który swojego czasu tak łatwym sposobem nabył od bar. Horocha dobra wrzawskie, w obawie przed przymusowym wywłaszczeniem na rzecz reformy rolnej, którą rząd Moraczewskiego był zaprojektował, całe swe dobra w Tarnobrzeskim sprzedał ryczałtem znanemu przemysłowcowi browarnianemu, bar. Janowi Götzowi z Okocima. Już sam fakt, że Götz dobra te kupił, nasuwał uzasadnione przypuszczenie, że nowonabywca bodaj część ziemi puści na parcelację, do czego później rzeczywiście przyszło.

Ale trudno było wówczas przewidzieć, kiedy do tej parcelacji przyjdzie i jaką wreszcie cenę za ziemię wyznaczą, a z drugiej strony rosnąca w domu nędza, choroba Broni i na domiar wszystkiego złego ogarniająca mnie fizyczny i duchowa niemoc, nie dopuszczały wahania.

Jeden z moich znajomych dawnych objął był właśnie stanowisko dyrektora spółki parcelacyjnej „Ziemia" z siedzibą w Zamościu. Był nim Maciej Stopyra z Brzózy Stadnickiej w Łańcuckim. Do niego zatem zwróciłem się ze sprawą nabycia ziemi.

Stopyra przepowiadał mi świetną przyszłość i obiecywał wszelką pomoc w zagospodarowaniu się, skorobym ziemię kupił za pośrednictwem banku, w którym on dyrektorował.

Stopyrę znałem dawniej jako społecznego działacza, a jakkolwiek bezinteresownej pomocy odeń nie oczekiwałem, miałem do niego pełne zaufanie. Wystarawszy się o pieniądze, posłałem mu je na 12 mórg ziemi z będącego w on czas w parcelacji majątku Gdeszyn w powiecie hrubieszowskim, z którego to majątku Stopyra dla siebie wydzielił 40 mórg, jak również bracia jego, szwagrowie i krewni po kilkanaście i po kilkadziesiąt morgów dla siebie ponabywali. Mieliśmy więc tworzyć tam zwartą gromadkę znajomych i poza spokojnym zajęciem na własnym zagonie społecznie pracować.

Ale niedługo sprawdzić się miało stare przysłowie, że „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi". Ujawniło się bowiem, niestety już po niewczasie, że pan Maciej pracowałby wprawdzie z poświęceniem dla pospolitego dobra, ale tylko o tyle, o ile praca ta w pierwszym rzędzie jemu samemu pewne, materialne korzyści zapewni.

Tak powziąwszy stanowcze postanowienie zmiany stanowiska, wnios-

łem do Wydziału Powiatowego prośbę o przeniesienie mnie w stały stan spoczynku, podając powody, które mnie do rezygnacji z posady skłoniły. Prośba moja została na jednym z posiedzeń wydziału przyjęta.

Na kilka miesięcy przed moją rezygnacją przyjęty został na stanowisko powiatowego instruktora rolniczego przy Towarzystwie Okręgowym Rolniczym, którego biuro mieściło się w tym samym gmachu tarnobrzeskiej Rady Powiatowej, - niejaki Jan Kaleta, ze Śląska Cieszyńskiego pochodzący. Poprzednio stanowisko to zajmował inż. Jan Masior, wytrawny, pełen energii ekonomista. Chociaż Masior miał wcale ładne pobory a pole działania wdzięczne, nieswojo czegoś tutaj mu było, skoro z tak korzystnej posady zrezygnował.

Nowy ów instruktor rolniczy niedługo po objęciu posady poczuł się na niej samotnym i poddał się tępej apatii. Dość często zachodził on do mojej kancelarii i tu - o ile czas mi pozwalał - starałem się go rozerwać. Pozatym odczuwając jego osamotnienie, sam w miarę możności zaglądałem do jego biura. Pewnego dnia w poufałej rozmowie zwierzył się mi, że życie na nowej posadzie staje się dlań nieznośne i, ponieważ nie ma na razie widoków otrzymania gdzieindziej posady, nosi się z zamiarem samobójstwa i na dowód pokazał mi list pożegnalny do rodziny oraz wydobył z kuferka nabity rewolwer większego kalibru, a demonstrując nim, jak gdyby rzeczywiście chciał sobie głowę kulą roztrzaskać, dawał mi jednocześnie do zrozumienia, że będzie to „lekka śmierć"

Obserwując niesamowity błysk jego oczu i widząc, że nie są to zwyczajne żarty, jąłem mu perswadować i wykazywać absurdalną niewłaściwość takiego zamiaru. - Popełnić samobójstwo, tłumaczyłem mu, to byle dureń potrafi, ale dźwigać na sobie ciężar niepowodzeń życiowych i pod brzemieniem tym nie ugiąć się, nie upaść - to dopiero sztuka.

Tymi i podobnymi perswazjami dał się nakoniec Kaleta przekonać i chcąc mi dać dowód, że o samobójstwie myśleć już nie będzie, list ów pożegnalny na drobne cząsteczki w moich oczach potargał. Ale mnie to nie wystarczyło, więc jąłem go dalej namawiać, by mi swój rewolwer sprzedał, na co on wszakże przystać nie chciał, tłómacząc się, że broń ta stanowi cenną dla niego pamiątkę.

łem do Wydziału Powiatowego prośbę o przeniesienie mnie w stały stan spoczynku, podając powody, które mnie do rezygnacji z posady skłoniły. Prośba moja została na jednym z posiedzeń wydziału przyjęta.

Na kilka miesięcy przed moją rezygnacją przyjęty został na stanowisko powiatowego instruktora rolniczego przy Towarzystwie Okręgowym Rolniczym, którego biuro mieściło się w tym samym gmachu tarnobrzeskiej Rady Powiatowej, - niejaki Jan Kaleta, ze Śląska Cieszyńskiego pochodzący. Poprzednio stanowisko to zajmował inż. Jan Masior, wytrawny, pełen energii ekonomista. Chociaż Masior miał wcale ładne pobory i pole działania wdzięczne, nieswojo czegoś tutaj mu było, skoro z tak korzystnej posady zrezygnował.

Nowy ów instruktor rolniczy niedługo po objęciu posady poczuł się na niej samotnym i poddał się tępej apatii. Dość często zachodził on do mojej kancelarii i tu - o ile czas mi pozwalał - starałem się go rozerwać. Poza tym odczuwając jego osamotnienie, sam w miarę możności zaglądałem do jego biura. Pewnego dnia w poufałej rozmowie zwierzył się mi, że życie na nowej posadzie stało się dlań nieznośne i, ponieważ nie ma na razie widoków otrzymania gdzieindziej posady, nosi się z zamiarem samobójstwa i na dowód pokazał mi list pożegnalny do rodziny oraz wydobył z kuferka nabity rewolwer większego kalibru, a demonstrując nim, jak gdyby rzeczywiście chciał sobie głowę kulą roztrzaskać, dawał mi jednocześnie do zrozumienia, że będzie to „lekka śmierć".

Obserwując niesamowity błysk jego oczu i widząc, że nie są to zwyczajne żarty, jąłem mu perswadować i wykazywać absurdalną niewłaściwość takiego zamiaru. - Popełnić samobójstwo, tłumaczyłem mu, to byle dureń potrafi, ale dźwigać na sobie ciężar niepowodzeń życiowych i pod brzemieniem tym nie ugiąć się, nie upaść - to dopiero sztuka.

Tymi i podobnymi perswazjami dał się nakoniec Kaleta przekonać i chcąc mi dać dowód, że o samobójstwie myśleć już nie będzie, list ów pożegnalny na drobne cząsteczki w moich oczach potargał. Ale mnie to nie wystarczyło, więc jąłem go dalej namawiać, by mi swój rewolwer sprzedał, na co on wszakże przystać nie chciał, tłómacząc się, że broń ta stanowi cenną dla niego pamiątkę.

Przed samym odejściem ze służby, dwanaście lat trwającej, a które nastąpiło 3 czy 4 czerwca 1920 r., ostrzegłem lustratora, Piotra Krasonia, jako też sekretarza, by uważali na Kaletę, ale odpowiedzią na moje obawy było niedowierzanie i obojętne ruszenie ramion.

Skoro w parę dni później, wstąpiwszy do wydziału, odwiedziłem Kaletę, tak się mną poczciwiec ucieszył, że zerwawszy się z miejsca i objąwszy mnie w ramiona, począł ściskać, aż mi tchu brakło. A kiedy odeń odchodziłem, bardzo prosił, żebym go jak najczęściej odwiedzał. Gdy jednak przez parę dni doń nie zaglądałem, pewnego ranka zastano Kaletę w jego biurze, leżącego na podłodze w kałuży krwi, z przestrzeloną na wylot czaszką i z rewolwerem kurczowo zaciśniętym w dłoni.

Zamiar przeprowadzenia się na nowe gospodarstwo do Gdeszyna uległ nieoczekiwanej przeszkodzie. Ku Warszawie parły bolszewickie hordy, które rozlały się były już w Hrubieszowszczyźnie i Zamojszczyźnie. Nie było więc innej rady jak czekać, aż zawierucha minie.

Było to w sierpniu 1920 r. Nie mając nic pilnego do roboty, wybrałem się pewnego dnia z Zosią za Wisłę do Winiar, do starego znajomego Michała Smoły, którego młodszy brat Jan piastował był już godność posła do sejmu ustawodawczego.

Poczciwy Michał był również bardzo strapiony bolszewickim naporem. Ale kiedy jedni gnani bladym strachem uciekali w Poznańskie, drudzy zaś dręczeni niepokojem, cicho siedzieli w domu, - Michał Smoła mimo że nie był pod broń powołany, mimo że brak mu palca u ręki, a w domu otaczała go gromadka drobnych dzieci, - wyrywał się ku Warszawie, by tam stanąć w szeregach walczących o całość Ojczyzny. I tylko szloch, lament i rozpacz opierającej się jego szlachetnym porywom żony, trzymały go w domu.

Czy po pożegnaniu się z nim i wyjeździe naszym z Winiar poszedł Michał za wołaniem Ojczyzny, czy też przemogły lamenty żony, tego już nie wiem. Ale jeżeli większość naszych chłopów tak czuć i myśleć będzie, jak Michał Smoła, żadna wraża siła Polski nie zmoże.

Mieszczący szkołę budynek w Strzyżewicach stał nisko przy samych łąkach, przez środek których płynęła rzeka, to też powietrze wokół było wilgotne, malaryczne, co na słabe płuca Zosi szkodliwie wpływało. Postara-

Przed samym odejściem ze służby, dwanaście lat trwającej, a które nastąpiło 3 czy 4 czerwca 1920 r., ostrzegłem lustratora, Piotra Kra - sonia, jako też sekretarza, by uważali na Kaletę, ale odpowiedzią na moje obawy było niedowierzanie i obojętne ruszenie ramion.

Skoro w parę dni później, wstąpiwszy do wydziału, odwiedziłem Kaletę, tak się mną poczciwiec ucieszył, że zerwawszy się z miejsca i objąwszy mnie w ramiona, począł ściskać, aż mi tchu brakło. A kiedy odeń odchodziłem, bardzo prosił, żebym go jak najczęściej odwiedzał. Gdy jednak przez parę dni doń nie zaglądałem, pewnego ranka zastano Kaletę w jego biurze, leżącego na podłodze w kałuży krwi, z przestrzeloną na wylot czaszką i z rewolwerem kurczowo zaciśniętym w dłoni.

Zamiar przeprowadzenia się na nowe gospodarstwo do Odeszyna uległ niespodziewanej przeszkodzie. Ku Warszawie parły bolszewickie hordy, które rozlały się były już w Hrubieszowszczyźnie i Zamojszczyźnie. Nie było więc innej rady jak czekać, aż zawierucha minie.

Było to w sierpniu 1920 r. Nie mając nic pilnego do roboty, wybrałem się pewnego dnia z Zosią za Wisłę do Winiar, do starego znajomego Michała Smoły, którego młodszy brat Jan piastował był już godność posła do sejmu ustawodawczego.

Poczciwy Michał był również bardzo strapiony bolszewickim naporem. Ale kiedy jedni gnani bladym strachem uciekali w Poznańskie, drudzy zaś dręczeni niepokojem, cicho siedzieli w domu, - Michał Smoła mimo że nie był pod broń powołany, mimo że brak mu palca u ręki, a w domu otaczała go gromadka drobnych dzieci, - wyrywał się ku Warszawie, by tam stanąć w szeregach walczących o całość Ojczyzny. I tylko szloch, lament i roz - pacz opierającej się jego szlachetnym porywom żony, trzymały go w domu.

Czy po pożegnaniu się z nim i wyjeździe naszym z Winiar poszedł Michał za wołaniem Ojczyzny, czy też przemogły lamenty żony, tego już nie wiem. Ale jeżeli większość naszych chłopów tak czuć i myśleć będzie, jak Michał Smoła, żadna wraża siła Polski nie zmoże.

Mieszczący szkołę budynek w Strzyżewicach stał nisko przy samych łąkach, przez środek których płynęła rzeka, to też powietrze wokół było wilgotne, malaryczne, co na słabe płuca Zosi szkodliwie wpływało. Postara-

ła się więc o przeniesienie na taką samą posadę do Cdeszyna, gdzie byliśmy razem. Nową tę posadę objęła Zosia dopiero w październiku po zupełnym rozbiciu i wyparciu z granic Rzeczypospolitej bolszewików, zabrawszy z sobą siostrę Julię. Reszta nas ze względu na chorą Bronię, której późna, jesienna pora mogłaby w dalekiej i uciążliwej drodze zaszkodzić, pozostała w Dzikowie, skąd w najbliższą wiosnę postanowiliśmy wyjechać.

VII.

N a   G ó r n y m   Ś l ą s k u .

Nie chcąc daremnym czekaniem do wiosny czasu marnować, postarałem się o przyjęcie mnie do pracy w akcji plebiscytowej na Górnym Śląsku, w czym dopomógł mi znany literat i narodowy działacz, Kasper Wojnar, będący wówczas na stanowisku szefa wydziału wydawniczego przy polskim komisariacie plebiscytowym w Bytomiu. W biurze tegoż wydziału, mieszczącym się w hotelu „Schlesischer Hof" przy ul. Dworcowej pracowało nas trzech t.j. wspomniany K. Wojnar, prof. Kazimierz Sosnowski z Krakowa i ja.

Ponieważ Górny Śląsk, jak wiemy, przed wiekami oderwany został od pnia macierzystego, jako kraj mało urodzajny, i dopiero po odkryciu skarbów w łonie jego ziemi doszedł był w XIX w. do rozkwitu jednego z najbogatszych ośrodków przemysłowych w tej części Europy, a niemczyzna dość głęboko zapuściła tam korzenie, łatwo zrozumiemy, że polski komisariat plebiscytowy, na czele którego stał poseł Wojciech Korfanty, trudne miał zadanie, a propagandę na rzecz Polski zmuszony był prowadzić, posługując się gazetami, broszurami, ulotkami i wszelakimi drukami także w niemieckim języku.

Polska ludność ośrodków fabrycznych jakkolwiek ojczystym językiem drukowanym słabo na ogół władała i posługiwała się po niemiecku drukowanymi gazetami, przecież zorganizowana w związkach robotniczych, świadomość narodową posiadała dużą, gdy natomiast ludność wiejska, rolnicza, idąca, jak zwykle, luzem, chociaż posługiwała się wyłącznie polskim językiem, świadomość tę miała znacznie mniejszą, a z polskością łączył ją tylko kościół i język. Tym się też tłumaczy fakt, że najbardziej przemysłowe ośrodki za Polską gremialnie się wypowiedziały, gdy natomiast dużo czysto polskich wsi zostało po stronie niemieckiej.

Sukces Polski w górnośląskim plebiscycie byłby większy, gdyby sejm warszawski nie był opóźnił uchwalenia konstytucji, w czym jednak zaciekle przeszkadzał wróg wewnętrzny. Także dopuszczenie do głosowania po stronie niemieckiej t. zw. emigrantów - co było jednym wielkim, politycznym szwindlem - bardzo ujemnie dla polskiej strony wpłynęło. Rów -

nież niemiecki kler rzymsko-katolicki dużo dokazywał. Wprawdzie wrocławski biskup, kardynał Bertram, zakazał był katolickiemu duchowieństwu brania udziału w agitacji plebiscytowej, był to jednak zwykły manewr polityczny, byle polskich księży skrępować, bo niemieckim - wśród których szczególną zaciekłością wyróżniał się X. Ulitzka,-wszystko było wolno.

Przez cały czas pobytu w Bytomiu mieszkałem u pewnej górniczej rodziny przy ul. Tarnogórskiej. Górnik ów czytywał tylko w niemieckim języku drukowane gazety, po polsku bowiem wcale czytać nie umiał. Ale jaka za to polska była w nim dusza ! W zwycięstwo polskiej sprawy wierzył bez zastrzeżeń, a w domu w wolnych od pracy chwilach ciągle wyśpiewywał „Jeszcze Polska nie zginęła", aż radość brała. Nazwisko owego górnika o brzmieniu niemieckim wyszło mi, niestety, z pamięci.

Nie mogę też nie wspomnieć o drugim, bliżej poznanym górniku z Zabrza, którą to miejscowość Niemcy na Hindenburg przechrzcili. Górnik ten zwał się Florian Klose. Mimo niemieckiego nazwiska był Klose wzorem najidealniejszego Polaka. Przy każdej sposobności pobytu w Bytomiu zaglądał do naszego biura już to by się dowiedzieć o postępie propagandy, którą gorąco się interesował, już też by udzielić pewnych aktualnych wiadomości. Klose jest abstynentem ; nie pije żadnych trunków, ani też nie pali tytoniu.

Zaproszony przez Klosego pojechałem pewnej niedzieli w towarzystwie pani Wojnarowej - która również podczas plebiscytu wśród wiejskich kobiet górnośląskich dla sprawy Polski pracowała- do Zabrza na zebranie abstynentów.

Kilkunastu polskich górników i hutników składało się na to zebranie, któremu przewodniczył Klose. Żal doprawdy było patrzeć na przedwcześnie postarzałych hutników, z popalonymi, żółtymi, zmarszczkami poranymi twarzami, a zarazem budziła się cześć dla ich wytrwałej, ofiarnej pracy. Jak zauważyłem, to zebrani z wyjątkiem Klosego albo wcale pisać po polsku nie umieli, albo też pisali bardzo słabo. Sekretarz tegoż zebrania, wciągając do protokołu odbytego zgromadzenia początek odśpiewanej przez zebranych pieśni :

„Ileż nieszczęść niesie przeklęta gorzała,
Zagubę dla duszy, chorobę dla ciała" -

niż niemiecki kler rzymsko-katolicki dużo dokazywał. Wprawdzie wrocławski biskup, kardynał Bertram, zakazał był katolickiemu duchowieństwu brania udziału w agitacji plebiscytowej, był to jednak zwykły manewr polityczny, byle polskich księży skrępować, bo niemieckim - wśród których szczególną zaciekłością wyróżniał się X. Ulitzka,- wszystko było wolno.

Przez cały czas pobytu w Bytomiu mieszkałem u pewnej górniczej rodziny przy ul. Tarnogórskiej. Górnik ów czytywał tylko w niemieckim języku drukowane gazety, po polsku bowiem wcale czytać nie umiał. Ale jaka za to polska była w nim dusza ! W zwycięstwo polskiej sprawy wierzył bez zastrzeżeń, a w domu w wolnych od pracy chwilach ciągle wyśpiewywał „Jeszcze Polska nie zginęła", aż radość brała. Nazwisko owego górnika o brzmieniu niemieckim wyszło mi, niestety, z pamięci.

Nie mogę też nie wspomnieć o drugim, bliżej poznanym górniku z Zabrza, którą to miejscowość Niemcy na Hindenburg przechrzcili. Górnik ten zwał się Florian Klose. Mimo niemieckiego nazwiska był Klose wzorem najidealniejszego Polaka. Przy każdej sposobności pobytu w Bytomiu zaglądał do naszego biura już to by się dowiedzieć o postępie propagandy, którą gorąco się interesował, już też by udzielić pewnych aktualnych wiadomości. Klose jest abstynentem ; nie pije żadnych trunków, ani też nie pali tytoniu.

Zaproszony przez Klosego pojechałem pewnej niedzieli w towarzystwie pani Wojnarowej - która również podczas plebiscytu wśród wiejskich kobiet górnośląskich dla sprawy Polski pracowała- do Zabrza na zebranie abstynentów.

Kilkunastu polskich górników i hutników składało się na to zebranie, któremu przewodniczył Klose. Żal doprawdy było patrzeć na przedwcześnie postarzałych hutników, z popalonymi, żółtymi, zmarszczkami pooranymi twarzami, a zarazem budziła się cześć dla ich wytrwałej, ofiarnej pracy. Jak zauważyłem, to zebrani z wyjątkiem Klosego albo wcale pisać po polsku nie umieli, albo też pisali bardzo słabo. Sekretarz tegoż zebrania, wciągając do protokołu odbytego zgromadzenia początek odśpiewanej przez zebranych pieśni :

„Ileż nieszczęść niesie przeklęta gorzała,
Zgubę dla duszy, chorobę dla ciała" -

wpisywał pomalutenku sylabę po sylabie, co chwila do książki, pieśń tę zawierającej, zaglądając.

Boże, jakaż to rogata dusza w tych naszych górnośląskich robotnikach siedzi, skoro mimo wszelkich, w środkach nieprzebierających metod, Niemcy w ciągu długich stuleci wypaczyć jej nie zdołali !

Po zamknięciu zebrania zaprosił nas Klose do swego mieszkania. Tam poznałem kilku rosłych jak ojciec synów Klosego i dorodną córkę oraz żonę jego, poważną i miłą matronę. Wszyscy ogromnie radzi z naszych odwiedzin, przywitali się z nami tamecznym obyczajem przez podanie lewej ręki. Niema tam zwyczaju całowania kobiety w rękę prawdopodobnie ze względów higienicznych.

W domu Klosego czystość, ład, porządek, aż oczy się radują. Na ścianach oprócz obrazów świętych, wizerunki sławnych Polaków. Zauważyłem również sporo gazet i książek polskich.

Nie wiem, co się dziś dzieje z tym naszym poczciwym ludem robotniczym, w szczególności z Bytomia i Zabrza, które to ośrodki przy Niemcach pozostały. Obowiązek narodowy nakazuje nam utrzymywać ścisłą łączność z braćmi górnośląskimi, którzy wierności Ojczyźnie święcie dochowali, a nawet, gdy Polska zrzucała z siebie jarzmo niewoli, w walkach powstańczych z Niemcami wierność tę krwią przypieczętowali.

Z pobytu mego na Górnym Śląsku nie mam zresztą nic szczególnego do opowiedzenia. Pięknie tam, bo pięknie, ład i porządek wzorowy, praca wre mrówcza, ale pod tymecznym bladym niebem, zasnutym unoszącymi się wiecznie z lasu kominów fabrycznych dymami, nie bardzo swojo mi było. To też skoro obaj z Wojnarem wyjechaliśmy kiedyś z Bytomia na odległą wieś, już sam widok szarych pól czy szpilkowego lasu jakąś rzeźkością nap~~ełniał~~awał duszę, napotkana zaś tak rzadka w tychże stronach biała chatka z szarą słomianą strzechą wprawiała mnie w jakiś radosny zachwyt, jak gdybym z dalekiej wędrówki do stron rodzinnych wracał. Dziwnie doprawdy na wyobraźnię człowieka działa widok przedmiotu, z jakim się od dziecka zżyło.

I nic dziwnego! Boć i ptak wyzwoliwszy się z ciasnej klatki na wolność, wśród pól i lasów radość swą śpiewem objawia. To też po takiej wycieczce raźniej brała mię ochota do odezwania się na temat mającego nastąpić głosowania, jak naprzykład :

Dziewczynie górnośląskiej.

Z nadwiślańskiej strony starodawną śpiewką
Zwracam się do ciebie, górnośląska dziewko,
Żeby ci kochanej powiedzieć dziewczynie :
Stój twardo przy Polsce w tej ważnej godzinie,
Kiedy nienawistnych nieprzyjaciół siła
Przeciw twej Ojczyźnie groty wymierzyła.
Zbierz w sobie, dziewczyno, wszystkie ducha siły,
Jeżeli ci związek Śląska z Polską miły,
I czuwaj, by wszystkie sióstr i braci głosy
Z macierzą związały kraju swego losy.
A skoro - posłuchaj, dziewczyno kochana ! -
Święta nasza sprawa zostanie wygrana
I świat się na oścież Śląskowi otworzy,
Wywiodę cię, dziewczę, ku świetlanej zorzy,
Powiodę cię, dziewczę, w polski kraj uroczy,
Niechby się cieszyły twe nadobne oczy.
Do Krakusowego powiodę cię grodu,
Tej skarbnicy dziejów polskiego narodu ;
Tam ci, ustrojonej we wzorzyste wstęgi,
Pokażę pomniki Piastowskiej potęgi,
Otworzę ci księgę starej naszej sławy.
Z Krakowa powiozę Wisłą do Warszawy,
Kupię ci naszyjnik z pereł i rubinów.
W Toruniu sznur złotych sprawię ci bursztynów.
Z Torunia powiozę do starego Gdańska,
Chusteczką warkocze przystroję ci z pańska.
Z Gdańska wypłyniemy ku polskiemu morzu
Pląsać po bezkresnym swobodnie przestworzu.
Będę cię hołubił, dziewczyno kochana,
Przy morza poszumie ... Dana moja, dana !
Powiozę cię, dziewczę, w pola pełne krasy,
W Białowieskiej puszczy wprowadzę cię lasy.
Powiozę cię, dziewczę, pozłocistym cugiem

Na kwiecisze łąki nad szemrzącym Bugiem.
Powiozę cię, dziewczę, na urocze pola
Pszenicy i żyta rodnego Podola.
Obwiozę cię, dziewczę, drogami bitemi
Po wszystkich dzielnicach polskiej naszej ziemi.
I poznasz, dziewczyno, naszych Kujawiaków,
Mazurów, górali, żwawych Krakowiaków.
Ugoszczą cię oni, serdeczni, otwarci
Chlebem polskiej roli, miodem polskich barci,
Poznasz ich pobożność i wierne kochanie
I usłyszysz skoczne wiejskich skrzypiec granie,
Wiejskich skrzypiec granie, tak miłe, tak własne,
Że rad cię obejmę i - w podkówki trzasnę !
Wprowadzę cię, dziewczę, w przeźroczyste świty
Na najwyższe Tatrów niebosiężne szczyty ;
Na najwyższe szczyty, skąd będziesz widziała,
Jak wielka jest Polska, bogata, wspaniała !
Pilnuj więc, dziewczyno, by w dzień głosowania
Dzielnie się wywiązał lud śląski z zadania,
Bo tylko z macierzą złączony Śląsk miły
Mieć będzie swobodę, dobrobyt i siły !

Podczas długiego siedzenia w kancelarii cniło mi się niepomiernie, to też z całym narodem oczekiwałem z utęsknieniem dnia rozstrzygnięcia tej plebiscytowej walki.

Hej, zawitaj dniu radosny,
dniu ty utęskniony !
Zadzwońcie nam na to święto
wszystkie w Polsce dzwony !
Zadzwońże nam ty Zygmuncie
na wawelskiej wieży !
Zaśpiewajcie nam siostrzyce
z braćmi od macierzy!
A Ty, Matko i Królowo
nasza z Jasnej Góry,
Pobłogosław śląską ziemię,
syny jej i córy !

Na parę tygodni przed głosowaniem, które odbyło się w dniu 20 marca 1921 r., ofiarowano mi zajęcie w redakcji bytomskiego „Przewodnika Wiejskiego" w charakterze pomocnika redaktora, którym był poseł Gabriel Dubiel, ażebym po rozwiązaniu komisariatu nie został bez zajęcia. I

skłonny byłem posadę tę objąć, lecz nie czując się zdrów i ciągle niepokojony myślą o chorej córce i o reszcie dzieci, co wielce utrudniało by mi swobodę umysłowej pracy, - zaraz na drugi dzień po dokonanym głosowaniu, w towarzystwie pp. Wojnarów i prof. Sosnowskiego, zebrawszy bagaże, udaliśmy się na pobliski dworzec, by najbliższym pociągiem ruszyć w drogę.

VIII.

Na nową siedzibę. - Szlachetne dusze. - Śmierć Broni.

Po przenocowaniu w Krakowie u starego przyjaciela Bartłomieja Brody w dalszą ruszyłem drogę. Na stacji w Tarnobrzegu dowiedziałem się, że rodzina moja już z tych stron wyjechała, wobec czego nie przerywając podróży, na Rozwadów - Lublin - Rejowiec - Zawadę pojechałem do Zamościa, a stąd do niedalekiej już stacji Koniuchy, skąd pieszo 6 km do Gdeszyna.

Tu trza było przedewszystkim zabrać się do uprawy i obsiewu pola. Ale trudności były wielkie. Nie miałem ani konia, ani też niezbędnych narzędzi gospodarskich, ani też wreszcie ziarna do siewu. O wynajem koni jako też kupno nasienia niełatwo było, cała bowiem wieś uległa podczas wojny zupełnemu spaleniu i obrabowaniu z inwentarza. Ocalała jedynie cerkiewka oraz duży murowany spichlerz folwarczny.

Ludność więc cierpiała nędzę, zmuszona z powodu braku mieszkań dusić się w skleconych naprędce na gruzach popalonych sadyb prowizorycznych chatynkach albo też w ziemiankach. Przecież przy pomocy Bożej pole jakoś obrobiłem i obsiałem.

Największą troskę na nowym gospodarstwie sprawiał zupełny brak budynków gospodarczych oraz odpowiedniego mieszkania. Stopyra bowiem, jakkolwiek zapewniał, że budynki, „o jakich tylko zamarzę", będę miał bajecznie tanio, gdyż „materiał mamy swój" - zawiódł wszelkie oczekiwania.

Każdy osadnik w Gdeszynie oprócz ornej ziemi i łąki nabył także odpowiednią do zakupionej roli działkę lasu z drzewostanem budulcowym. Niestety, las ten został przez sprzedawcę zakwestionowany, który to fakt Stopyra od początku taił przede mną. To też skoro po sprowadzeniu się do Gdeszyna chciałem drzewo ze swego lasu na budowę zwieść, sprzedawca pod groźbą skargi sądowej i kryminału „za naruszenie cudzej własności" wywózki drzewa wzbronił i las zamknął. Zakaz ten dotyczył wszystkich nabywców.

Majątek Gdeszyn obszaru około 1000 morgów, dziedzictwo Horodyskich z Mołodiatycz, uległ był podczas wielkiej wojny - jak zresztą większość majątków na wschodnich połaciach Polski - całkowitemu zniszczeniu. Ziemiaństwo znalazło się więc w ciężkim położeniu, nie mogąc popalonych i

z wszelkiego inwentarza jako też z ziarna ogołoconych folwarków odbu - dować i zagospodarować. Stąd to ziemianie ci zmuszeni byli część ziemi sprzedać, ku czemu w dodatku pchała ich groźba wywłaszczenia odłogiem leżącej ziemi na rzecz reformy rolnej, jak niemniej bliskość i niepewność granicy z Rosją, zakreślonej wówczas po linię Bugu.

Ale skoro po pogromie bolszewików pod Warszawą granica Polski posunięta została het na wschód ; dalej, skoro ciż właściciele wielkich obszarów ziemi po bliższym rozpatrzeniu się w chaosie położenia, w jakim znajdowała się wówczas odradzająca się Polska, przyszli do przekonania, że może uda się reformie rolnej kark skręcić, a w najgorszym razie stępić jej ostrze, - poczęli widno żałować swego pośpiechu i wielu z nich usiłowało wyrzucić nowonabywców z prawnie nabytych gruntów. Tą drogą poszli również Horodyscy, próbując bodaj las nowonabywcom odebrać.

W kupnie-sprzedaży majątku pośredniczyła wspomniana już spółka parcelacyjna „Ziemia" i ona cenę za ziemię wyznaczała oraz pieniądze od nowonabywców przyjmowała, - było więc jej moralnym obowiązkiem dopilnować, by parcelanci nie ulegli pokrzywdzeniu. Tymczasem miast tego umyła po piłacku ręce, zwalając perfidnie całą winę na dziedzica, któremu - obłowiwszy się porządnie na spekulacji parcelacyjnej - drogi zastępować nie śmiała, zostawiając osadników własnemu losowi.

A osadnicy gdeszyńscy, pochodzący z różnych stron Polski : od Lublina, Łańcuta, Lwowa, Nowego Sącza i t.d., złożywszy do rąk spółki pieniądze, uzyskane ze sprzedaży w rodzinnych stronach gospodarstw, i nie mogąc z powodu zamknięcia im lasu przystąpić do stawiania koniecznych zabudowań, w większości zmuszeni byli na podobieństwo dzikich zwierząt zamieszkiwać z drobnymi dziećmi oraz z bydlętami - w wykopanych w ziemi norach.

Na mieszkańców wsi Gdeszyn składa się ludność mieszana, prawosławna i rzymsko-katolicka. Lud tu poczciwy, pobożny, pracowity, w trudzie zahartowany. Przed r. 1905 było tu zaledwie kilka rodzin rzym.-katolic - kiego wyznania i dopiero po owym pamiętnym ukazie tolerancyjnym przeciągnięci niegdyś gwałtem na prawosławie unici, masowo zaczęli wracać do wiary ojców.

Jest to wieś dość ładna i schludna, gęsto zabudowana, w zieleni bujnych sadów tonąca. Szczególny ma ona urok na wiosnę, kiedy sady rozkwitną, oraz w jesieni, gdy barw purpurowych liście drzew nabiorą.

Strony te wszakże dręczył obmierzły, po zaborcy pozostały wrzód — mianowicie koniokradztwo. Bywały okresy, że nie było tygodnia, w którym by na terenie hrubieszowskiego powiatu kilku koni nie skradziono; wykrycie zaś złoczyńców należało do bardzo rzadkich wyjątków. To też wydział powiatowy sejmiku hrubieszowskiego nawoływał gospodarzy za pośrednictwem organu swego „Przegląd Hrubieszowski", by stajnie swe na żelazne sztaby na całą szerokość drzwi zamykali, ostrzegając, że inaczej wszystkie konie w powiecie wykradzione być mogą.

Stali mieszkańcy Gdeszyna, lubo przez wojnę zupełnie zniszczeni, w przeciwieństwie do nowo osiadłej na rozparcelowanym tamże majątku ludności byli o tyle w korzystniejszym położeniu, że zaopatrzeni zostali przez rząd w materiał na odbudowę spalonych osiedli, gdy natomiast koloniści pozostawieni byli własnemu losowi.

W początku maja 1921 r. przyniosła mi poczta list od nieznanego mi osobiście posła na sejm ustawodawczy, Jana Sobka z Handzlówki w Łańcuckim. Wyrażając zdziwienie, że zamilkłem, namawiał mnie Sobek i zachęcał, bym w imię dobra ojczystej sprawy pisywał do gazet ludowych, jak to czyniłem czasu wojny, dowodząc, że w obecnej dobie rozbujałej prywaty i ogólnego zaniku uczuć szlachetnych praca taka jest obywatelskim nakazem, z pod którego wyłamywać się nie wolno.

A skoro w odpowiedzi wyjaśniłem Sobkowi, że trudne warunki bytowania, w szczególności ciężka choroba córki, nie dozwalają jąć się mi pióra, odpisał mi krótko, bym nie upadał na duchu.

Jakż nie długo zawitał do mnie hrubieszowski starosta, Walenty Hłyń, i okazał mi wystosowane do niego pismo ówczesnego ministra rolnictwa, dra Józefa Raczyńskiego. W piśmie tym, na skutek wstawiennictwa posła Sobka oraz dwu jego kolegów, Jana Babicza i Adama Krężla, p. minister prosił starostę za mną tymi słowy : „....jeżeli się mu nie dopomoże,to zginie nietylko on, ale i jego rodzina. Zwracam się przeto do Szanownego Pana Starosty z uprzejmą i gorącą prośbą o łaskawe zajęcie się jego losem i spowodowanie, aby tak w zakresie pomocy rolnej

/ i nabycia inwentarza /, jak w zakresie pomocy dla osadników t.j. pobudowania domku mieszkalnego i budynków gospodarczych, wreszcie przez pomoc doraźną - było mu okazane wszystko, co jest możliwe w danych warunkach. Będę Panu Staroście bardzo wdzięczny, jeśli tą drogą Pan Starosta bądź we własnym zakresie działania, bądź przez postawienie odpowiednich wniosków do kogo należy, potrafi przynieść mu pomoc w jego ciężkim położeniu ".

Na skutek powyższego zlecenia szlachetnego ministra zacny starosta postarał się o przydzielenie mi pary koni z uprzężą i wozem, dwu kwintali peluszki jako karmy dla koni, wreszcie jednego kwintala żyta na chleb - wszystko na spłatę dogodnymi ratami. Prawda, konie były liche, stare, wynędzniałe, jednak na owe czasy wprost nieocenione, a zresztą lepszych pod ręką nie było.

I tu nie mogę powstrzymać się od smutnych rozmyślan. Całe moje życie - to nieprzerwane pasmo utrapień i trosk o jutro. Mówiono o mnie zazwyczaj, że jestem „z natury skłonny do narzekań" - choć wątpię, czy był człowiek w moim położeniu, z taką rezygnacją los swój znoszący. Jakże inaczej pojął mnie poseł Jan Sobek oraz minister dr. Józef Raczyński. Oni moją dolę odczuli i zrozumieli.

Starosta Walenty Hłyń, bardzo zacny i dla każdego niezwykle przystępny człowiek, wolny od tego bałaganu biurokratycznego, jaki ku utrapieniu obywateli i wielkiej szkodzie państwa, jak dusząca zmora, opanował nasze państwowe jako też autonomiczne urzędy, cieszył się ogromną sympatią ludności powiatu hrubieszowskiego. Ale, niestety ! Był on już wówczas na „przymusowym urlopie", a to dzięki nieprzebierającej w środkach zawiści partyjnej i wkrótce ustąpić musiał z zajmowanego stanowiska. Wobec tego interwencja posła Sobka jako też orędownictwo ministra Raczyńskiego tylko częściowy odniosły skutek.

Ministrowi Dr. Józefowi Raczyńskiemu koloniści gdeszyńscy mają dużo dobrego do zawdzięczenia. On to, powiadomiony o usiłowaniach dziedziców Horodyskich odebrania nam lasu, ujął w swe ręce tę sprawę i skierował ją na tory pomyślnego dla osadników rozstrzygnięcia. Niestety, był to już okres galopującej dewaluacji marki polskiej, to też wartość gotówki, jaką koloniści zachowali na koszta stawiania budynków, spadła do zera.

Stan zdrowia Broni stale się pogarszał, wreszcie w Wielką Sobotę 15 kwietnia 1922 r. ta pełna ochoty do życia dziewczyna w dziewiętnastej wiośnie odeszła nas w zaświaty. Na drugi dzień t.j. w W. Niedzielę pojechałem do Grabowca kupić trumnę. Przypadek chciał, że pieniądze zgubiłem, a stolarz katolik mimo solennego zapewnienia, że na drugi dzień odeszlę mu pieniądze, nie chciał trumny wydać, wobec czego z niczem wróciłem do domu, gdzie dopiero usłużni sąsiedzi pieniędzy mi pożyczyli. Trzeba więc było drugi raz do oddalonego 9 km Grabowca jechać.

W Poniedziałek Wielkanocny przy licznym udziale ludności obojga wyznań odprowadziliśmy Bronię na cmentarz, świeżo założony przy niedawno utworzonej w Gdeszynie rzym.-katolickiej parafii, a pierwszy grób, jaki na tymże cmentarzu wykopano - to grób mojej Broni.

W najpiękniejszej wiośnie życia bezlitosną ręką śmierci wydarta zbolałym rodzicom i łkającemu rodzeństwu, spoczęła sieroco pod dębowym krzyżykiem w szczerym polu, gdzie latem prócz poszumu bujnych zbóż i trelów polnego ptactwa, a zimą jęku mroźnych wichrów, nic ciszy nie mąci.

IX.

Dola nauczycielki. - Doktor Litwinowicz. - Dur. - Ksiądz i książki. - Prawdziwy przyjaciel.

Nauczanie dzieci w szkole gdeszyńskiej prowadziła Zosia sama jedna. Frekwencja dziatwy dochodziła setki. Prócz zwykłej, programowej naki uczyła Zosia ponadto dziewczęta szycia i haftów.

Za salę szkolną służyła wynajęta we wsi prosta, niemożliwie ciasna izdebka, w której biedna ta nauczycielka w kurzu i zaduchu przebywać musiała zwykle siedem godzin dziennie.

Z żalem i niepokojem patrząc na wątłą tę dziewczynę, przedkładałem jej, by dbając więcej o swe zdrowie, zmniejszyła ilość spędzanych w szkole godzin. Daremnie. Tłumaczyła, że w skróconym czasie nie dałaby rady wszystkiemu, a dalej, że byłoby to wykroczeniem przeciw obowiązkom.

Zdumiewająca zaiste energia wspierała tę słabą ciałem, ale duchem mocną istotę, skoro poza obowiązkami szkolnymi znalazła czas na urządzanie przedstawień amatorskich i organizowanie chórów śpiewackich, w czym po żmudnej pracy w szkole znajdywała rozrywkę i zarazem wewnętrzne zadowolenie, iż mogła zapadłą tę wieś ożywić duchem cywilizacji.

O takiej to pracownicy wyraża się Konopnicka w utworze „Z wiejskiej szkółki" następującymi słowy :

Młoda żniwiarka na wspólnych prac niwie
Stanęła śmiało
I snop swój ciężki wiązała cierpliwie
Przez dobę całą.
Choć nikt zachęty nie ozwał się słowem,
Nie dał pomocy,
Trwała tak,stojąc na polu jałowym
Z świtu do nocy.
I tylko czasem pobladła znużona
Z mokrą powieką,
Wznosiła swoje mdlejące ramiona
W przestrzeń daleką.

Do dozoru szkolnego gminy Mołodiatycze, w skład której wchodzi także wieś Gdeszyn, wszedł był swego czasu wspomniany już na innym miejscu Maciej Stopyra w charakterze zastępcy przewodniczącego. Na jednym z posiedzeń tegoż dozoru postanowiono budowę szkoły w Gdeszynie i wręczywszy Stopyrze asygnatę na przygotowany na ten cel materiał budowlany, zlecono mu zajęcie się zwózką. Ale Stopyra asygnatę schował do kie-

IX.

D o l a n a u c z y c i e l k i . - D o k t o r L i t w i n o - w i c z . - D u r . - K s i ą d z i k s i ą ż k i . - P r a w - d z i w y p r z y j a c i e l.

Nauczanie dzieci w szkole gdeszyńskiej prowadziła Zosia sama jedna. Frekwencja dziatwy dochodziła setki. Prócz zwykłej, programowej nauki uczyła Zośka ponadto dziewczęta szycia i haftów.

Za salę szkolną służyła wynajęta we wsi prosta, niemożliwie ciasna izdebka, w której biedna ta nauczycielka w kurzu i zaduchu przebywać musiała zwykle siedem godzin dziennie.

Z żalem i niepokojem patrząc na wątłą tę dziewczynę, przedkładałem jej, by dbając więcej o swe zdrowie, zmniejszyła ilość spędzanych w szkole godzin. Daremnie. Tłumaczyła, że w skróconym czasie nie dałaby rady wszystkiemu, a dalej, że byłoby to wykroczeniem przeciw obowiązkom.

Zdumiewająca zaiste energia wspierała tę słabą ciałem, ale duchem mocną istotę, skoro poza obowiązkami szkolnymi znalazła czas na urządzanie przedstawień amatorskich i organizowanie chórów śpiewackich, w czym po żmudnej pracy w szkole znajdywała rozrywkę i zarazem wewnętrzne zadowolenie, iż mogła zapadłą tę wieś ożywić duchem cywilizacji.

O takiej to pracownicy wyraża się Konopnicka w utworze „Z wiejskiej szkółki" następującymi słowy :

Młoda żniwiarka na wspólnych prac niwie
Stanęła śmiało
I snop swój ciężki wiązała cierpliwie
Przez dobę całą.
Choć nikt zachęty nie ozwał się słowem,
Nie dał pomocy,
Trwała tak, stojąc na polu jałowym
Z świtu do nocy.
I tylko czasem pobladła znużona
Z mokrą powieką,
Wznosiła swoje mdlejące ramiona
W przestrzeń daleką.

Do dozoru szkolnego gminy Mołodiatycze, w skład której wchodzi także wieś Gdeszyn, wszedł był swego czasu wspomniany już na innym miejscu Maciej Stopyra w charakterze zastępcy przewodniczącego. Na jednym z posiedzeń tegoż dozoru postanowiono budowę szkoły w Gdeszynie i wręczywszy Stopyrze asygnatę na przygotowany na ten cel materiał budowlany, zlecono mu zajęcie się zwózką. Ale Stopyra asygnatę schował do kie-

szeni, by po kilku miesiącach zwrócić ją dozorowi ...

Tymczasem urągające najprymitywniejszym wymogom higieny warunki w ciasnej, wilgotnej i dusznej izbie szkolnej oraz przeciążenie pracą obowiązkową na zdrowie Zosi poczęły zgubne wywierać skutki. Zapadła na chorobę krtani. Głos jej ochrypł, a wypowiedzenie każdego słowa sprawiało jej ból w gardle. Udała się więc do Hrubieszowa, gdzie lekarz powiatowy dr. Skrobiszewski wystawił jej świadectwo lekarskie, zalecające dwutygodniowy wypoczynek. Ale zastępca inspektora szkolnego, Jagoszewski, urlop ten zredukował do czterech dni ...

Niebawem spostrzegła Zosia, że choroba jej czyni szybkie postępy, czemu należałoby natychmiast przeciwdziałać, - a wiedząc z doświadczenia, że uwiadamianie inspektoratu szkolnego i oczekiwanie stamtąd wątpliwej odpowiedzi zabrałoby dużo czasu, gdy pomoc lekarska w podobnym wypadku najmniejszej nie dopuszcza zwłoki, pojechała do Zamościa, a stąd na skutek zlecenia lekarza, który stan jej choroby zbadał, prosto do Lublina. W Lublinie lekarz specjalista po zbadaniu chorej nakazał jej zaprzestanie pracy przynajmniej przez dwa miesiące i stosowanie przez ten czas przepisanej kuracji.

Wystosowała więc do Inspektoratu podanie i załączywszy doń świadectwo lekarza lubelskiego, oznajmiła, że z powodu choroby zmuszona jest zaprzestać pracy w szkole, prosząc zarazem o udzielenie dwumiesięcznego urlopu.

W odpowiedzi na tę prośbę otrzymała z inspektoratu ostrą naganę, że bez pozwolenia jeździła do Lublina, oraz zawiadomienie, iż za samowolne przerwanie nauczania wdrożone przeciw niej zostaje dochodzenie dyscyplinarne, wreszcie rozkaz natychmiastowego podjęcia przerwanej pracy w szkole i nakoniec pouczenie, że dla nich / t.j. dla hrubieszowskiego inspektoratu szkolnego / „miarodajnym jest tylko świadectwo lekarza powiatowego".

Tak potraktowana przez swą bezpośrednią władzę szkolną, w obawie represyj i możliwej utraty posady w umiłowanym całą duszą zawodzie, wróciła biedaczka do szkoły, gdzie już - nie mogąc głośniej mówić - posługiwała się wobec dziatwy gestykulacją ...

Ale mnie jako ojca tak bezprzykładne postąpienie inspektora

szkolnego do głębi poruszyło. Z odpowiedzi, danej córce na jej prośbę o urlop, przebijało coś w guście złej woli. Bo i jakże ? Powiedziano wyraźnie, że „że dla nas m i a r o d a j n e jest tylko świadectwo lekarza powiatowego", a z drugiej strony świadectwo to świadomie ig - noruje się, jak w przytoczonym powyżej fakcie zredukowania przepisa - nego przez powiatowego lekarza dwutygodniowego urlopu do czterech dni! Napisałem więc do inspektora, Wilhelma Gregera, i usprawiedliwszy córkę, prosiłem go,by zapowiedziane represje „dyscyplinarne" jako niesprawiedliwe cofnął.

Jako odpowiedź otrzymałem od tegoż inspektora gęsto wykrzyknikami naszpikowany list, w którym między innymi wyliczając, ile to sił nauczycielskich jemu podlega, pisze : „Proszę sobie wyobrazić, coby się działo,gdyby tak każdy postępował, jak Pańska córka".

Dpprawdy - „coby się działo"?...Coby się działo, gdyby w su - miennym spełnianiu swycg obowiązków, stargawszy zdrowie wśród czterech ścian, przesyconych stęchlizną, kurzem i wyziewami dziatwy nory szkol - nej, nauczycielstwo groźbą represyj zniewolone było wytężać te resztki zmarnowanych sił, jak w tym wypadku moja córka ? ...

Oto, panie inspektorze,działoby się niezawodnie to, że kolumny nekrologów na szpaltach „Głosu Nauczycielskiego" powiększyłyby się bodaj czy nie stokrotnie !

Skoro więc tylko świadectwo lekarza powiatowego było dla hru - bieszowskiego inspektoratu szkolnego „miarodajne",nie miała nieszczę - śliwa nauczycielka innego wyjścia, jak,odbywać i to podczas najnie - zdrowszej, dżdżystej pory roku nieskończenie męczące podróże do Hrubieszowa do badań lekarskich ; podróżę, które jeżeli dla zdrowego czło - wieka są nużące, to dla chorego już wprost zabójcze. A ówczesny lekarz powiatowy, dr. Skrobiszewski, widząc przed sobą wybladłą, dygocząca i ledwie trzymającą się na nogach nauczycielkę,wystawił jej świadectwo bez żadnego badania, li tylko na podstawie okazanego mu zaświadczenia, które inspektor potraktował był jako nonsens. I dopiero świadectwo to okazało się „miarodajne" i uświęconej formułce biurokratycznej stało się zadość.

Istnieją w Polsce towarzystwa opieki nad zwierzętami, nakładające nieraz surowe nawet kary na osobników dopuszczających się dręczenia tych niemych stworzeń, nadto wyszła ustawa, biorąca w ochronę wszelkie zwierzęta i ptactwo. I słusznie ! Boć i te stworzenia Boże mają czucie i nie na męki dał im Stwórca istnienie na ziemi. A czy chora nauczycielka jest czemś gorszym od zwierzęcia ?

Okazałe sanatorium nauczycielskie w Zakopanem może uwzględnić tylko znikomy procent zgłoszeń suchotników. A reszta ? Ta reszta, i to przeważnie w młodym wieku, wymiera.

Nareszcie po wielu zachodach przyznano Zosi dłuższy, ale bezpłatny urlop dla poratowania nikłego już zdrowia. Jako zastępcę na czas swej bezczynności w szkole poleciła inspektorowi Władysława Ignatowskiego, co też inspektor uwzględnił.

Ów Ignatowski wstąpił był z chwilą wybuchu wojny do legionów. Po skończonej kampanii przyjechał do Gdeszyna, dokąd rodzice jego na zakupioną z rozparcelowanego folwarku 14-morgową działkę z pod Rzeszowa się przesiedlili. Tu poznał Zosię, oświadczył się i został przyjęty. Jako trzyklasista gimnazjalny nie mógł się wykazać potrzebnymi w nauczycielskim zawodzie kwalifikacjami, więc Zosia zadała sobie trud pogłębienia jego szczupłej, a niezbędnej w tym zawodzie wiedzy. I pomimo że w udzielaniu mu lekcyj posługiwała się tylko pismem i gestykulacją, mówić bowiem nie mogła, a zresztą mówienia lekarz jej zabronił, dokazała tego, że po jakimś czasie mógł Ignatowski przy poparciu już wspomnianego, b. starosty hrubieszowskiego W. Hłynia, w tym czasie profesora w gimnazjum żeńskim zamojskim, zdać wstępny egzamin w Zamościu i na tej podstawie dostał prowizoryczną posadę nauczyciela. W dniu 9 maja 1923 r. odbył się ich ślub.

Dopiero teraz mogła się Zosia poddać spokojnie kuracji. Co miesiąc jeździła na tydzień do Lwowa, gdzie lekarz-specjalista chorób gardła, dr. Orest Litwinowicz, prawdziwie po samarytańsku nią się zaopiekował. Zacny ten człowiek, dowiedziawszy się, że Zosia ma urlop bezpłatny, nie chciał brać od niej należnego honorarium, mówiąc, że zapłatę uiści pacjentka, skoro do całkowitego zdrowia i zarobkowania wróci. I szło to jakoś. Pomalutku poczęła się Zosia wygrzebywać z przykrej choroby, która ze

Istnieje w Polsce towarzystwa opieki nad zwierzętami, nakładające nieraz surowe nawet kary na osobników dopuszczających się dręczenia tych niemych stworzeń, nadto wyszła ustawa, biorąca w ochronę wszelkie zwierzęta i ptactwo. I słusznie ! Boć i te stworzenia Boże mają czucie i nie na męki dał im Stwórca istnienie na ziemi. A czy chora nauczycielka jest czemś gorszym od zwierzęcia ?

Okazało się sanatorium nauczycielskie w Zakopanem może uwzględnić tylko znikomy procent zgłoszeń suchotników. A reszta ? Ta reszta, i to przeważnie w młodym wieku, wymiera.

Nareszcie po wielu zachodach przyznano Zosi dłuższy, ale bezpłatny urlop dla poratowania nikłego już zdrowia. Jako zastępcę na czas swej bezczynności w szkole poleciła inspektorowi Władysława Ignatowskiego, co też inspektor uwzględnił.

Ów Ignatowski wstąpił był z chwilą wybuchu wojny do legionów. Po skończonej kampanii przyjechał do Odessyna, dokąd rodzice jego na zakupioną z rozparcelowanego folwarku 14-morgową działkę z pod Rzeszowa się przesiedlili. Tu poznał Zosię, oświadczył się i został przyjęty. Jako trzyklasista gimnazjalny nie mógł się wykazać potrzebnymi w nauczycielskim zawodzie kwalifikacjami, więc Zosia zadała sobie trud pogłębienia jego szczupłej, a niezbędnej w tym zawodzie wiedzy. I pomimo że w udzielaniu mu lekcyj posługiwała się tylko pismem i gestykulacją, mówić bowiem nie mogła, a szczątki mówienia lekarz jej zabronił, dokazała tego, że po jakimś czasie mógł Ignatowski przy poparciu już wspomnianego, b. starosty hrubieszowskiego W. Kłynia, w tym czasie profesora w gimnazjum żeńskim zamojskim, zdać wstępny egzamin w Zamościu i na tej podstawie dostał prowizoryczną posadę nauczyciela. W dniu 9 maja 1923 r. odbył się ich ślub.

Dopiero teraz mogła się Zosia poddać spokojnie kuracji. Co miesiąc jeździła na tydzień do Lwowa, gdzie lekarz-specjalista chorób gardła, dr. Orest Litwinowicz, prawdziwie po samarytańsku nią się zaopiekował. Zacny ten człowiek, dowiedziawszy się że Zosia ma urlop bezpłatny, nie chciał brać od niej należnego honorarium, mówiąc, że zapłatę uiści pacjentka, skoro do całkowitego zdrowia i zarobkowania wróci. I szło to jakoś.

Pomaleńku poczęła się Zosia wygrzebywać z przykrej choroby, która ze

zwykłej dolegliwości krtani przeszła już była w gruźlicę gardła.

W pięć miesięcy po zaślubinach Zosi u mego sąsiada M. Stopyry chłopak służący umarł na dur brzuszny. Matka zmarłego musiała widocznie prać szmaty w przepływającym moją łąkę strumieniu, w którym i z mego domu bieliznę prano, albowiem wkrótce potem syn mój zapadł na tę chorobę. Ledwieśmy go odwieźli do szpitala w Hrubieszowie, a już ta sama choroba objawiła się u najmłodszej córki Marii. Więc i z nią do szpitala !

Drogą kołową Hrubieszów oddalony jest od Gdeszyna blisko 20 km. Jaki zaś wilgotną jesienią i wczesną wiosną drogi hrubieszowskie obraz przedstawiają, pojmie tylko ten,kto w tych porach roku drogi te przebywał. Dobrze jeszcze, gdy droga nieofosowana biegnie wśród pól, bo można na pola zboczyć, ale tam gdzie wzdłuż drogi ciągną się głębsze rowy, których przekroczyć się nie da, trzeba być prawdziwym mistrzem w powożeniu, by wóz od wywrócenia w napełnionych rzadkim błotem dołach ustrzec, a konie już nie od połamania nóg, lecz od utopienia uchronić.

Dzięki troskliwym zabiegom lekarzy z dyrektorem szpitala dr. Dubiszewskim na czele, dzieci moje szczęśliwie ciężką tę chorobę przetrwały i po trzech tygodniach mogłem je ze szpitala odebrać.

Ale już po paru dniach syn, wstrząsany dreszczami, zmuszony był położyć się do łóżka ; gorączka wzmogła się, a ciało upstrzyły drobne, zaledwie dostrzegalne plamki.

I znowuż jazda z nim do Hrubieszowa tymi samymi przepastnymi drogami. Gorącość od chorego bije jak z pieca ; deszczyk mży, a on usiłuje wyzwolić się z ochraniających go przed zimnem pierzyn ... Wywołane gorączką pragnienie dręczy go, to też słabym głosem przynagla : „Prędzej jechać, prędzej!" Więc na bardziej możliwych do przebycia odcinkach drogi podcinamy obryzgane błotem i buchające parą szkapy ; wóz niemiłosiernie podskakuje, przechyla się, to znów zapada w pełne mazistego błota doły, aż biedny chłopiec prosi : „Pomału, pomału !" Nareszcie po wielu fizycznych i duchowych udrękach szczęśliwie przywieźliśmy Stasia do szpitala, gdzie konsylium lekarzy sprawdziło u niego dur wysypkowy.

Tu wypada wyjaśnić przyczynę, z powodu której Staś popadł w dru-

gą, jeszcze cięższą od poprzedniej chorobę, tym niebezpieczniejszą, że co dopiero opuściwszy szpital, bardzo był wyniszczony. Córka, jako lżej chora parę dni wcześniej szpital opuściła. W przeddzień zaś odebrania Stasia po pierwszej jego chorobie wprowadzono do tej samej sali wieśniaczkę, podejrzaną o dur plamisty. Lekkomyślna służąca szpitalna, nie poddawszy poprzednio chorej przepisanej kąpieli, przeniosła z niej na Stasia wszy, a skutki tego zaniedbania nie dały długo na siebie czekać.

Trawiony wysoką gorączką podczas długiej choroby i zmuszony do zachowania ścisłej diety, jako jednego z głównych w chorobie tej warunków, wysechł Staś na istnego kościotrupa, ale chorobę przetrzymał. Dyrektor szpitala, dowiedziawszy się później, że chory całkowicie wyzdrowiał, dziwił się odpornej naturze chłopaka, przypisując wyzdrowienie jego cudowi.

W ostatni dzień maja 1924 r. powiła Zosia córeczkę Danusię. Co za radość ogarnęła młodą tę matkę, z jak bezgraniczną, macierzyńską czułością do swej dzieciny przylgnęła - wysłowić trudno. I zdawało się, że samo istnienie tej maleńkiej istoty zdrowie chorej matce przywraca. Niestety! zmuszona jeździć do lekarza do Lwowa, nie mogła być ciągle przy dziecku, które popadło w chorobę silnej, długotrwałej biegunki i w czwartym miesiącu zmarło.

W końcu grudnia 1924 r., czy w początku stycznia 1925 r. - nie pomnę dobrze kiedy - Zosia z płaczem wróciła ze Lwowa, dokąd do lekarza przed paroma dniami była pojechała. Oto serce zacnego doktora Litwinowicza bić przestało. Nie zastała go już. Spoczął przedwcześnie w mogile, zmożony chroniczną chorobą nerkową.

Inny lekarz, do którego Zosia po zgonie ś.p. Litwinowicza w celach dalszej kuracji jeździć była zmuszona, zastosował wobec niej odmienną metodę leczenia, czym tak dodatnimi wynikami wieńczone dzieło poprzednika zniweczył.

Najdotkliwszymi dla duszy mej udrękami były choroby dzieci i śmierć Broni. Bo gdyby nie to, byłoby mi mimo wielu braków całkiem znośnie. Miałem tu wolny ruch i świat Boży przed oczyma otwarty. Nie tak jak wśród owych martwych ścian biura, gdzie pozbawiony swobody ruchu, zmuszony ślęczeć długimi godzinami dzień po dniu nad jałowymi urzędowymi

ża, jeszcze cięższa od poprzedniej choroby, tym niebezpieczniejsza, że co dopiero opuściwszy szpital, bardzo był wyniszczony. Córka, jako lżej chora parę dni wcześniej szpital opuściła. W przeddzień zaś odebrania Stasia po pierwszej jego chorobie wprowadzono do tej samej sali wieśniaczkę, podejrzaną o dur plamisty. Lekkomyślna służąca szpitalna, nie poddawszy poprzednio chorej przepisanej kąpieli, przeniosła z niej na Stasia wszy, a skutki tego zaniedbania nie dały długo na siebie czekać.

Trawiony wysoką gorączką podczas drugiej choroby i zmuszony do zachowania ścisłej diety, jako jednego z głównych w chorobie tej warunków, wyschł Staś na istnego kościotrupa, ale chorobę przetrzymał. Dyrektor szpitala, dowiedziawszy się później, że chory całkowicie wyzdrowiał, dziwił się odpornej naturze chłopaka, przypisując wyzdrowienie jego cudowi.

W ostatni dzień maja 1924 r. powiła Zosia córeczkę Danusię. Co za radość ogarnęła młodą tę matkę, z jak bezgraniczną, macierzyńską czułością do swej dzieciny przylgnęła - wysłowić trudno. I zdawało się, że samo istnienie tej maleńkiej istoty zdrowie chorej matce przywraca. Niestety i zmuszona jeździć do lekarza do Lwowa, nie mogła być ciągle przy dziecku, które popadło w chorobę silnej, długotrwałej biegunki i w czwartym miesiącu zmarło.

W końcu grudnia 1924 r., czy w początku stycznia 1925 r. - nie pomnę dobrze kiedy - Zosia z płaczem wróciła ze Lwowa, dokąd do lekarza przed paroma dniami była pojechała. Oto serce znanego doktora Litwinowicza bić przestało. Nie zastała go już. Spoczął przedwcześnie w mogile, zmożony chroniczną chorobą nerkową.

Inny lekarz, do którego Zosia po zgonie ś.p. Litwinowicza w celach dalszej kuracji jeździć była zmuszona, zastosował wobec niej odmienną metodę leczenia, czym tak dodatnimi wynikami wieńczone dzieło poprzednika zniweczył.

Najdotkliwszymi dla duszy mej udrękami były choroby dzieci i śmierć Broni. Bo gdyby nie to, byłoby mi mimo wielu braków całkiem znośnie. Miałem tu wolny ruch i świat Boży przed oczyma otwarty. Nie tak jak wśród owych martwych ścian biura, gdzie pozbawiony swobody ruchu, zmuszony ślęczeć długimi godzinami dzień po dniu nad jałowymi urzędowymi

komunałami w martwej głuszy, doznawałem wrażenia, jakiego doznaje skazaniec, żywcem zamurowany w grobie, co na mój stan duchowy fatalnie wpływało.

Okolica stron tych wcale ładna, „jasna". Lasów stosunkowo dość ; pola żyzne, urodzajne. Wioski przeważnie zachowały swój dawny, sielski charakter, a niektóre, jak n. p. Korytyna, wśród zielonych lasów ukryta, - wprost śliczne.

Drobni rolnicy, dzięki wiekopomnemu dziełu X. Stanisława Staszica - mają się tu oddawna dość dobrze i umiejętnie gospodarzą.

Przy drogach pełno krzyżów, widomych znaków głębokiej wiary ludu. Kto z dalszych stron Polski pierwszy raz znajdzie się w tych stronach, mimowoli zapyta za Teofilem Lenartowiczem : „Czemu tyle krzyży stanęło przy drogach ?" A każdy niemal z tych krzyżów ma swoje odrębne dzieje na tle prześladowania Unii. W pobliżu mego osiedla stoi duży, ładny, jeszcze jak nowy, dębowy krzyż, a historia jego dość ciekawa. Którego roku został postawiony, dziś już nie wiem. Ufundowali go katolicy, co prawosławnemu duchownemu bardzo się nie podobało, zaczym wkrótce po wkopaniu krzyża przyszedł ze swymi owieczkami i poświęcił go według prawosławnego rytuału. Ale to jeszcze bardziej nie podobało się fundatorom. Wykopali więc ten krzyż, oheblowali go z prawosłanego pokostu, ładnie pomalowali i znów go postawili, a ksiądz katolicki dokonał poświęcenia. I ten to krzyż do dziś stoi.

O krzyżu zaś, stojącym w lesie gdeszyńskim z prawej strony drogi, do Grabowca prowadzącej,jedna ze światłych gdeszyńskich włościanek, Katarzyna Krawczukowa, opowiedziała mi również ciekawą historię, którą w streszczeniu przytaczam.

W r. 1898 katolicy gdeszyńscy wyciosany pokryjomu w sąsiedniej wsi Bronisławce ciężki, dębowy krzyż nocą do lasu przywieźli i przy drodze postawili. Uwiadomiony o tym miejscowy paroch chciał ten krzyż poświęcić i na rzecz prawosławia zagarnąć, czemu wszakże dla pewnych, łatwo zrozumiałych względów, sprzeciwiła się policją, zarządzając natomiast wykopanie krzyża i wywiezienie go na cmentarz do Grabowca. Ale w obronie godła wiary stanęło kilkadziesiąt kobiet katolickich z Pawłem Szmitem, bratem opowiadającej na czele. W trakcie tego między kobietami a policją

komunałami w martwej głuszy, doznawałem wrażenia, jakiego doznaje ska - zaniec, żywcem zamurowany w grobie, co na mój stan duchowy fatalnie wpływało.

Okolica stron tych wcale ładna, „jasna". Lasów stosunkowo dość ; pola żyzne, urodzajne. Wioski przeważnie zachowały swój dawny, sielski charakter, a niektóre, jak n. p. Korytyna, wśród zielonych lasów ukryta, - wprost śliczne.

Drobni rolnicy, dzięki wiekopomnemu dziełu X. Stanisława Staszica - mają się tu oddawna dość dobrze i umiejętnie gospodarzą.

Przy drogach pełno krzyżów, widomych znaków głębokiej wiary ludu. Kto z dalszych stron Polski pierwszy raz znajdzie się w tych stronach, mimowoli zapyta za Teofilem Lenartowiczem : „Czemu tyle krzyży stanęło przy drogach ?" A każdy niemal z tych krzyżów ma swoje odrębne dzieje na tle prześladowania Unii. W pobliżu mego osiedla stoi duży, ładny, jeszcze jak nowy, dębowy krzyż, a historia jego dość ciekawa. Którego roku został postawiony, dziś już nie wiem. Ufundowali go katolicy, co prawosławnemu duchownemu bardzo się nie podobało, zaczym wkrótce po wkopaniu krzyża przyszedł ze swymi owieczkami i poświęcił go według prawosławnego rytuału. Ale to jeszcze bardziej nie podobało się fundatorom. Wykopali więc ten krzyż, oheblowali go z prawosławnego pokostu, ładnie pomalowali i znów go postawili, a ksiądz katolicki dokonał poświęcenia. I tén to krzyż do dziś stoi.

O krzyżu zaś, stojącym w lesie gdeszyńskim z prawej strony drogi, do Grabowca prowadzącej, jedna ze światłych gdeszyńskich włościanek, Katarzyna Krawczukowa, opowiedziała mi również ciekawą historię, którą w streszczeniu przytaczam.

W r. 1898 katolicy gdeszyńscy wyciosany pokryjomu w sąsiedniej wsi Bronisławce ciężki, dębowy krzyż nocą do lasu przywieźli i przy drodze postawili. Uwiadomiony o tym miejscowy paroch chciał ten krzyż poświęcić i na rzecz prawosławia zagarnąć, czemu wszakże dla pewnych, łatwo zrozumiałych względów, sprzeciwiła się policja, zarządzając natomiast wykopanie krzyża i wywiezienie go na cmentarz do Grabowca. Ale w obronie godła wiary stanęło kilkadziesiąt kobiet katolickich z Pawłem Szmitem, bratem opowiadającej na czele. W trakcie tego między kobietami a policją

przyszło do bójki, podczas której jedna z kobiet otrzymała cięcie szablą, Szmitowi zaś, jako głównemu przewódcy,zarzuciła policja powróz na szyję, lecz kobiety rzuciły się mu na pomoc i z więzów uwolniły.

Niedługo wszakże pewnego mglistego poranka Moskale cichaczem krzyż wykopali i do Grabowca na cmentarz wywieźli. Ale uparne kobiety gdeszyń - skie pewnej nocy udały się na cmentarz, krzyż wykopały, na przodku wozu umieściły, z wielkim trudem bocznymi drogami do lasu z powrotem przywlokły i na swoim miejscu postawiły.

Kiedy przed kilkudziesięciu laty opuszczałem Chełmszczyznę, ziemię zroszoną obficie łzami i krwią prześladowanych unitów, nie przypuszczałem nawet, by mnie kiedykolwiek los znów w te strony przerzucił. Wówczas byłem młody, pełny nadziei, ale niewolnik we własnej Ojczyźnie ; dziś, jakkolwiek pod brzemieniem lat, pełnych zawodu i trudu, pochylony, lecz ze spełnionymi nadziejami, które od najwcześniejszej młodości żywiłem,mogę zawołać ze sędziwym Symeonem :„Puść sługę Twego, Panie, w pokoju,gdyż oczy moje oglądały zbawienie".

Gdeszyn jest wioską zapadłą ; powiatowe miasto dość daleko, a Grabowiec, gdzie w ostatnim czasie urząd pocztowy utworzono,- to licha osada. Mogło się mi tu czasem przykrzyć, ale na szczęście zawsze o mnie pamiętający X. Józef Janiszewski nadsyłał mi od czasu do czasu spore paczki książek tak, że zawsze w wolnej chwili miałem się czym rozerwać.

Z tej ofiary zacnego księdza korzystała również miejscowa ludność tak wsi jako też kolonii. Zgłoszeń o pożyczenie „czegoś do czytania" miałem tyle, że każda przystępna dla wiejskiego czytelnika książka wędrowała z rąk do rąk. Jak zaś wzruszające zamiłowanie do czytania było między tymi poczciwymi ludźmi, świadczy następujący szczegół : Biedny stolarz ze wsi nazwiskiem Trochimowicz, Rusin prawosławny, posiadający za cały majątek nędzną ziemiankę, w której z rodziną mieszkał, sam czytać wcale nie umiejący, pożyczał ode mnie książki, które mu syn wyrostek w domu odczytywał. Po przeczytaniu, a raczej po wysłuchaniu przeczytania, odnosił mi książkę z podziękowaniem i prosił o drugą. Nie mógł się dość nachwalić książki p. t. „Zły czar" Jana Łady. Jeżeli więc czytelnictwo to umoralniający wpływ na ludność wywierało, główna zasługa przypada X. Józefowi Janiszewskiemu.

przyszło do bójki, podczas której jedna z kobiet otrzymała cięcie szablą, Szmitowi zaś, jako głównemu przewódcy, zarzuciła policja powróz na szyję, lecz kobiety rzuciły się mu na pomoc i z więzów uwolniły.

Niedługo wszakże pewnego mglistego poranka Moskale ciołaczem krzyż wykopali i do Grabowca na cmentarz wywieźli. Ale uparte kobiety gdeszyńskie pewnej nocy udały się na cmentarz, krzyż wykopały, na przodku wozu umieściły, z wielkim trudem bocznymi drogami do lasu z powrotem przywiozły i na swoim miejscu postawiły.

Kiedy przed kilkudziesięciu laty opuszczałem Chełmszczyznę, ziemię zroszoną obficie łzami i krwią prześladowanych unitów, nie przypuszczałem nawet, by mnie kiedykolwiek los znów w te strony przerzucił. Wówczas byłem młody, pełny nadziei, ale niewolnik we własnej Ojczyźnie ; dziś, jakkolwiek pod brzemieniem lat, pełnych zawodu i trudu, pochylony, lecz ze spełnionymi nadziejami, które od najwcześniejszej młodości żywiłem, mogę zawołać ze sędziwym Symeonem : „Puść sługę Twego, Panie, w pokoju, gdyż oczy moje oglądały zbawienie".

Gdeszyn jest wioską zapadłą ; powiatowe miasto dość daleko, a Grabowiec, gdzie w ostatnim czasie urząd pocztowy utworzono,- to licha osada. Mogło się mi tu czasem przykrzyć, ale na szczęście zawsze o mnie pamiętający X. Józef Janiszewski nadsyłał mi od czasu do czasu spore paczki książek tak, że zawsze w wolnej chwili miałem się czym rozerwać.

Z tej ofiary zacnego księdza korzystała również miejscowa ludność tak wsi jako też kolonii. Zgłoszeń o pożyczenie „czegoś do czytania" miałem tyle, że każda przystępna dla wiejskiego czytelnika książka wędrowała z rąk do rąk. Jak zaś wzrastające zamiłowanie do czytania było między tymi prostymi ludźmi, świadczy następujący szczegół : Biedny stolarz ze wsi nazwiskiem Trochimowicz, Rusin prawosławny, posiadający za cały majątek nędzną ziemiankę, w której z rodziną mieszkał, sam czytać wcale nie umiejący, pożyczał ode mnie książki, które mu syn wyrostek w domu odczytywał. Po przeczytaniu, a raczej po wysłuchaniu przeczytania, odnosił mi książkę z podziękowaniem i prosił o drugą. Nie mógł się dość nachwalić książki p. t. „Zły czar" Jana Żądy. Jeżeli więc czytelnictwo to umoralniający wpływ na ludność wywierało, główna zasługa przypada X. Józefowi Janiszewskiemu.

Prawda, że wiele tych książek bezpowrotnie mi u ludzi zginęło. Ale trudno. Każda ofiara na cel dobry poniesiona zwraca się kiedyś stokrotnym plonem.

Okres powojenny był bardzo ciężki, szczególnie dla zniszczonego rolnika. Ale ja, nawiedzony tyloma nieszczęściami w rodzinie, egzystencję miałem bardziej niż kto inny niewesołą. Brak gotówki dotkliwie odczuć się dawał, jak zwykle na świeżo zakładanym gospodarstwie. I byłbym sobie nie dał tak łatwo rady, gdyby nie bezinteresowna usłużność jednego z moich starych przyjaciół. Jest nim Bartłomiej Broda, rodem z położonej między widłami Wisły i Sanu wsi Wrzawy. Od chłopięcych lat zmuszony on był ciężko pracować jako bezdomny i bezrolny najmita. Łatwiej więc odczuwał niedolę drugich. Będąc wyrostkiem, zarobkował na folwarku, później chodził na flis, a skoro flisy upadły, przyjął służbę gospodarza rolnego, u Feliksa Gutowskiego w Nadbrzeziu, gdzie przesłużył 17 lat. Nie pije on żadnych trunków, nie pali tytoniu. Grosz każdy oszczędzał, wszystkiego sobie odmawiał prawie do skąpstwa.

Dobiegając czterdziestki, miał już uciułaną sumkę półczwarta tysiąca koron, złożoną na książeczkę w tarnobrzeskiej powiatowej kasie oszczędności. W r. 1915 dostał posadę woźnego przy Studium Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tu dalej oszczędzał, ile mógł, wiodąc samotne życie spartanina. Wreszcie spadła na niego klęska. Szalejąca inflacja spowodowała spadek krwawych jego oszczędności - prawie do zera. Mimo tej straty nie zmienił trybu życia, oszczędzał po dawnemu, a skromne te oszczędności nadsyłał mi co pewien czas tytułem pożyczki. Tak więc dzięki uczynności kochanego Bartka dokończyłem jako tako budowę domu, postawiłem stodołę.

Prawda, że wiele tych książek bezpowrotnie mi u ludzi zginęło. Ale trudno. Każda ofiara na cel dobry poniesiona zwraca się kiedyś stokrotnym plonem.

Okres powojenny był bardzo ciężki, szczególnie dla zniszczonego rolnika. Ale ja, nawiedzony tyloma nieszczęściami w rodzinie, egzystencję miałem bardziej niż kto inny niewesołą. Brak gotówki dotkliwie odczuć się dawał, jak zwykle na świeżo założonym gospodarstwie. I byłbym sobie nie dał tak łatwo rady, gdyby nie bezinteresowna usłużność jednego z moich starych przyjaciół. Jest nim Bartłomiej Broda, rodem z położonej między widłami Wisły i Sanu wsi Wrzawy. Od chłopięcych lat zmuszony on był ciężko pracować jako bezdomny i bezrolny najmita. Zatwiej więc odczuwał niedolę drugich. Będąc wyrostkiem, zarobkował na folwarku, później chodził na flis, a skoro flisy upadły, przyjął służbę gospodarza rolnego, u Feliksa Cutowskiego w Nadbrzeziu, gdzie przesłużył 17 lat. Nie pije on żadnych trunków, nie pali tytoniu. Grosz każdy oszczędzał, wszystkiego sobie odmawiał prawie do skąpstwa.

Dobiegając czterdziestki, miał już uciułaną sumkę półczwarta tysiąca koron, złożoną na książeczkę w tarnobrzeskiej powiatowej Kasie sic oszczędności. W r. 1913 dostał posadę woźnego przy Studium Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tu dalej oszczędzał, ile mógł, wiodąc samotne życie spartanina. Wreszcie spadła na niego klęska. Szalejąca inflacja spowodowała spadek krwawych jego oszczędności - prawie do zera. Mimo tej straty nie zmienił trybu życia, oszczędzał po dawnemu, a skromne te oszczędności nadsyłał mi co pewien czas tytułem pożyczki. Tak więc dzięki uczynności kochanego Bartka dokończyłem jako tako budowę domu, postawiłem stodołę.

X.

Z m i a n a s i e d z i b y . - N a w i e l k o p o l s k i e j z i e m i . - C o ś t a m o ź r ó d e ł k u .

„Oj, nie tak się trzyma
Własny cień człowieka,
Jako smutek tego,
Co przed nim ucieka !..
Chodziłem za pługiem,
Chodziłem za broną,
A wszędy poniosłem
Duszę zasmuconą".

Konopnicka.

Powyższe słowa poetki, tak trafnie określające dolę chłopa, śmiało mogę do siebie stosować. Zawsze i wszędzie, gdzie się tylko ruszyłem, „poniosłem duszę zasmuconą", - przecież - wyrażając się słowami Laskowskiego

... „smutki trzymając pod strażą,
szedłem przez życie z uśmiechniętą twarzą",

i nikt, kto przywykł sądzić człowieka li tylko z jego powierzchowności, nigdy nie odgadł, co się w mej duszy działo, a działo się w niej zgoła nie wesoło.

Zauważyłem powoli, że także najmłodsza córka niedomaga i choć pytana odpowiadała stale, że nic jej nie brakuje, ale ójcowskie serce oszukać się nie dało. Więc długa choroba i wreszcie śmierć Broni, potem groźna, choć szczęśliwie przetrwana choroba duru tych dwojga najmłodszych, nakoniec źle wróżące niedomaganie Zosi, - czyżby wszystko to jeszcze nie dopełniało miary ?

By móc zapobiec grożącym nieszczęściom, trzeba być w dużo, w bardzo dużo korzystniejszych warunkach materialnych, inaczej bowiem - jak się wyraził w piśmie do starosty Hłynia minister Raczyński - zginie rodzina. To też poseł Sobek, wcale nie proszony, ale umiejący wniknąć w duszę ludzką, starał się w Głównym Urzędzie Ziemskim o przydzielenie mi 10 mórg ziemi W Gdeszynie, lecz w tej miejscowości ziemi do dyspozycji rząd już nie miał.

Więc w czerwcu 1923 r. wniosłem na ręce posła St. Rymara prośbę do sejmu o przydzielenie mi na dogodnych warunkach odpowiedniego kawałka ziemi z któregoś majątku państwowego. Tę moją prośbę - jak podały komunikaty dziennikarskie - poparli wszyscy członkowie komisji rolnej bez różnicy stronnictw, a ówczesny kierownik Głównego Urzędu Ziemskiego / na ministerst

two reform rolnych później przemianowanego / przyrzekł ją przychylnie załatwić.

Na tym miejscu nie mogę pominąć drobnego, a jednak wiele mówiącego szczegółu. Oto treść rzeczonego komunikatu była tak osobliwa, iż zdawać się mogło, że rząd przydzielił mi g r a t i s jakiś folwark. I rzeczywiście takie musiało być mniemanie czytających, skoro od wielu znajomych, nawet z Ameryki, otrzymałem gratulacje " z powodu podarowania przez rząd folwarku"... O, ironio!

Na skutek rzeczonej prośby ministerstwo reform rolnych pismem z d. 10 lipca 1923 r. Nr. 3470/P.O. przyznało mi 15-hektarów " z zastrzeżeniem, iż z chwilą przydzielenia mi działki ziemi posiadaną w Gdeszynie kolonię odsprzedam małorolnym lub bezrolnym". Zastrzeżenie zresztą zbyteczne, gdyż czyto na uruchomienie nowego gospodarstwa, czy wreszcie na ratowanie chorych dzieci ziemię w Gdeszynie musiałbym sprzedać.

Faktyczny przydział nastąpił dopiero późną jesienią 1924 r. we wsi Karwin ziemi Proszowskiej. Do uprawy nietkniętego pługiem od ostatnich żniw pola można było przystąpić dopiero z wiosną następnego roku, albowiem dzierżawca, powołując się na przysługujące mu prawa dzierżawne do konca grudnia 1924 r., orać zabronił.

W międzyczasie dowiedziałem się, że owa przyznana mi działka projektowana była przedtem do rozdziału między sześciu miejscowych gospodarzy celem uzupełnienia ich karłowatych gospodarstw, oraz że pozostały po rozparcelowanym majątku Karwin 15-hektarowy ośrodek jest w całości do sprzedania. Nie chcąc przeto owym gospodarzom dać powodu do narzekań, iż z mej przyczyny przydział ich ominął, wniosłem do ministerstwa reform rolnych podanie o przydział tegoż ośrodka.

Tymczasem znalazłszy kupca na gdeszyńską kolonię, pobrałem odeń zaliczkę, której część przesłałem do państwowego banku rolnego tytułem zadatku na przyznaną mi działkę w Karwinie, za pozostałą zaś resztę w styczniu 1925 r. wyprawiłem córkę Marię na kurację do Zakopanego.

Podanie moje o przydział ośrodka zostało przychylnie załatwione i zaraz t.j. przy koncu kwietnia 1925 r. na wezwanie powiatowego urzędu ziemskiego w Miechowie przyjechałem do Karwina, by natychmiast mimo spóźnionej pory zająć się uprawą leżącej w całości odłogiem ziemi.

Ośrodek ów - to pożałowania godna ruina. Sporą przestrzeń zajmo-

two reform rolnych późniéj przemianowanego / przyrzekł ją przychylnie załatwić.

Na tym miejscu nie mogę pominąć drobnego, a jednak wiele mówiącego szczegółu. Oto treść rzeczonego komunikatu była tak osobliwa, iż zdawać się mogło, że rząd przydzielił mi g r a t i s jakiś folwark. I rzeczywiście takie musiało być mniemanie czytających, skoro od wielu znajomych, nawet z Ameryki, otrzymałem gratulacje z powodu podarowania przez rząd folwarku"... O, ironio!

Na skutek rzeczonej prośby ministerstwo reform rolnych pismem z d. 10 lipca 1923 r. Nr. 3470/P.O.przyznało mi 15-hektarów" z zastrzeżeniem, iż z chwilą przydzielenia mi działki ziemi posiadaną w Gdeszynie kolonię odsprzedam małorolnym lub bezrolnym". Zastrzeżenie zresztą zbyteczne, gdyż czyto na uruchomienie nowego gospodarstwa, czy wreszcie na ratowanie chorych dzieci ziemię w Gdeszynie musiałbym sprzedać.

Faktyczny przydział nastąpił dopiero późną jesienią 1924 r. we wsi Karwin ziemi Proszowskiej. Do uprawy nietkniętego pługiem od ostatnich żniw pola można było przystąpić dopiero z wiosną następnego roku, albowiem dzierżawca, powołując się na przysługujące mu prawa dzierżawne do końca grudnia 1924 r., orać zabronił.

W międzyczasie dowiedziałem się, że owa przyznana mi działka projektowana była przedtem do rozdziału między sześciu miejscowych gospodarzy celem uzupełnienia ich karłowatych gospodarstw, oraz że pozostały po rozparcelowanym majątku Karwin 15-hektarowy ośrodek jest w całości do sprzedania. Nie chcąc przeto owym gospodarzom dać powodu do narzekań, iż z mej przyczyny przydział ich ominął, wniosłem do ministerstwa reform rolnych podanie o przydział tegoż ośrodka.

Tymczasem znalazłszy kupca na gdeszyńską kolonię, pobrałem odeń zaliczkę, której część przesłałem do państwowego banku rolnego tytułem zadatku na przyznaną mi działkę w Karwinie, za pozostałą zaś resztę w styczniu 1925 r. wyprawiłem córkę Marię na kurację do Zakopanego.

Podanie moje o przydział ośrodka zostało przychylnie załatwione i zaraz t.j. przy końcu kwietnia 1925 r. na wezwanie powiatowego urzędu ziemskiego w Miechowie przyjechałem do Karwina, by natychmiast mimo spóźnionej pory zająć się uprawą leżącej w całości odłogiem ziemi.

Ośrodek ów - to pożałowania godna ruina. Spora przestrzeń zajmo-

wały doły oraz lekką warstwą przykryte rumowiska już to po zburzonych już też po spalonych zabudowaniach gospodarczych, jak zwykle na wielkich, nie mających stałego gospodarza, folwarkach. Ogród dość duży, ale nie ogrodzony, zaniedbany, zdziczały, całkowicie zarosły bezużytecznymi krzakami i odroślami ; drzewa owocowe na pół obumarłe, wypróchniałe, chore. Były w ośrodku tym dawniej stawy rybne, ale z powodu zaniedbania od szeregu lat, zamieniły się w bezużyteczne mokradła. Najgorzej wszakże przedstawiały się budynki - rudery.

Na nowej tej posiadłości gospodarzyłem na razie sam ; rodzina została w Gdeszynie aż do uregulowania stosunków, co wymagało więcej czasu.

W drugiej połowie maja przyjechała do mnie na stałe Zosia. Mąż jej, któremu ona oddała najlepszą swej duszy cząstkę, pracując z poświęceniem mimo dolegającej niemocy nad pogłębieniem jego edukacji, w stosunkowo krótkim czasie okazał się duchowym karłem. Bo nietylko że odmówił jej środków na dalsze leczenie, ale nawet na zwykłe utrzymanie, narażając ją nadto postępowaniem swym na rozstrój nerwów i chorobę serca.

W niedługim czasie po przybyciu Zosi przyjechała z Zakopanego Marysia ze znacznym polepszeniem zdrowia ; a kiedy nieco później przyjechała także na stałe żona, wyprawiłem Zosię za poradą lekarzy do Szczawnicy, gdzie do późnej przebywała jesieni.

Na tym miejscu wspomnieć wypada bodaj pokrótce o dalszych losach gdeszyńskiej szkoły powszechnej.

Skoro z powodu choroby Zosi stanowisko nauczyciela objął zastępczo Ignatowski, przydzielił mu inspektor siłę pomocniczą w osobie młodego nauczyciela, niejakiego Nowaka. Nowy ten nauczyciel wszelako niedługo bawił w Gdeszynie, bowiem Maciej Stopyra postarał się u inspektora o przeniesienie go gdzieindziej, by na jego miejscu umieścić swoją żonę. Po wyjeździe Zosi z Gdeszyna przeniesiono również Ignatowskiego, a miejsce po nim objął brat żony Stopyry, St. Sadowski, b. posiadacz blisko 40 morgów ziemi z rozparcelowanego w Gdeszynie majątku. Wreszcie Stopyra „wypolitykował" dla tejże szkoły jeszcze trzecią siłę, tym razem kierowniczą, w osobie - własnej !

Tak mając gwarancję pewnego oparcia, zabrał się pan Maciej energicznie do stawiania budynku na pomieszczenie szkoły. Pomimo że szkoła

gdeszyńska na własne doskonałe place, postawił Stopyra ten budynek na swoim placu i ze swego materiału z iście amerykańskim pośpiechem - w ciągu kilku tygodni. Pensje nauczycielskie dobre, bo dobre, ale i czynsz z budynku też nie zły.

W drugiej połowie stycznia 1926 r. zaproszony przez X. Janiszewskiego wyjechałem do niego, do Grębanina we Wielkoplsce, dokąd powrócił z Bukowiny. Przyjął mnie i ugościł nadzwyczaj serdecznie, starając się mi we wszystkim dogadzać ; baczył nawet, by mi nie brakło papierosów, bez których ja obejść się nie umiem, a których on jako abstynent nietylko nie pali, ale nawet palenie tytoniu jako szkodliwy nałóg zawzięcie potępia...

Mimo środka zimy panowało wówczas prawie że wiosenne ciepło. Zainicjował więc mój czcigodny gospodarz wycieczkę do Poznania, chciał bowiem, ażebym - jako pierwszy raz na ziemi wielkopolskiej goszczący - z wycieczki tej odniósł większą duchową korzyść. Z Poznania mieliśmy się udać do Gniezna, a stąd w stronę, gdzie

Lśni siną taflą Gopła krynica,
A nad nią jedno z najstarszych miast,
Pierwotnych Polan sławna Kruświca,
Kędy nasz praszczur kołodziej Piast
W dzień ów postrzyżyn syna, wesoły,
W niskich swych progach gościł anioły -

lecz z powodu nieprzewidzianych przeszków Kruświcy z wielkim moim żalem nie mogliśmy zwiedzić.

Zaraz po przyjeździe do Poznania zawiódł mnie X. Józef do swego brata, lekarza Dr.Stanisława Janiszewskiego.Tu, mimo że byłem zupełnie obcy, przyjęty zostałem i ugoszczony po staropolsku. Przenocowawszy u pp. Dr. Janiszewskich, rankiem dnia następnego pojechaliśmy do Gniezna.

Niewysłowionego doznałem uczucia, oparłszy pierwszy raz w życiu stopę na tej kolebce polskiego narodu. Wszak Gniezno, Kruświca i Kraków to miasta, które pierwsze przed innymi polskimi miastami uczyłem się jako siedmioletni chłopak nazywać i pamiętać.

Pierwsze kroki skierowaliśmy ku katedrze, lecz z powodu dokonanej w niej niedawno kradzieży zastaliśmy ją zamkniętą. Więc to tu, na tym wzgórzu, ów przedhistoryczny Lech, znalazłszy gniazdo białych orląt, rzekł do towarzyszów : „Gnieźdźmy się tu!" - i założył około 550 r.osadę,

nazwawszy ją Gnieznem. Tu - jak podają stare kroniki - stała dawniej świątynia pogańska bogini Niji, a Mieczysław I po przyjęciu chrztu św. w r. 965 wystawił na miejscu tym kościół katedralny. Tu pochowano zwłoki Dąbrówki. W tej katedrze spoczywa ciało św. Wojciecha. Tu, do grobu tegoż apostoła r. 1000 pielgrzymował cesarz niemiecki Otton III, a tak był przyjęciem i bogactwem Bolesława Chrobrego olśniony, że włożył mu na głowę koronę królewską.

Cała nasza przeszłość dziejowa stanęła jak żywa przed wyobraźnią moją, gdy w skupieniu ducha poglądałem na te czcigodne mury okazałej świątyni, a uczucia te potęgowało przeświadczenie, że nareszcie po półtorawiekowej niewoli znowu zjednoczona Polska oddycha swobodą.

Wieczorem byliśmy z powrotem w Poznaniu i przenocowawszy u doktorostwa Janiszewskich, na drugi dzień wybraliśmy się na zwiedzenie osobliwości nieznanego mi dotychczas miasta. X. Janiszewski był w roli cicerona. Ale ktoby tam w krótkim czasie wszystko obejrzał ! Tylko katedrze mogłem się bliżej i dłużej przypatrzeć.

W katedrze tej najbardziej podobała się mi kaplica, królewską zwana, w której znajduje się grobowiec z prochami Mieczysława I i Bolesława Chrobrego oraz bronzowe pomniki tychże królów, rzecz chyba najpiękniejsza w całej katedrze. Mieczysław poważny dzierży krzyż na znak, że to za jego panowania naród polski przyjął chrześcijaństwo. Bolesław, cały w zbroję zakuty, o rysach twarzy, znamionujących nieugiętą wolę, lewą ręką wsparty w bok, prawą wsparł na mieczu. Co za siła i dostojność biją z tej postaci ! Jakąż powagę zaklął w te bronzy artysta ! Patrzałbyś, człeku,na pomniki te i patrzał i nie mógłbyś się do woli napatrzeć.

Wiele godnych zwiedzenia osobliwości, jak biblioteka Raczyńskich, ratusz, zamek wilhelmowski i t.d. zastaliśmy ze względu na krótkie dni zimowe - zamknięte i musieliśmy się zadowolić zewnętrznym ich obejrzeniem. Zwiedziliśmy natomiast bliżej wystawę obrazów, oranżerię w ogrodzie botanicznym i ogród zoologiczny, jedyny w Polsce, okazały i pod każdym względem ciekawy zwierzyniec.

W trzecim dniu wycieczki, pożegnawszy się z zacnymi pp.Dr. Janiszewskimi i podziękowawszy im za gościnne przyjęcie, pokrzepiony tu na duchu doznanymi wrażeniami, wyruszyłem z X. Józefem w powrotną drogę.

Wysiedliśmy na stacji Gądki, skąd autem pojechaliśmy do Kórnika. Tu zwiedziliśmy ów wspaniały zamek, przekazany wraz z przyległościami przez ostatniego właściciela, Władysława hr. Zamoyskiego, na własność Rzeczypospolitej Polskiej.

Jest to godna zwiedzenia osobliwość. Sam zamek, zbudowany podobno w XV w., przebudowany w ubiegłym stuleciu, otoczony dokoła głęboką, wodą napełnioną fosą, sprawiałby wrażenie dawnej, mniejszych rozmiarów twierdzy, gdyby nie jego lekka, wdzięczna struktura. Do zamku przylega śliczny i duży, jakkolwiek niezbyt starannie utrzymany park. Tuż obok zamku i parku, szosą zaledwie oddzielona, srebrzy się gładka taflą podłużnego jeziora, w którego wodach przeciwnego brzegu przeglądają się drzewa lasku. Widok naprawdę piękny.

W zamku mieści się bogate muzeum i spora biblioteka, zawierająca cenne rękopisy i stare druki. Na dokładne obejrzenie wszystkiego mieliśmy, niestety, zbyt krótki czas, z prawdziwym przeto żalem wracaliśmy na kolej.

W Grębaninie, wsi położonej pod Kępnem, kościół jest drewniany, zbudowany w XVII w. Jest to jeden z tych dawnych kościołów, jakie już coraz rzadziej spotykamy, otoczony wieńcem starych lip i wiązów, schludnie utrzymany, miłe sprawia wrażenie. Tuż przy kościele ładna, murowana plebania, powstała w r. 1925 dzięki staraniom X. Janiszewskiego. Starą, drewnianą plebanię przeistoczył ten niestrudzony, dbający o oświatę swych parafian kapłan, na dom ludowy, w którym odbywają się zebrania, odczyty i przedstawienia amatorskie. Nieco zaś w bok od plebanii, na sztucznie usypanej wysepce, w samym środku zarybionej sadzawki wzniósł pomnik ku pamięci 85 poległych podczas wielkiej wojny parafian. Czytelnictwo ludowe w Grębaninie ładnie się rozwija. Czasopism rozmaitej treści prenumerują włościanie grębanińscy w ilości coś około 800 egzemplarzy, w tym samego „Przewodnika Katolickiego" z Poznania 270 egzemplarzy. Okazała cyfra !

Budynek szkolny w tejże wsi - jak wogóle większość szkół w b. zaborze pruskim - również godny jest uwagi. Sale przestronne, suche i jasne z dużą ilością sporych okien, ze specjalnymi wentylatorami do przewietrzania, - w porównaniu ze szkołami po wsiach w reszcie Polski, szczególniej w b. Kongresówce, gdzie po dziś dzień większość szkół mieści się w obskurnych, urągających najprymitywniejszym wymogom higieny norach, -

śmiało nazwać można ostatnim wyrazem postępu w tej dziedzinie.

Kierownik tejże szkoły, Jan Wolanin, z powiatu niżańskiego w Małopolsce pochodzący, bardzo zadowolony z obecnej posady, opowiadał mi, że nauczyciele ludowi na wielkopolskiej ziemi dosięgają późnego wieku. Wierzę zupełnie, a nawet przekonany jestem, że dziatwa wychodzi z takiej szkoły z większym zasobem wiedzy i ze sprężystszą elastycznością członków, skoro na czyściutko utrzymanym placu szkolnym znajdują się urządzenia do gimnastyki. Biedne natomiast nauczycielstwo w b. Kongresówce, zmuszone przebywać w ciasnych, zatęchłych, wilgotnych, zimnych i kurzu pełnych lokalach, już w młodych latach traci zdrowie i często gęsto mrze na suchoty.

Do podniesienia gospodarstw i dobrobytu włościan wielkopolskich przyczyniają się niemało starannie utrzymane bite drogi. Po takiej gładkiej drodze jedna para średnich koni bez wysiłku ciągnie dwa, wzdłuż z sobą zczepione, worami zboża wyładowane wozy. Gdy tymczasem w najurodzajniejszych ziemiach Polski, jak w Hrubieszowszczyźnie i w ziemi Proszowskiej, będącej głównym spichrzem Krakowa, stan dróg, szczególnie podczas wilgotnych pór roku, jest tak przeraźliwie okropny, iż częstokroć dwie pary tęgich koni ledwie podołają uciągnąć pusty wóz. To też nieraz na drogach takich spotkać się można z odrażającym widokiem rozrywania przez psy ścierwa padłych z przemęczenia koni.

Obdarowanego książkami, rankiem 3 lutego odwiózł mnie X. Janiszewski do Kępna, a stąd po dłuższej przerwie pieszo odprowadził do stosunkowo odległej od miasta stacji kolejowej, gdzie prawie ze łzami pożegnawszy się z zacnym kapłanem i podziękowawszy mu za tyle okazanej mi serdecznej przyjaźni, wsiadłem do wagonu z pragnieniem jak najrychlejszego stanięcia w domu przy chorej, z utęsknieniem powrotu mego wyglądającej Zosi, by się z nią podzielić doznanymi wrażeniami.

Powróciwszy do Karwina, zauważyłem, że tryskające nieco dalej od domu ocembrowane źródło, przeczysta, ożywcza krynica, było szkaradnie zmącone, przyziemna zaś betonowa cembrowina nazewnątrz i wewnątrz błotem ochlapana, nierówno na spodnim betonie stojąca, wskazywała, że ktoś ją zrzucał. Na wyjaśnienie tej zagadki nie długo czekałem. Oto kilku pomysło-

wych Karwiniaków, wykorzystując moją nieobecność, przyszło tu pewnej nocy i, usunąwszy wierzchni beton, pompując ciągle tryskające źródło i kopiąc i babrząc się w błocie po ciemku, poszukiwało w głębiach źródła ukrytych na jego dnie według miejscowej gadki nieprzeliczonych skarbów ... Ale, niestety, mimo tak żmudnej i niezbyt przyjemnej pracy, wszyscy owi poszukiwacze złota odeszli od źródła z tym samym bogactwem, z jakim byli przyszli.

Na krótko przed tym wypadkiem, nakładem dużych kosztów i żmudnej pracy ukończyłem wybieranie nieużytecznego od szeregu lat stawu. To też patrząc na zbrukaną krynicę, oddałem się żałosnemu rozmyślaniu : Szkoda, że wcześniej psychicznej strony ludzi tutejszych nie poznałem ! Bo byłbym paroma, rzekomo w namule stawu znalezionymi dawnymi monetami ściągnął ich do wybierania szlamu, roboty, do której wielką mieli odrazę... A byliby mi w te pędy nietylko galanto i małym kosztem cały staw wyczyścili, ale tym samym nawet i przyległe moczary osuszyli.

XV.

Śmierć Zosi.- Pożądany gość.- W stronach rodzinnych.- Śmierć Maryni.

Przyjaciel Bartłomiej Broda, dobiegając już pięćdziesiątki, przyszedł do wniosku, że „nie dobrze być człowiekowi samemu" i postanowił się ożenić. Zaprosił nas więc do Krakowa na dzień 18 kwietnia 1926 r., jako termin swego ślubu. Żal mi było opuszczać chorą Zosię, której bez mego towarzystwa zawsze się przykrzyło, ale skoro sama jęła mnie namawiać, bym jechał i przykrego zawodu poczciwemu Bartłomiejowi nie robił, zdecydowałem się jechać z uplanowanym zamiarem, że po uroczystości ślubnej pojadę prosto do Gdeszyna w sprawie ostatecznego uregulowania tam interesów.

Wybrana Bartłomieja, Bronisława Lipczyńska, była ubogą, lecz pracowitą, gospodarną i zabiegliwą, starszą już dziewczyną ze wsi Wierzchosławice. Wieczorem następnego dnia po weselu, które ograniczyło się do skromnej uczty przy udziale szczupłego gronka najbliższych przyjaciół, wyjechałem do Gdeszyna.

Podróż koleją z Krakowa ku Hrubieszowu nietyle z powodu dalekiej drogi, ile z braku dogodnego połączenia, trwa zbyt długo i jest nużąca. Ledwie po męczącej tej drodze cokolwiek wypocząłem, doręczono mi depeszę z wezwaniem do natychmiastowego powrotu do domu z powodu pogorszenia się stanu zdrowia Zosi. Wyjechałem więc najbliższym, wieczornym pociągiem.

Do domu dostałem się w sobotę 24 kwietnia o godz. 11 w nocy. Wróciłem zapóźno ... Powitalny pocałunek złożyłem na zimnym już czole Zosi... Już mnie nie przywitała słodkim uśmiechem kochających swych oczu, zamknąwszy je wieczyście w sześć godzin przed moim powrotem. Przeżyła lat 28

Niestety, nie napisała mi ostatnich słów pożegnania, któreby ulgę sercu przyniosły. Snać brakło jej siły. W ostatnich swych chwilach wzdychała wobec czuwającej przy niej matki, „by tatuś choć na pogrzeb zdołał przyjechać"... W przeddzień śmierci był u niej doktor z Proszowic. Jemu to, nie mogąc mówić, pismem śmiałym i czytelnym nakreśliła następujące słowa : „Brak zupełny siły - ucisk pod sercem wielki, jeść ni pić nie mogę".

Słabo w niej tlejąca iskra życia po moim wyjeździe gasnąć szybko poczęła. Uprzytomniła sobie biedna miejsce, do którego pojechałem ; miej -

XX.

Śmierć Zosi.- Pożądany gość.- W stronach rodzinnych.- Śmierć Maryni.

Przyjaciel Bartłomiej Broda, dobiegając już pięćdziesiątki, przy-szedł do wniosku, że „nie dobrze być człowiekowi samemu" i postanowił się ożenić. Zaprosił nas więc do Krakowa na dzień 18 kwietnia 1926 r., jako termin swego ślubu. Żal mi było opuszczać chorą Zosię, której bez mego towarzystwa zawsze się przykrzyło, ale skoro sama jęła mnie nama-wiać, bym jechał i przykrego zawodu poczciwemu Bartłomiejowi nie robił, zdecydowałem się jechać z uplanowanym zamiarem, że po uroczystości ślub-nej pojadę prosto do Gdeszyna w sprawie ostatecznego uregulowania tam interesów.

Wybrana Bartłomieja, Bronisława Lipczyńska, była uboga, lecz pra-cowita, gospodarna i zabiegliwa, starsza już dziewczyna ze wsi Wierzcho-sławice. Wieczorem następnego dnia po weselu, które ograniczyło się do skromnej uczty przy udziale szczupłego gronka najbliższych przyjaciół, wyjechałem do Gdeszyna.

Podróż koleją z Krakowa ku Hrubieszowu nietyle z powodu dalekiej drogi, ile z braku dogodnego połączenia, trwa zbyt długo i jest nużąca. Ledwie po męczącej tej drodze cokolwiek wypocząłem, doręczono mi depeszę z wezwaniem do natychmiastowego powrotu do domu z powodu pogorszenia się stanu zdrowia Zosi. Wyjechałem więc najbliższym, wieczornym pociągiem.

Do domu dostałem się w sobotę 24 kwietnia o godz. 11 w nocy. Wró-ciłem zapóźno ... Powitalny pocałunek złożyłem na zimnym już czole Zosi.. Już mnie nie przywitała słodkim uśmiechem kochających swych oczu, za-mknąwszy je wieczyście w sześć godzin przed moim powrotem. Przeżyła lat 28. Niestety, nie napisała mi ostatnich słów pożegnania, którby ulgę sercu przyniosły. Snać brakło jej siły. W ostatnich swych chwilach wzdy-chała wobec czuwającej przy niej matki, „by tatuś choć na pogrzeb zdołał przyjechać"... W przeddzień śmierci był u niej doktor z Proszowic. Jemu to, nie mogąc mówić, piórem śmiałym i czytelnym nakreśliła następujące słowa : „Brak zupełny siły - ucisk pod sercem wielki, jeść ni pić nie mogę".

Słabo w niej tlejąca iskra życia po moim wyjeździe gasnąć szybko poczęła. Uprzytomniła sobie biedna miejsce, do którego pojechałem ; miej -

sce, gdzie w szczytną pracę światłodawczą całą swą duszę gorącą włożyła; miejsce, z którym ją tyle drogich sercu wspomnień wiązało ; miejsce wreszcie, gdzie okrutnego doznała zawodu.

Tych odtworzonych w pamięci obrazów niedalekiej przeszłości nie zniosło utęsknione serce i kiedy pod ożywczymi promieniami wiosennego słońca przyroda radością życia zadrgała, serce to zamarło.

....

" Wiosenny powiew, co kwiatów na łące
Zbudził kielichy,
Usta jej zimne, powabne, milczące
Całował cichy,
Leciuchnym drżeniem przejmował zasłony
Czarnej sukienki
I pęk róż dzikich i wianek zielony
W głowach trumienki ...
....
Ach, ona była jak tęcza, co ziemię
Jednoczy z niebem ...
Była skowronkiem dla wioski,co drzemie,
Dla ducha chlebem ...
I była rosą, co rzeźwi o świcie
Zioła mdlejące ...
Była gwiazdeczką, co czuwa w błękicie,
Nim wzejdzie słońce".

Tym ona była, według powyższych słów poetki ludu, dla wioski, gdzie żyła i pracowała, - czym zaś była dla ojca, wysłowić sam nie mogę i nie potrafię, a nie mam pod ręką takiego autora, którym mógłbym się wyręczyć.

Po śmierci Zosi smutek przygniatający zapanował w całym domu. W pracy fizycznej w polu i ogrodzie szukałem ukojenia, a skoro i tu każdy kącik żywo mi ją przypominał, uciekałem do Krakowa, by tam bodaj chwilowo zapomnieć o stracie, boleśnie dręczącej serce.

A do Krakowa mam stosunkowo nie daleko. Z oddalonej 4 km Posądzy, kursującym codziennie między Proszowicami a Krakowem autem, dojeżdża się do podwawelskiego grodu w ciągu jednej godziny. Można również „wąskotorówką" jechać z Posądzy do Kocmyrzowa, skąd już koleją normalną do Krakowa. Koleją jechać wygodniej, auto bowiem bywa zazwyczaj przepełnione, ale jazda pociągami z powodu ciągłego zatrzymywania się krótkimi dystansami na stacjach trwa blisko godzinę dłużej.

Przy końcu września odwiedził mię w Karwinie X. Janiszewski. Niestety, w tymże czasie wąskotorówka była w zastoju, a to z powodu prosto-

sce, gdzie w szczytną pracę światłodawczą całą swą duszę gorącą włożyła; miejsce, z którym ją tyle drogich sercu wspomnień wiązało ; miejsce wreszcie, gdzie okrutnego doznała zawodu.

Tych odtworzonych w pamięci obrazów niedalekiej przeszłości nie zniosło utęsknione serce i kiedy pod ożywczymi promieniami wiosennego słońca przyroda radością życia zadrgała, serce to zamarło.

....

„Wiosenny powiew, co kwiatów na łące
Zbudził kielichy,
Usta jej zimne, poważne, milczące
Całował cichy,
Leciuchnym drżeniem przejmował zasłony
Czarnej sukienki
I pęk róż dzikich i wianek zielony
W głowach trumienki ...
....
Ach, ona była jak tęcza, co ziemię
Jednoczy z niebem ...
Była skowronkiem dla wioski, co drzemie,
Dla ducha chlebem ...
I była rosą, co rzeźwi o świcie
Zioła mdlejące ...
Była gwiazdeczką, co czuwa w błękicie,
Nim wzejdzie słońce".

Tym ona była, według powyższych słów poetki ludu, dla wioski, gdzie żyła i pracowała, - czym zaś była dla ojca, wyrazić sam nie mogę i nie potrafię, a nie mam pod ręką takiego autora, którym mógłbym się wyręczyć.

Po śmierci Zosi smutek przygniatający zapanował w całym domu. W pracy fizycznej w polu i ogrodzie szukałem ukojenia, a skoro i tu każdy kącik żywo mi ją przypominał, uciekałem do Krakowa, by tam bodaj chwilowo zapomnieć o stracie, boleśnie dręczącej serce.

A do Krakowa mam stosunkowo nie daleko. Z oddalonej 4 km Posądzy, kursującym codziennie między Proszowicami a Krakowem autem, dojeżdża się do podwawelskiego grodu w ciągu jednej godziny. Można również „wąskotorówką" jechać z Posądzy do Kocmyrzowa, skąd już koleją normalną do Krakowa. Koleją jechać wygodniej, auto bowiem bywa zazwyczaj przepełnione, ale jazda pociągami z powodu ciągłego zatrzymywania się krótkimi dystansami na stacjach trwa blisko godzinę dłużej.

Przy końcu września odwiedził mię w Karwinie X. Janiszewski. Niestety, w tymże czasie wąskotorówka była w zastoju, a to z powodu prosto-

wania linii tejże kolejki, którą od Posądzy na Proszowice przedłużono do Pińczowa. Nie będąc zaś o dniu przyjazdu miłego gościa uwiadomiony, nie wysłałem koni na kolej. Musiał więc spory kawał drogi od Kocmyrzowa przebyć pieszo. Ale mimo że się w błocie - na szczęście jeszcze nie wielkim - trochę uchlapał, no i kapuśniaczek nieco go zrosił, stanął w moich progach radośnie uśmiechnięty. Bo też mimo dojrzałego już wieku, jest to ksiądz w trudach zahartowany i dłuższe, piesze wycieczki - to dla niego nie nowina.

Złota dusza ! Znając moją serdeczną niedolę, znalazł mimo swych pasterskich obowiązków czas na przebycie dalekiej drogi od Kępna, by mię pocieszyć. Gdy natomiast niejednemu z moich przyjaciół, mieszkających w Krakowie, czy tuż pod Krakowem, droga do Karwina wydaje się nieskończenie daleką i uciążliwą i woleliby jechać do Gdańska, lub choćby nawet do Egiptu.

Wkrótce po odwiedzinach X. Janiszewskiego wybrałem się do stron rodzinnych w Tarnobrzeskie, gdzie odwiedziłem kilku starych znajomych.

Tu zaobserwowałem nowość, mianowicie na gruntach dworskich plantacje buraków cukrowych, którymi zasilano cukrownię w Częstocicach za dawnym kordonem. Mogli się więc tameczni ziemianie przekonać, że produkcja cukrowego buraka opłaca się i że cukrownia w stronach tych miałaby rację bytu, a rzesze okolicznej ludności znalazły by pracę w miejscu i nie byłyby zmuszone tułać się w poszukiwaniu zarobku po obcych krajach. A tylko wygodnictwo odstraszało dziedziców od budowania tak pożądanych dla ogólnego dobrobytu fabryk, miejsce których zajęły niepomiernie mnogie w tych stronach gorzelnie.

Do kopania buraków przychodzili ludzie z odległych nawet wsi, n.p. do Wielowsi aż ze Stalów, kopiąc, czyszcząc i przykrywając kupki buraków za samą tylko nać, której jako karmy dla bydła potrzebowali - a więc za darmo.

Ś. p. Stanisław Szczepanowski w wydanej przed kilkudziesięciu laty swej książce p. t. „Nędza Galicji" przedstawił grozą przejmującą nędzę tego kraju. A nędza ta pochodziła głównie z powodu nieuprzemysłowienia tej części Polski. Bo gdy n.p. w jednym tylko powiecie hrubieszowskim na terenie b. Kongresówki jest kilka cukrowni / przed wojną było coś 7 /, to

na całą ogromną Galicję było i jest ich tylko dwie !

Dalej zauważyłem, że w Nadbrzeziu, tuż pod Sandomierzem, przy głównym trakcie, ładna przestrzeń gruntu z klucza dzikowskiego w pobliżu stacji kolejowej została działkami rozsprzedana. Ziemi tej wszakże nie kupili najbardziej potrzebujący, lecz nabyli ją ludzie majątkowo dobrze sytuowani, a między nimi sporo kolejarzy. Cena bowiem gruntu wynosiła około sześćset amerykańskich dolarów za morgę.

Tą wysoką ceną ziemi, a nie czym innym tłumaczyć chyba należy fakt danej mi w 1919 r. przez hr. Tarnowskiego odmowy na wystosowaną do niego prośbę sprzedania mi w tej właśnie stronie działki ziemi.

W Dzikowie odwiedziłem Jana Słomkę młodszego i Michała Marczaka. Są to szczególnie przyciągający ludzie. Mimo wiedzy, jaką zdobyli w najwyższych uczelniach, a która pozwoliła im zająć poczesne stanowiska społeczne, i mimo że żony ich, również zdobywszy uniwersyteckie wykształcenie, uczą w szkołach średnich, - przyznają się śmiało do swego chłopskiego pochodzenia. Ojciec Jana Słomki, również Jan, b. długoletni wójt dzikowski autor „Pamiętników Włościanina", dziś już / r. 1928 / 85 lat liczący, lecz jeszcze czerstwy staruszek, jest przez syna - profesora - jak również przez resztę swych dzieci czcią najwyższą otaczany. Taką samą czcią otacza profesor Marczak matkę swoją, niezwykle krzepką 80 -letnią góralkę z Grywałdu. Tak ojciec Słomka jako też matka Marczakowa-Oborska noszą się zawsze z wiejska.

Cudowna to zaiste rzecz oglądać w dzisiejszych zepsutych, zmaterializowanych czasach sędziwych prostych wieśniaków w otoczeniu świetnie ubranych dzieci i wnuków.

A znam wielu podrzędnych urzędniczyn i zwykłych dorobkiewiczów, co to zapomniawszy ciężkiej pracy na roli i przywdziawszy modne, miejskie ubranie, wstydzą się swego chłopskiego pochodzenia i unikają zetknięcia z własnymi rodzicami.

Ale tacy właśnie „panowie" i „panie" tego rodzaju postępowaniem wystawiają jak najgorsze świadectwo swej duchowej wartości.

Znakomity nasz poeta podhalański Władysław Orkan, obchodząc w r. 1927 uroczysty jubileusz swej pracy piśmienniczej, w chwili składania mu przez najwyższe sfery literackie i liczne delegacje życzeń, miał przy boku matkę swoją w zwykłym wieśniaczym ubiorze, a ukazując ją zgromadzo-

na całą ogromną Galicję było i jest ich tylko dwie !

Dalej zauważyłem, że w Nadbrzeziu, tuż pod Sandomierzem, przy głównym trakcie, ładna przestrzeń gruntu z klucza dzikowskiego w pobliżu stacji kolejowej została działkami rozsprzedana. Ziemi tej wszakże nie kupili najbardziej potrzebujący, lecz nabyli ją ludzie majątkowo dobrze sytuowani, a między nimi sporo kolejarzy. Cena bowiem gruntu wynosiła około sześćdziesiąt amerykańskich dolarów za morgę.

Tą wysoką ceną ziemi, a nie czym innym tłumaczyć chyba należy fakt danej mi w 1919 r. przez hr. Tarnowskiego odmowy na wystosowaną do niego prośbę sprzedania mi w tej właśnie stronie działki ziemi.

W Dzikowie odwiedziłem Jana Słomkę młodszego i Michała Marczaka. Są to szczególnie przyciągający ludzie. Mimo wiedzy, jaką zdobyli w najwyższych uczelniach, a która pozwoliła im zająć poczesne stanowiska społeczne, i mimo że żony ich, również zdobywszy uniwersyteckie wykształcenie, uczą w szkołach średnich, - przyznają się śmiało do swego chłopskiego pochodzenia. Ojciec Jana Słomki, również Jan, b. długoletni wójt dzikowski autor „Pamiętników Włościanina", dziś już / r. 1928 / 83 lat liczący, lecz jeszcze czerstwy staruszek, jest przez syna - profesora - jak rów - nież przez resztę swych dzieci czcią najwyższą otoczony. Taką samą czcią otacza profesor Marczak matkę swoją, niezwykle krzepką 80 -letnią góralkę z Grywałdu. Tak ojciec Słomka jako też matka Marczakowa-Oborska noszą się zawsze z wiejska.

Cudowną to zaiste rzecz oglądać w dzisiejszych zepsutych, zmaterializowanych czasach sędziwych prostych wieśniaków w otoczeniu świetnie ubranych dzieci i wnuków.

A znam wielu podrzędnych urzędniczyn i zwykłych dorobkiewiczów, co to zapomniawszy ciężkiej pracy na roli i przywdziawszy modne, miejskie ubranie, wstydzą się swego chłopskiego pochodzenia i unikają zetknięcia z własnymi rodzicami.

Ale tacy właśnie „panowie" i „panie" tego rodzaju postępowaniem wystawiają jak najgorsze świadectwo swej duchowej wartości.

Znakomity nasz poeta podhalański Władysław Orkan, obchodząc w r. 1927 uroczysty jubileusz swej pracy piśmienniczej, w chwili składania mu przez najwyższe sfery literackie i liczne delegacje życzeń, miał przy boku matkę swoją w zwykłym wieśniaczym ubiorze, a ukazując ją zgromadzo-

nym wyznał w pokorze, że zasługę, sławę i cześć, jaką dziś odbiera, ma po Bogu tej właśnie wieśniaczce do zawdzięczenia.

W samym Tarnobrzegu nie zabawiłem dłużej nad godzinę, nie mogłem więc zobaczyć się ze starym znajomymi, działającymi społecznie na terenie tak miasta jako też powiatu, by od nich coś usłyszeć.

W latach 1923 -1924 wychodziło w tym mieście lokalne, dwutygodniowe pismo p. t. „Obywatel", a wkrótce po jego upadku powołano do życia nowy dwutygodnik p. t. „Głos Ziemi Tarnobrzeskiej", który także po krótkim istnieniu / przy końcu 1924 r./ przestał wychodzić.

Próby stworzenia dla Tarnobrzega i jego okolic stałego organu prasowego podejmowane były przed trzydziestu laty, a pierwszą wychodzącą tamże gazetą / r. 1900 - 1901 / był dwutygodnik p.t. „Głos Ziemi Sandomierskiej", redagowany przez włościanina Wojciecha Wiącka z Machowa.

Że też Tarnobrzeg nie ma jakoś szczęścia do utrzymania własnego, choćby skromnego pisma ! A wielka szkoda owych ostatnich gazetek, które redagował / częściowo z pomocą finansową tarnobrzeskiego starosty Dra T. Spissa / Dr. Leonard Madej, rodak z tamtejszego powiatu. Wiał z nich czysty duch obywatelski, celem zaś ich było plenienie w okolicy wywrotowych haseł / „Dąbalowszczyzna" /, a zaszczepianie świadomej miłości wskrzeszonej Ojczyzny. Przy ich pomocy utrzymywałem duchową łączność z rodzinnymi stronami. Z pośród drukowanych w nich rozmaitej treści artykułów i publikacyj najbardziej chyba interesującą była historia tarnobrzeskiego powiatu, pióra sumiennego badacza przeszłości tegoż zakątka, wspomnianego już Michała Marczaka, upartego mola książkowego.

Nad podtrzymaniem materialnej egzystencji „Obywatela" jako też „Głosu Ziemi Tarnobrzeskiej" ponoś najwięcej wysilał się długoletni, zasłużony działacz społeczny, sędzia Józef Chalcarz, serdeczny protektor drobnych sierot po poległych w wielkiej wojnie żołnierzach.

Jak z licznych publikacyj Marczaka wynika, cały powiat tarnobrzeski jest bogatą kopalnią pierwszorzędnego znaczenia historycznych wydarzeń, to też dziwić się trzeba, że prócz historyka Erazma Otwinowskiego / koniec XVII i początek XVIII w./ i włościanina Jana Słomki, nikt z tarnobrzeskich rodaków nie próbował nawet silić się nad wydobyciem z ukrycia i przekazaniem potomności tych niezmiernie ciekawych i pouczających dziejów rodzin -

nym wyznał w pokorze, że zasługę, sławę i cześć, jaką dziś odbiera, ma po Bogu tej właśnie wieśniaczce do zawdzięczenia.

W samym Tarnobrzegu nie zabawiłem dłużej nad godzinę, nie mogłem więc zobaczyć się ze starym znajomym, działającym społecznie na terenie tak miasta jako też powiatu, by od nich coś usłyszeć.

W latach 1923 -1924 wychodziło w tym mieście lokalne, dwutygodniowe pismo p. t. „Obywatel", a wkrótce po jego upadku powołano do życia nowy dwutygodnik p. t. „Głos Ziemi Tarnobrzeskiej", który także po krótkim istnieniu / przy końcu 1924 r./ przestał wychodzić.

Próby stworzenia dla Tarnobrzega i jego okolic stałego organu prasowego podejmowane były przed trzydziestu laty, a pierwsza wychodząca tamże gazeta / r. 1900 - 1901 / był dwutygodnik p.t. „Głos Ziemi Sandomierskiej", redagowany przez włościanina Wojciecha Wiącka z Machowa.

Że też Tarnobrzeg nie ma jakoś szczęścia do utrzymania własnego, choćby skromnego pisma ! A wielka szkoda owych ostatnich gazetek, które redagował / częściowo z pomocą finansową tarnobrzeskiego starosty Dra T. Spissa / Dr. Leonard Madej, rodak z tamtejszego powiatu. Wiał z nich czysty duch obywatelski, celem zaś ich było pielenie w okolicy wywrotowych haseł / „Dąbalowszczyzna" /, a zaszczepianie świadomej miłości wskrzeszonej Ojczyzny. Przy ich pomocy utrzymywałem duchową łączność z rodzinnymi stronami. Z pośród drukowanych w nich rozmaitej treści artykułów i publikacyj najbardziej chyba interesującą była historia tarnobrzeskiego powiatu, pióra sumiennego badacza przeszłości tegoż zakątka, wspominanego już Michała Marczaka, upartego mola książkowego.

Nad podtrzymaniem materialnej egzystencji „Obywatela" jako też „Głosu Ziemi Tarnobrzeskiej" ponoć najwięcej wysilał się długoletni, zasłużony działacz społeczny, sędzia Józef Chalcarz, serdeczny protektor drobnych sierot po poległych w wielkiej wojnie żołnierzach.

Jak z licznych publikacyj Marczaka wynika, cały powiat tarnobrzeski jest bogatą kopalnią pierwszorzędnego znaczenia historycznych wydarzeń, to też dziwić się trzeba, że prócz historyka Erazma Otwinowskiego / koniec XVII i początek XVIII w./ i włościanina Jana Słomki, nikt z tarnobrzeskich rodaków nie próbował nawet silić się nad wydobyciem z ukrycia i przekazaniem potomności tych niezmiernie ciekawych i pouczających dziejów rodzin -

nych okolic.

Tak profesor Marczak-Oborski jako też sędzia Chalcarz są to rodowici górale, igraszką losu na tarnobrzeskie płaszczyzny zagnani „dla chleba", - to też na tym większą miłość ze strony Tarnobrzeżan sobie zasłużyli!

Osiadły stale w Tarnobrzegu, prawie od czasu opuszczenia fakultetu prawniczego, sędziwy już dziś mecenas Dr. Antoni Surowiecki, także nie jest rodowitym Tarnobrzeżaninem, a jednak niezmordowaną pracą długich lat położył on na polu tak duchowego jako też ekonomicznego rozwoju miasta i powiatu niespożyte zasługi. Wiele dobrego ma powiat tutejszy i sąsiednie do zawdzięczenia także sędziwemu dziś radcy inżynierowi Janowi Bochniakowi w dziedzinie prac regulacyjnych Wisły, Sanu, Trześniówki i szeregu potoków oraz na polu osuszenia rozległych bagien, drzemiących w obrębie dawnej puszczy sandomierskiej. Radca Bochniak jest ponadto znany z niezwykłej dla każdego przystępności, uczynności.

Córka Maria wkrótce po śmierci Zosi popadła w smutek, stała się małomówna. Pytana, czy jej co nie dolega, odpowiadała zawsze, że jest zdrową. Ale już w styczniu 1927 r. nie mogło ujść mojej uwagi, że choroba, na którą już się była w Zakopanem leczyła, a z której niezupełnie wyszła, poczyna się u niej na nowo objawiać. Środków na kosztowne leczenie nie mogłem odrazu zdobyć i dopiero w początku kwietnia wyprawiłem ją do Zakopanego.

Ale Zakopane już jej nie służyło i coraz bardziej traciła siły, wobec czego w połowie czerwca przywiózłem ją w ciężkim stanie zdrowia do domu. Odtąd reszta sił szybko w niej zanikała i nikomu w domu tajnym już nie było, że dni jej policzone.

Utrudzony na ciernistej ścieżce żywota, w dodatku trapiony zadawnioną chorobą nerek, która obecnie pracować mi nie dozwala, prosiłem w cichości Boga, by ta najmłodsza pociecha mnie przeżyła. Nie przyjął Bóg prośby mojej.

Na krótko przed śmiercią wyraziła się do matki, że nie boi się umierać, a tylko bardzo jej żal, iż musi nas opuścić, i prosiła, by była pochowana obok Zosi. Raz tylko jeden poskarżyła się, że nie zaznaw-

nych okolic.

Tak profesor Marczak Oborski jako też sędzia Chalcarz są to rodowici górale, igraszką losu na tarnobrzeskie piaszczyny zagnani „dla chleba", - to też na tym większą miłość ze strony Tarnobrzeżan sobie zasłużyli!

Osiadły stale w Tarnobrzegu, prawie od czasu opuszczenia fakultetu prawniczego, sędziwy już dziś mecenas Dr. Antoni Surowiecki, także nie jest rodowitym Tarnobrzeżaninem, a jednak niezmordowaną pracą długich lat położył on na polu tak duchowego jako też ekonomicznego rozwoju miasta i powiatu niespożyte zasługi. Wiele dobrego ma powiat tutejszy i sąsiednie do zawdzięczenia także sędziwemu dziś radcy inżynierowi Janowi Bochniakowi w dziedzinie prac regulacyjnych Wisły, Sanu, Trześniówki i szeregu potoków oraz na polu osuszenia rozległych bagien, drzemiących w obrębie dawnej puszczy sandomierskiej. Radca Bochniak jest ponadto znany z niezwykłej dla każdego przystępności, uczynności.

Córka Maria wkrótce po śmierci Zosi popadła w smutek, stała się małomówna. Pytana, czy jej co nie dolega, odpowiadała zawsze, że jest zdrowa. Ale już w styczniu 1927 r. nie mogło ujść mojej uwagi, że choroba, na którą już się była w Zakopanem leczyła, a z której niezupełnie wyszła, poczyna się u niej na nowo objawiać. Środków na kosztowne leczenie nie mogłem odrazu zdobyć i dopiero w początku kwietnia wyprawiłem ją do Zakopanego.

Ale Zakopane już jej nie służyło i coraz bardziej traciła siły, wobec czego w połowie czerwca przywiozłem ją w ciężkim stanie zdrowia do domu. Odtąd resztka sił szybko w niej zanikała i nikomu w domu tajnym już nie było, że dni jej policzone.

Utrudzony na ciernistej ścieżce żywota, w dodatku trapiony zadawnioną chorobą nerek, która obecnie pracować mi nie dozwala, prosiłem w cichości Boga, by ta najmłodsza pociecha mnie przeżyła. Nie przyjął Bóg prośby mojej.

Na krótko przed śmiercią wyraziła się do matki, że nie boi się umierać, a tylko bardzo jej żal, iż musi nas opuścić, i prosiła, by była pochowana obok Zosi. Raz tylko jeden poskarżyła się, że nie zaznaw-

szy w życiu szczęścia i będąc tak młodą, już musi umierać ...

Dziwić się trzeba heroizmowi, z jakim biedne to dziewczę znosiło swoje cierpienia oraz spokojowi, z jakim oczekiwało ostatniej swej godziny. Matkę, skoro tylko rankiem do łoża jej przyszła, zawsze dotykała, by się przekonać, czy nie zaniedbała wdziać na bieliznę trykotów, a zauważone w okryciu braki nalegała uzupełnić. Sama bowiem nabawiwszy się choroby częścią z powodu przeziębienia, poczytywała sobie za święty obowiązek baczyć, by najbliższe jej sercu osoby podobnego losu uniknęły. Również siostrę Julię upominała, by się szanowała i zaziębienia unikała, Obojętna na cierpienia własne, litowała się nad drugimi.

Była chwila, że mimo całego wysiłku woli nie mogłem naporu żałości opanować i upadłszy na pierś drogiej tej istoty, bólem obłąkany wołałem, by nie umierała ... A ona, przygarnąwszy mnie wychudłymi ramionami ku sobie, rozpłakała się również, a gdy po dłuższej chwili z objęć mnie wypuściła, rozkładając bezradnie ramiona, odpowiedziała z beznadziejnym smutkiem : „Muszę umrzeć, muszę ..."

Gdy w ostatnich chwilach czuwałem przy jej łóżku, a brat na boku popłakiwał, zwróciwszy na mnie gasnące oczy, poruszyła wargami : „Mama". Przywołałem z przyległej izby matkę, a skoro przed nią stanęła, umierająca cicho wyszeptała : „Już koniec ... żegnam ..." - i otwarłszy dłoń na przyjęcie zapalonej gromnicy, do ostatniego momentu przytomna, w dn. 28 paźdz. 1927 r. przed godz. 8 rano w dwudziestej wiośnie życia zamknęła na zawsze dobre swe oczy, z których po bladej skroni spłynęła ostatnia, przeczysta łza pożegnania.

Łza ta wniknęła mi do serca. I czuję ją zawsze i będę ją czuł do ostatniego tchnienia.

....

Choć w cienie mogił odeszłyście srogie,
Tak mi się zdaje u schyłku mych lat,
Że was oglądam, córki moje drogie,
Skoro podniosę ducha w inny świat ;
Że, spływające na skrzydłach z obłoku,
Towarzyszycie mi na każdym kroku.
Żem duszę moją ustrzegł od zwątpienia,
Gdy mnie swą ręką srodze dotknął Bóg,
I żem potrafił znieść cicho cierpienia,
Gdy mi ciernisty krwawił stopy głóg -
Wam to zawdzięczam, córki moje miłe,
Coście mi wielką wymodliły siłę.

szy w życiu szczęścia i będąc tak młodą, już musi umierać ...

Dziwić się trzeba heroizmowi, z jakim biedne to dziewczę znosiło swoje cierpienia oraz spokojowi, z jakim oczekiwało ostatniej swej godziny. Matkę, skoro tylko rankiem do łoża jej przyszła, zawsze dotykała, by się przekonać, czy nie zaniedbała wdziać na bieliznę trykotów, a zauważone w okryciu braki nalegała uzupełnić. Sama bowiem nabawiwszy się choroby częścią z powodu przeziębienia, poczytywała sobie za święty obowiązek baczyć, by najbliższe jej sercu osoby podobnego losu uniknęły. Również siostrę Julię upominała, by się szanowała i zaziębienia unikała. Obojętna na cierpienia własne, litowała się nad drugimi.

Była chwila, że mimo całego wysiłku woli nie mogłem naporu żałości opanować i upadłszy na pierś drogiej tej istoty, bólem obłąkany wołałem, by nie umierała ... A ona, przygarnąwszy mnie wychudłymi ramionami ku sobie, rozpłakała się również, a gdy po dłuższej chwili z objęć mnie wypuściła, rozkładając bezradnie ramiona, odpowiedziała z beznadziejnym smutkiem : „Muszę umrzeć, muszę ...”

Gdy w ostatnich chwilach czuwałem przy jej łóżku, a brat na boku popłakiwał, zwróciwszy na mnie gasnące oczy, poruszyła wargami : „Mama”. Przywołałem z przyległej izby matkę, a skoro przed nią stanęła, umierająca cicho wyszeptała : „Już koniec ... żegnam ...” - i otwarłszy dłoń na przyjęcie zapalonej gromnicy, do ostatniego momentu przytomna, w dń 28 paźdz. 1927 r. przed godz. 8 rano w dwudziestej wiośnie życia zamknęła na zawsze dobre swe oczy, z których po bladej skroni spłynęła ostatnia, przeczysta łza pożegnania.

Łza ta wniknęła mi do serca. I czuję ją zawsze i będę ją czuł do ostatniego tchnienia.

....

Choć w ciele mogił odeszłyście srogie,
Tak mi się zdaje u schyłku mych lat,
Że was oglądam, córki moje drogie,
Skoro podniosę ducha w inny świat ;
Że, spływające na skrzydłach z obłoku,
Towarzyszycie mi na każdym kroku.
Żem duszę moją ustrzegł od zwątpienia,
Gdy mnie swą ręką srodze dotknął Bóg,
I żem potrafił znieść cicho cierpienia,
Gdy mi ciernisty krwawił stopy głóg -
Wam to zawdzięczam, córki moje miłe,
Coście mi wielką wymodliły siłę.

I zdaje mi się, że czuję na sobie
Pieściwych waszych ramion słodki splot,
Jak było ongi, w niepowrotnej dobie,
I zdaje mi się, że górny wasz wzlot
Unosi mnie gdzieś w wymarzone światy,
Dokąd zna drogę tylko duch skrzydlaty.
Nieście mnie, nieście, wdzięczne moje córy !
Z tego ogrojca łez nieście mnie wzwyż
Ku srebrnym gwiazdom, w pogodne lazury,
Gdzie Chrystusowy triumfuje krzyż,
Gdzie za cierpienia na arenie świata
Czeka z rąk Stwórcy sowita zapłata.

XII.

Z przygód życia.

Zaznałem w życiu wiele grożących śmiercią, a w najlepszym razie ciężkim kalectwem przygód i z każdej przygody cudownie cało wychodziłem. Snać Stwórca roztoczył nade mną opiekę, by mnie tym ciężej w późniejszych latach doświadczyć.

Oto parę przykładów z lat dawniejszych.

W cukrowni zakrzówieckiej pewnej nocy przy elewatorze ogarniała mię nieprzezwyciężona senność, podczas gdy zajęcie moje wymagało wielkiej czujności. Szukałem więc rozrywki, by senność z oczu spędzić. Pode mną był rozległy dół o gładkiej, kamiennej posadzce, a służył na zsypywanie buraczanych śmieci, z których w dzień kobiety resztki buraków wybierały, same zaś śmieci chłopaki szaflikami po schodach na górę, a stąd na osobny śmietnik wynosili. Były to jednoporęczowe, prymitywne schody, jakich murarze używają, t.j. do połączonych na szerokość dwóch desek poprzybijane były poprzecznie w równych odstępach dla oparcia nóg grubsze szczeble. Było to coś w rodzaju półschodów i półdrabiny.

Na poręczy tych to schodów rozpocząłem gimnastykę, siadając i zjeżdżając w dół. Nabawiwszy się do woli, zachciało mi się w końcu „jechać" na poręczy, wcale jej się nie trzymając. Na nieszczęście nachylenie schodów było zbyt strome, to też zaledwie metr ujechałem, przechyliłem się w tył i ze znacznej wysokości runąłem głową w dół ...

Obserwujący moje figle robotnicy w buraczarni, w ten moment porzuciwszy szufle, pędem przybiegli ku mnie w przekonaniu, że podniosą nieboszczyka ... Lecz ja nie odniosłem poważniejszego szwanku. Bo trzebaż było cudu, że na umiecionej posadzce dołu leżała mało co większa od sporej baraniej czapki chłopskiej kupka miękkich śmieci, na której sam środek głową spadłem. Gdybym był spadł o pół piędzi obok owej kupki, byłybym sobie niezawodnie głowę roztrzaskał. Podniesiono mnie i ułożono na słomie w ciepłej części fabryki, skąd z nastaniem dnia powlokłem się do domu.

Innym razem pracując w kotłowni tejże fabryki, bez koszuli, w samym tylko spodnim okryciu, wyszedłem za ścianę do maszyny t.zw. pompki. Tam nieco na boku zauważyłem dwóch grzejących się chłopaków / było to w stycz-

XII.

Z przygód życia.

Zasnałem w życiu wiele groźnych śmiercią, a w najlepszym razie ciężkim kalectwem przygód i z każdej przygody cudownie cało wychodziłem. Snać Stwórca roztoczył nade mną opiekę, by mnie tym cięźej w późniejszych latach doświadczyć.

Oto parę przykładów z lat dawniejszych.

W cukrowni zakrzówieckiej pewnej nocy przy elewatorze ogarniała mię nieprzezwyciężona senność, podczas gdy zajęcie moje wymagało wielkiej czujności. Szukałem więc rozrywki, by senność z oczu spędzić. Pode mną był rozległy dół o gładkiej, kamiennej posadzce, a służył na zsypywanie buraczanych śmieci, z których w dzień kobiety resztki buraków wybierały, same zaś śmieci chłopaki szaflikami po schodach na górę, a stąd na osobny śmietnik wynosili. Były to jednoporęczowe, prymitywne schody, jakich murarze używają, t.j. do połączonych na szerokość dwóch desek poprzybijane były poprzeczenie w równych odstępach dla oparcia nóg grubsze szczeble. Było to coś w rodzaju półschodów i półdrabiny.

Na poręczy tych to schodów rozpocząłem gimnastykę, siadając i zjeżdżając w dół. Nabawiwszy się do woli, zachciało mi się w końcu „jechać" na poręczy, wcale jej się nie trzymając. Na nieszczęście nachylenie schodów było zbyt strome, to też zaledwie metr ujechałem, przechyliłem się w tył i ze znacznej wysokości runąłem głową w dół ...

Obserwujący moje figle robotnicy w buraczarni, w ten moment porzuciwszy szufle, pędem przybiegli ku mnie w przekonaniu, że podniosą nieboszczyka ... Lecz ja nie odniosłem poważniejszego szwanku. Bo trzebaż było cudu, że na umieciowej posadzce dołu leżała mało co większa od sporej baraniej czapki chłopskiej kupka miękkich śmieci, na której sam środek głową spadłem. Gdybym był spadł o pół piędzi obok owej kupki, byłbym sobie niezawodnie głowę roztrzaskał. Podniesiono mnie i ułożono na słomie w ciepłej części fabryki, skąd z nastaniem dnia powlokłem się do domu.

Innym razem pracując w kotłowni tejże fabryki, bez koszuli, w samym tylko spodnim okryciu, wyszedłem za ścianę do maszyny t.zw. pompki. Tam nieco na boku zauważyłem dwóch grzejących się chłopaków / było to w styczniu

niu/. Skory do psich figlów, postanowiłem puścić w nich „dla prędszej rozgrzewki" strumień ciepłej wody.

Ponieważ otwór osadzonego w ścianie rezerwoaru maszyny kranu, z którego chciałem oblać chłopaków, nie był ku dołowi nagięty i przy otwarciu woda tryskała w linii poziomej, zaopatrzono go w krótką na kształt rogu nagiętą rurkę, którą podczas puszczania wody można było dowolnie, jak wężem gumowym, w boki kierować. Już skierowawszy w stronę chłopaków ową rurkę, miałem kran otworzyć, kiedy spojrzawszy ku dołowi, zobaczyłem leżący w pobliżu mych nóg półłokciowy, drewniany klocek. Dla większej więc wygody przysunąłem sobie ów pieniek i dopiero stanąwszy na nim, otworzyłem kran ...

Wtem nagle rurka, snać słabo drutem przywiązana, oderwała się i silny prąd, nie ciepłej wody – jak mniemałem - lecz gorącej pary uderzył mię prosto w nagą pierś ... Miałem na tyle przytomności i siły, by zamknąć kran i, wstydząc się krzyczeć, umknąłem na swoje miejsce.

I tu doznałem nie tyle kary Bożej za niewczesne zbytki, ile cudownej Opatrzności. Boć gdybym nie był stanął na klocku, para z wysoko umieszczonego kranu byłaby mi buchnęła w samą twarz ... A pierś poparzona została straszliwie. Bąble zaraz wystąpiły, później za najlżejszym poruszeniem ciało formalnie ugotowane pękało, a po kilku tygodniach leżenia ze zastrupiałej już piersi odpadały grube skorupy. Coby się było działo z twarzą ! Ani nosem oddychać, ani ust otworzyć, nie mówiąc już nic o oczach ... Nawet po paru latach od czasu tego wypadku można było z łatwością materię z poparzonej ongiś piersi wyciskać.

W latach późniejszych, terminując u szewca w Tarnobrzegu, pewnego lipcowego podwieczora poszedłem kąpać się do Wisły. Woda brzegiem na znaczną szerokość była w tym miejscu dość płytka, najwyżej do pasa sięgająca, to też amatorów kąpieli różnego wieku była dnia tego spora gromadka.

O jakie 150 kroków w dół rzeki od kąpiących leżały na wodzie tratwy wielkiej ilości drzewa, przygotowanego do spławu i czekającego przyboru wody. Zupełnie nieświadomy działań prądów Wisły, oddaliwszy się od gromadki, szedłem za biegiem fal ku owym tratwom z zamiarem dostania się na nie. A skoro już tylko dwumetrowa przestrzeń dzieliła mnie od tratwy, raptem zapadłem w głębię do pach i jednocześnie grunt począł się mi z pod nóg usuwać, a tuż na metr przede mną wirująca toń uprzytomniła mi, że nad stra-

niu/. Skory do pach figlów, postanowiłem puścić w nich „dla prędszej rozgrzewki" strumień ciepłej wody.

Ponieważ otwór osadzonego w ścianie rezerwoaru maszyny kranu, z którego chciałem oblać chłopaków, nie był ku dołowi nagięty i przy otwarciu woda tryskała w linii poziomej, zaopatrzono go w krótką na kształt rogu nagiętą rurkę, którą podczas puszczania wody można było dowolnie, jak wężem gumowym, w boki kierować. Już skierowawszy w stronę chłopaków ową rurkę, miałem kran otworzyć, kiedy spojrzawszy ku dołowi, zobaczyłem leżący w pobliżu mych nóg półłokciowy, drewniany klocek. Dla większej więc wygody przysunąłem sobie ów pieniek i dopiero stanąwszy na nim, otworzyłem kran ...

Wtem nagle rurka, snać słabo drutem przywiązana, oderwała się i silny prąd, nie ciepłej wody - jak mniemałem - lecz gorącej pary uderzył mię prosto w nagą pierś ... Miałem na tyle przytomności i siły, by zamknąć kran i, wstydząc się krzyczeć, umknąłem na swoje miejsce.

I tu doznałem nie tyle kary Bożej za niewczesne zbytki, ile cudownej Opatrzności. Boć gdybym nie był stanął na klocku, para z wysoko umieszczonego kranu byłaby mi buchnęła w samą twarz ... A pierś poparzona została straszliwie. Bąble zaraz wystąpiły, później za najlżejszym poruszeniem ciało formalnie ugotowane pękało, a po kilku tygodniach leżenia ze zastrupiałej już piersi odpadały grube skorupy. Cóżby się było działo z twarzą i Ani nosem oddychać, ani ust otworzyć, nie mówiąc już nic o oczach ... Nawet po paru latach od czasu tego wypadku można było z łatwością materię z poparzonej ongiś piersi wyciskać.

W latach późniejszych, terminując u szewca w Tarnobrzegu, pewnego lipcowego podwieczora poszedłem kąpać się do Wisły. Woda brzegiem na znaczną szerokość była w tym miejscu dość płytka, najwyżej do pasa sięgająca, to też amatorów kąpieli różnego wieku była dnia tego spora gromadka.

O jakie 150 kroków w dół rzeki od kąpiących leżały na wodzie tratwy wielkiej ilości drzewa, przygotowanego do spławu i czekającego przyboru wody. Zupełnie nieświadomy działań prądów Wisły, oddaliwszy się od gromadki, szedłem za biegiem fal ku owym tratwom z zamiarem dostania się na nie. A skoro już tylko dwumetrowa przestrzeń dzieliła mnie od tratwy, raptem zapadłem w głębię do pach i jednocześnie grunt począł się mi z pod nóg usuwać, a tuż na metr przede mną wirująca toń uprzytomniła mi, że nad stra-

sznąc znajduję się przepaścią. Błyskawicznie zorientowałem się w położeniu. Płynąć pod prąd nie umiałem ; rzucić się zaś naprzód i uczepić rękami końca tratwy - to przedsięwzięcie ryzykowne, bo albo wiry odrazu pod tratwę mnie porwą, albo też mogę sobie głowę o jej bale rozbić i również pójść na spód. Krzyczeć o pomoc byłoby lekkomyślnością, boć tu każdy moment drogi i tylko od przytomności umysłu zawisł ratunek.

Już prawie po szyję w wodzie zanurzony, oparty krawędziami stóp w poprzek prądu na usuwającym się mi gwałtownie z pod nóg piaszczystym, stromo opadającym gruncie, z szybkością, na jaką tylko siły zdobyć się mogły, podnosząc i stawiając pod pchający mnie naprzód prąd nogi, centymetr po centymetrze bokiem pod fale się cofałem, a głuche to zmaganie się z potężnym żywiołem wydało mi się wiecznością. Kiedy nareszcie udało mi się wycofać na dwumetrową odległość od zdradnej otchłani, nogi ze zmęczenia ugięły się pode mną, ale byłem już uratowany.

Kiedyindziej w popołudniowej godzinie poszedłem znowu nad Wisłę pod t.zw. Wianek w Tarnobrzegu z zamiarem wprawienia się w pływaniu. Wokoło żywej duszy nie było. Nie dowierzając już nurtom rzeki, wszedłem do t. zw. „łachy", tamą zaledwie od głównego łożyska Wisły oddzielonej, postanawiając ją wszerz przepłynąć.

Wiosłując rękami i pomagając sobie nogami, płynąłem wolno ku tamie. Na jakie półtora metra od tamy wyczerpany na siłach, sądząc, że woda musi tu być już płytka, opuściłem się - i w tejże chwili zapadłem się w przepaść ...

Ocknąłem się już na tamie. Co się ze mną działo, tego ani wówczas, ani też później wytłumaczyć sobie nie umiałem, ani też nie pamiętam, bym czynił wysiłek ratowania się z topieli. Jakim że cudem - bo inaczej określić wypadku tego nie potrafię - z topieli na środek tamy wyrzucony zostałem ? Fale mnie nie wyrzuciły, bo podczas cichego dnia powierzchnia wody była gładka jak zwierciadło ; z ludzi też nikogo nie było. Więc cud oczywisty.

Nie wiem również, jak długo znajdowałem się pod wodą, a musiałem tam być stosunkowo długo, bo nie mogąc przez dłuższy czas tchu dostać, doznawałem uczucia, że płuca mi pękają, że duszę się. Kto sam nie tonął i nadmiaru wody w siebie nie wchłonął, nigdy nie pojmie, co to za męka nie móc dostać tchu !

Wypadek następujący miał miejsce w latach, gdy dochodziłem dwudziestki. W grudniowy wieczór wyruszyłem z Tarnobrzega do Wrzaw, gdzie podówczas rodzice moi mieszkali. Mimo zimy pola nie były śniegiem przykryte. Kiedy zboczyłem na drogę z Nadbrzezia przez Trześń na Gorzyce prowadzącą, na świecie zalegała już była zupełna ciemność, a śnieg padać począł grubymi płatkami, które wiatr wschodni w twarz mi miotał. Droga bokami pełna była grudy, na której nie chcąc się w ciemności potykać i chodu sobie utrudniać, szedłem gładkim środkiem szosy, spuściwszy głowę, by twarzy na miotający śniegiem wichr nie wystawiać. Widziałem więc ledwie rysującą się przed nogami smugę drogi.

Z natury trochę marzycielsko usposobiony, idąc naprzód, oddałem się dumaniom, pod których wpływem zapomniałem, że środek drogi i to podczas nieprzeniknionych nocnych ciemności, nie jest dla mnie bezpieczny.

Kiedy minąłem most na Trześniówce, nagle przed stopami mymi mignęło jakieś nieuchwytne, fosforyczne światełko. To mię zbudziło z zadumy i obejrzawszy się instynktownie poza siebie, raptem uskoczyłem w bok, a w tejże samej chwili minęła mnie w pełnym biegu czterokonna furmanka, a za nią takaż druga ... W ciemności furman nie mógł mnie dostrzec, a gdyby nawet dostrzegł, nie byłby w stanie rozpędzonych koni ze staczającym się po pochyłej drodze wozem zatrzymać - i gdyby nie owe niepojęte światełko, pod kopytami koni i kołami wozów byłbym niechybnie był zginął.

Takich i tym podobnych zdarzeń z życia mego mógłbym przytoczyć wiele, sądzę jednak, że parę ich wystarczy do wyrobienia sobie dostatecznego pojęcia, wśród jakich niebezpieczeństw Opatrzność krokami mymi kierowała.

Wypadek następujący miał miejsce w latach, gdy dochodziłem dwu - dziestki. W grudniowy wieczór wyruszyłem z Tarnobrzega do Wrzaw, gdzie podówczas rodzice moi mieszkali. Mimo zimy pola nie były śniegiem przy- kryte. Kiedy zboczyłem na drogę z Nadbrzezia przez Trześń na Gorzyce prowadzącą, na świecie zaległa już była zupełna ciemność, a śnieg padać począł grubymi płatkami, które wiatr wschodni w twarz mi miotał. Droga bokami pełna była grudy, na której nie chcąc się w ciemności potykać i chodu sobie utrudniać, szedłem gładkim środkiem szosy, spuściwszy głowę, by twarzy na miotający śniegiem wichr nie wystawiać. Widziałem więc ledwie rysującą się przed nogami smugę drogi.

Z natury trochę marzycielsko usposobiony, idąc naprzód, oddałem się dumaniom, pod których wpływem zapomniałem, że środek drogi i to pod- czas nieprzeniknionych nocnych ciemności, nie jest dla mnie bezpieczny. Kiedy minąłem most na Trześniówce, nagle przed stopami mymi mignę- ło jakieś nieuchwytne, fosforyczne światełko. To mię zbudziło z zadumy i obejrzawszy się instynktownie poza siebie, raptem uskoczyłem w bok, a w tejże samej chwili minęła mnie w pełnym biegu czterokonna furmanka, a za nią także druga ... W ciemności furman nie mógł mnie dostrzec, a gdy- by nawet dostrzegł, nie byłby w stanie rozpędzonych koni ze staczającym się po pochyłej drodze wozem zatrzymać - i gdyby nie owe niepojęte świa- tełko, pod kopytami koni i kołami wozów byłbym niechybnie był zginął.

Takich i tym podobnych zdarzeń z życia mego mógłbym przytoczyć wiele, sądzę jednak, że parę ich wystarczy do wyrobienia sobie dosta - tecznego pojęcia, wśród jakich niebezpieczeństw Opatrzność krokami mymi kierowała.

XIII.

Życie pariasa. - Dzików płonie.

Choć życie biegło mi po grudzie, nie narzekałem, nie skarżyłem się na los, bo skarg i narzekań jałowych, jako nie licujących z godnością męską, nie lubię. Są atoli cierpienia, pod których działaniem najbardziej nawet zahartowana natura ludzka jęknąć musi. Darujcie przeto czytelnicy chwilowej słabości człowieka ułomnego.

Za dwunastoletnią służbę podrzędnego urzędnika XI rangi w tarnobrzeskim Wydziale Powiatowym należała mi się po przejściu w stały stan spoczynku z powodu silnie nadwyrężonego zdrowia dożywotnia emerytura. Tej płacy spoczynkowej, którą Wydział Powiatowy wyznaczał mi w okresie inflacji marki polskiej, nie biorę nawet w rachubę, bowiem wartość tego pieniądza z tygodnia na tydzień malejąca, spadła w końcu do zera.

Z chwilą wprowadzenia nowej waluty - „złotego"- wyznaczył mi Wydział Powiatowy na cały 1924 rok emeryturę w kwocie 60 zł, płatną w miesięcznych ratach ... Na skutek moich usilnych zabiegów, emeryturę tę na następny 1925 r. podwyższono mi do kwoty 180 zł rocznie czyli po 15 zł na miesiąc, - wreszcie skutkiem dalszych starań moich przyznano mi od kwietnia 1927 r. 480 zł rocznie czyli po 40 zł miesięcznie.

To niejednolite oznaczanie przez tarnobrzeski Wydział Powiatowy wysokości należnej mi emerytury samo za siebie aż nadto wiele mówi. Byli wprawdzie w Wydziale członkowie, ujmujący się za moją krzywdą, jak X. Józef Kasprzycki, wicedziekan i proboszcz grębowski, ale ci jako w mniejszości przegłosowani zostali.

Cóż więc było powodem opozycji pewnych członków tegoż Wydziału Powiatowego przeciw przyznaniu najsłuszniej należącej mi się płacy spoczynkowej za nienaganną, sumienną, dwunastoletnią służbę, za wysiłki obowiązku, co zniszczyły mi zdrowie, za pracę, której sam szef kancelarii, aczkolwiek osobiście niezbyt mi przychylny, intenzywność przyznawał ?

Różne owi opozycjoniści wynajdywali przyczyny i rozmaitej natury zarzuty stawiali - snać w myśl maksymy : „Kto chce psa uderzyć, kij zawsze znajdzie".

A oto główniejsze zarzuty :

XIII.

Życie parjasa. - Dzików płonie.

Choć życie biegło mi po grudzie, nie narzekałem, nie skarżyłem się na los, bo skarg i narzekań jałowych, jako nie licujących z godnością męska, nie lubię. Są atoli cierpienia, pod których działaniem najbardziej nawet zahartowana natura ludzka jęknąć musi. Darujcie przeto czytelnicy chwilowej słabości człowieka ułomnego.

Za dwunastoletnią służbę podrzędnego urzędnika XI rangi w tarnobrzeskim Wydziale Powiatowym należała mi się po przejściu w stały stan spoczynku z powodu silnie nadwyrężonego zdrowia dożywotnia emerytura. Tej płacy spoczynkowej, którą Wydział Powiatowy wyznaczał mi w okresie inflacji marki polskiej, nie biorę nawet w rachubę, bowiem wartość tego pieniądza z tygodnia na tydzień malejąca, spadła w końcu do zera.

Z chwilą wprowadzenia nowej waluty - „złotego"- wyznaczył mi Wydział Powiatowy na cały 1924 rok emeryturę w kwocie 60 zł, płatną w miesięcznych ratach ... Na skutek moich usilnych zabiegów, emeryturę tę na następny 1925 r. podwyższono mi do kwoty 180 zł rocznie czyli po 15 zł na miesiąc, - wreszcie skutkiem dalszych starań moich przyznano mi od kwietnia 1927 r. 480 zł rocznie czyli po 40 zł miesięcznie.

To niejednolite oznaczanie przez tarnobrzeski Wydział Powiatowy wysokości należnej mi emerytury samo za siebie aż nadto wiele mówi. Byli wprawdzie w Wydziale członkowie, ujmujący się za moją krzywdą, jak X. Józef Kasprzycki, wicedziekan i proboszcz grębowski, ale ci jako w mniejszości przegłosowani zostali.

Cóż więc było powodem opozycji pewnych członków tegoż Wydziału Powiatowego przeciw przyznaniu najsłuszniej należącej mi się płacy spoczynkowej za nienaganną, sumienną, dwunastoletnią służbę, za wysiłki obowiązku, co zniszczyły mi zdrowie, za pracę, której sam szef kancelarii, aczkolwiek osobiście niezbyt mi przychylny, intensywność przyznawał ?

Różne owi opozycjoniści wynajdywali przyczyny i rozmaitej natury zarzuty stawiali - znać w myśl maksymy : „Kto chce psa uderzyć, kij zawsze znajdzie".

A oto główniejsze zarzuty :

1. iżem w sile wieku zgłosił dymisję ;

2. jakobym nie uiścił wkładek pensyjnych / zarzut to szefa kancelarii / ;

3. iżem sprzedał swoje osiedle w Dzikowie.

Na powyższe zarzuty postaram się pokrótce odpowiedzieć, a bezstronny czytelnik zestawiwszy wyjaśnienie z zarzutem, sam sobie sąd wyrobi.

Ad 1/. Do ustąpienia z posady zmusiła mię moja, coraz ostrzej występująca choroba, która od lata 1919 r. aż do chwili, gdy te słowa kreślę, trapi mnie coraz uporczywiej i pracować nie dozwala. A wiem z doświadczenia, że dla niemocy mojej szef zrozumienia nie miał, - będąc zaś chorym, nie mógłbym jego wymogom zadość uczynić.

Ad 2/. Twierdzenie to jest z gruntu błędne, wkładki bowiem emerytalne uiściłem w całości za cały okres służby, co snadnie w księgach kasowych sprawdzić można. Albowiem z chwilą nadania mi dekretu stabilizacyjnego wpłaciłem do rąk sekretarza wkładki za wszystkie lata wstecz po dzień 1 czerwca 1908 r., następnie co miesiąc wkładki bieżące strącała mi kasa z płacy służbowej.

Ad 3/. Osiedle sprzedać musiałem, było bowiem niepodobieństwem utrzymanie rodziny z jednej morgi pola.

Kto zaś miałby jeszcze wątpliwości co do usprawiedliwienia mego kroku ustąpienia z posady i wywędrowania ze stron rodzinnych, wyzbędzie się ich po rozpatrzeniu się w poniższym cyfrowym zestawieniu mego zarobku i wydatków w najpomyślniejszym roku służby w tarnobrzeskim Wydziale Powiatowym, w normalnym 1913 r., kiedy to miałem najwyższą płacę 1200 K rocznie czyli po 100 K miesięcznie / W latach poprzednich pobierałem kolejno po 60, 70 i 80 K miesięcznie /.

Rodzina moja składała się z ośmiu osób t.j. matki mojej, mnie, żony i pięciorga w wieku szkolnym dzieci.

Wydatki roczne w przybliżeniu wynosiły :

Obuwie / a raczej materiał na nie, bowiem obuwie sam wieczorami robiłem / dla 8 osób przeciętnie po 10 K	80 K.
Ubranie dla 8 osób przeciętnie po 10 K	80 "

1. iżem w sile wieku zgłosił dymisję ;

2. jakobym nie uiścił wkładek pensyjnych / zarzut to szefa kancelarii / ;

3. iżem sprzedał swoje osiedle w Dzikowie.

Na powyższe zarzuty postaram się pokrótce odpowiedzieć, a bezstronny czytelnik zestawiwszy wyjaśnienia z zarzutem, sam sobie sąd wyrobi.

Ad 1/. Do ustąpienia z posady zmusiła mię moja, coraz ostrzej występująca choroba, która od lata 1919 r. aż do chwili, gdy te słowa kreślę, trapi mnie coraz uporczywiej i pracować nie dozwala. A wiem z doświadczenia, że dla niemocy mojej szef zrozumienia nie miał, - będąc zaś chorym, nie mógłbym jego wymogom zadość uczynić.

Ad 2/. Twierdzenie to jest z gruntu błędne, wkładki bowiem emerytalne uiściłem w całości za cały okres służby, co snadnie w księgach kasowych sprawdzić można. Albowiem z chwilą nadania mi dekretu stabilizacyjnego wpłaciłem do rąk sekretarza wkładki za wszystkie lata wstecz po dzień 1 czerwca 1908 r., następnie co miesiąc wkładki bieżące strącała mi kasa z płacy służbowej.

Ad 3/. Osiedle sprzedać musiałem, było bowiem niepodobieństwem utrzymanie rodziny z jednej morgi pola.

Kto zaś miałby jeszcze wątpliwości co do usprawiedliwienia mego kroku ustąpienia z posady i wywędrowania ze stron rodzinnych, wyzbędzie się ich po rozpatrzeniu się w poniższym cyfrowym zestawieniu mego zarobku i wydatków w najpomyślniejszym roku służby w tarnobrzeskim Wydziale Powiatowym, w normalnym 1913 r., kiedy to miałem najwyższą płacę 1200 K rocznie czyli po 100 K miesięcznie / W latach poprzednich pobierałem kolejno po 60, 70 i 80 K miesięcznie /.

Rodzina moja składała się z ośmiu osób t.j. matki mojej, mnie, żony i pięciorga w wieku szkolnym dzieci.

Wydatki roczne w przybliżeniu wynosiły :

Obuwie / a raczej materiał na nie, bowiem obuwie sam wieczorami robiłem / dla 8 osób przeciętnie po 10 K	80 K.
Ubranie dla 8 osób przeciętnie po 10 K	80 "

Bielizna, pościel dla 8 osób przeciętnie po 5 K	40 K.
Książki, zeszyty, bloki i i. przybory szkolne dla 5 dzieci	60 "
Wapno, mydło, nici i i. konieczne drobiazgi	24 "
Opał i światło	100 "
Asekuracja budynków, podatki, wkładki do towarzystw oświatowych i t.p.	90 "
Wydatki na święta doroczne / Wielkanoc i Boże Narodzenie/ po 10 K	20 "
Zbytek osobisty / gazety, korespondencja, tytoń /	16 "
Utrzymanie Zosi w seminarium nauczycielskim	300 "
Pasza dla krowy	około 100 "
Najem koni do uprawy jednomorgowego pola, nawóz, robocizna i t.p.	około 70 "
Poza tym nieraz wypadło zapłacić doktora i aptekę, to znów pękł garnek, pękła miska, pękło szkło lampy, zużyło się coś niezbędnego w domowym gospodarstwie, zjawił się kwestarz, lub ktoś „po proszonym" i t.p. i t.p., co wszystko w sumie mogło wynieść kwotę	około 50 "
Razem	1030 "

Jak zatem świadczą powyższe suche cyfry, oszczędność moja dochodziła do ostatnich granic, a mimo to na konieczne środki żywności pozostało zaledwie 170 K na cały rok, czyli 6 - 7 h dziennie na osobę ...

Zwięźlej mówiąc, siedmioro nas przez całe 12 miesięcy i Zosia przez dwa wakacyjne miesiące żyło wyłącznie z owej jednej morgi pola, albowiem oprócz wykazanych wyżej wydatków musiałem płacić jeszcze raty pożyczki, zaciągniętej w r. 1912 na dokończenie stawianych budynków.

Jakież więc było życie, jak rozwijało się zdrowie pozbawionych wszelkich przyjemności, ciągle głodnych i dygocących z zimna młodych istot ?...

Poinformowana zaś o ciężkim moim położeniu pewna wysoko postawiona osobistość radziła mi „życzliwie", bym „godził wydatki z przychodami"...

Taki jest bilans mojego bytowania w najpomyślniejszym roku. Co się zaś działo podczas wojny i zaraz po wojnie, szkoda nawet wspominać, bo dzieje te większości rodaków dobrze są znane.

Mógłby kto zwrócić uwagę, że jednak wielu funkcjonariuszy, pobierających taką samą, a nawet i niższą pensję, żyło jakoś. Zgadzam się. Lecz trzeba być nieskończenie naiwnym, by sądzić, że owe głodomory egzystują wyłącznie z tejże pensji. Chcąc poznać rzeczywiste życie aktora, nie wystarczy samo obserwowanie występów jego na scenie, lecz trzeba zejść

z wygodnej loży i zajrzeć także za kulisy.

Więc troje moich dzieci z objawami skłonności do suchot zaprzestało chodzić do szkoły. Ja sam, nietylko duchowo, ale i fizycznie wyczerpany, począłem się słaniać. Jakaż więc przyszłość nas czekała ? Miałem że, chroniąc dzieci od śmierci głodowej, posyłać je jako najmity na cudzą grzędę, to już lepiej niechby pracowały na niwie własnej, której nie mogąc posiąść w stronach rodzinnych, poszukałem na kresach. Lecz zapóźno, bo odtąd przez kilka lat z rzędu siliłem się ratować wyniszczone na zdrowiu dzieci - z wynikiem jedynie paroletniego przedłużenia im gasnącego życia i utratą znojnego, długoletniego, skromnego dorobku.

A za to, iżem strony rodzinne porzucił, a raczej przez zawistny los zostałem z nich wygnany, wielu moralistów rzucało na mnie kamieniem potępienia ...

Takie są pobieżnie naszkicowane dzieje tej mojej Odyssei, na zakończenie której użyję zapożyczonych u Krasińskiego słów :

„Ach, żyłem, żyłem w tej przepaści długo,
Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą !
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą.
Jak Dant - za życia - przeszedłem przez piekło ".

W tej właśnie chwili, gdy myśl w strony rodzinne mnie unosi, spóźnione gazety przynoszą mi hiobową wieść, że zamek dzikowski, piękna neogotycka rezydencja hr. Tarnowskich - płonie ...

Ogień wybuchł 21 grudnia 1927 r. o godzinie wpół do trzeciej w nocy.

W nawiedzonym katastrofą pałacu mieściło się wiele cennych zbiorów narodowej kultury, w szczególności sławna biblioteka dzikowska. Ocalało, jak podają gazety, około 60°/o zbiorów. Niestety, podczas ratowania znalazło w ogniu śmierć 9 osób, a kilka odniosło ciężkie rany z poparzenia. Inni zaś, a wśród nich bibliotekarz prof. Marczak, ledwie z życiem uszli. Tego ostatniego wynieśli z pod spadającego sufitu uczniowie gimnazjalni.

Dziwnym zbiegiem okoliczności hrabia w owych dniach - jak pisze krakowski „Czas" - bawił u lekarza w Berlinie ; hrabina z synem Janem na kuracji w Szwajcarii ; jeden z synów zachorował był w Krakowie, a tylko matka właściciela spalonego pałacu, 88-letnia staruszka Zofia z hr. Zamoyskich, była w domu.

Zawiadomieni drogą radiową o klęsce, wszyscy na miejsce katastrofy wrócili.

XIV.

N a   P r o s z o w s k i e j   z i e m i.

Piękna jest i bogata w urodzaje ta ziemia Proszowska, na której tle Kazimierz Brodziński wyśpiewał „Wiesława", ową słoneczną krakowską sielankę. Niestety, ta jej urodzajność pozbawiła ją przed laty właściwych lasów, które lasom zbóż ustąpić miejsca musiały.

Ziemia - matka Kościuszkowskich kosynierów. Ale pamięć na czyny ojców, jakie się ongiś pod niedalekimi Racławicami rozegrały, wśród ludu tutejszego zachowała się na ogół dość słabo. Długa niewola odcisnęła i tu swe wraże piętno.

Siedzę tu na szczątku rozparcelowanych dawnych dóbr biskupów krakowskich. Z paroletniej obserwacji i przykrych doświadczeń doszedłem do wniosku, że ostatni dzierżawcy Karwina nie wywierali snać dodatniego wpływu na miejscową ludność. Zacofania tu dość, dążność do oświaty znikoma, choć sąsiednie wioski, jak Szarbia, Wronin i inne dążą zabiegliwie do swego tak duchowego jako też gospodarczego podniesienia.

Szczególnie pobliska Szarbia, wieś stosunkowo nie duża, ale posiadająca dzielnych mieszkańców, zbiorowością obywatelskich wysiłków wybiła się na czoło okolicznych wiosek. Od r. 1917 powstały w niej następujące stowarzyszenia i spółdzielnie : 1/. Kółko rolnicze, 2/. Dom ludowy, 3/. mleczarnia, 4/. kasa Stefczyka, 5/. Związek młodzieży wiejskiej, 6/. Koło kobiet.

Rzecz prosta, że postęp w sposobie uprawy pól i doborze płodozmianu jako też w hodowli bydła jest tu widoczny.

Duchownemu i gospodarczemu rozwojowi tejże wsi przodują : Tomasz Czarnota, syn jego Kazimierz, Piotr Tomczyk wójt, jako też bracia Marcińscy.

Tomasza Czarnotę poznałem osobiście u wspomnianego wójta Tomczyka wkrótce po moim zamieszkaniu w Karwinie. Jest to małorolny gospodarz, idealny typ chłopa polskiego. Do szkoły nie chodził, mimo to ukochawszy książkę, sam się niepoślednio wyszkolił. Umie nawet pisać wiersze, które rad przy okolicznościach deklamuje. Oto jeden z utworów Czarnoty, ganiący dosadnie nałóg palenia tytoniu, ułożony w formie krakowiaka :

Chłopcy z pod Krakowa, przypatrzmy się zbliska,
Jacy to z nas teraz paskudni ludziska !
Każdziutki mężczyzna prawie tytoń pali,
Gdzie którego ujrzysz - z ust mu się dym wali.

XIV.

N a   P r o s z o w s k i e j   z i e m i.

Piękna jest i bogata w urodzaje ta ziemia Proszowska, na której tle Kazimierz Brodziński wyśpiewał „Wiesława", ową słoneczną krakowską sielankę. Niestety, ta jej urodzajność pozbawiła ją przed laty właściwych lasów, które lasom zbóż ustąpić miejsca musiały.

Ziemia - matka Kościuszkowskich kosynierów. Ale pamięć na czyny ojców, jakie się ongiś pod niedalekimi Racławicami rozegrały, wśród ludu tutejszego zachowała się na ogół dość słabo. Długa niewola odcisnęła i tu swe wraże piętno.

Siedzę tu na szczątku rozparcelowanych dawnych dóbr biskupów krakowskich. Z paroletniej obserwacji i przykrych doświadczeń doszedłem do wniosku, że ostatni dzierżawcy Karwina nie wywierali snać dodatniego wpływu na miejscową ludność. Zacofania tu dość, dążność do oświaty znikoma, choć sąsiednie wioski, jak Szarbia, Wronin i inne dążą zabiegliwie do swego tak duchowego jako też gospodarczego podniesienia.

Szczególnie pobliska Szarbia, wieś stosunkowo nie duża, ale posiadająca dzielnych mieszkańców, zbiorowością obywatelskich wysiłków wybiła się na czoło okolicznych wiosek. Od r. 1917 powstały w niej następujące stowarzyszenia i spółdzielnie : 1/. Kółko rolnicze, 2/. Dom ludowy, 3/. mleczarnia, 4/. kasa Stefczyka, 5/. Związek młodzieży wiejskiej, 6/.Koło kobiet

Rzecz prosta, że postęp w sposobie uprawy pól i doborze płodozmianu jako też w hodowli bydła jest tu widoczny.

Duchowemu i gospodarczemu rozwojowi tejże wsi przodują : Tomasz Czarnota, syn jego Kazimierz, Piotr Tomczyk wójt, jako też bracia Marcińscy.

Tomasza Czarnotę poznałem osobiście u wspomnianego wójta Tomczyka wkrótce po moim zamieszkaniu w Karwinie. Jest to małorolny gospodarz, idealny typ chłopa polskiego. Do szkoły nie chodził,mimo to ukochawszy książkę, sam się niepoślednio wyszkolił. Umie nawet pisać wiersze, które rad przy okolicznościach deklamuje. Oto jeden z utworów Czarnoty, ganiący dosadnie nałóg palenia tytoniu, ułożony w formie krakowiaka :

Chłopcy z pod Krakowa, przypatrzmy się zbliska,
Jacy to z nas teraz paskudni ludziska !
Każdziutki mężczyzna prawie tytoń pali,
Gdzie którego ujrzysz - z ust mu się dym wali.

Dymi się każdemu, jak gdyby z komina,
Żaden się nie wstydzi, lecz jeszcze nadyma.
I niejedna żona powstaje co duchu :
„Wyniósłbyś się z izby, paskudny śmierdziuchu!"
Niejeden na tytoń nawet jajka kradnie
Żonie pokryjomu ... Och, jak to niełado nie !
Niejednejby z mężem milej z ~~mężem~~ było,
Gdyby to śmierdziarstwo z ust mu nie waliło ...
Chciałby pocałować, - żona w nogi za piec :
„Ty paskudny smrodzie, wynoś mi się stąd precz!"
Także i ojcowie wiele na tym tracą,
Bo i chłopcy kradną i żydków bogacą.
Lada smarkacz matce porwie jajek z domu
I niesie do żyda : „Daj prędko tytoniu!"
Niechże się z nas każdy z tą plagą obliczy
I pójdzie śladami tamtych od Pilicy,
Co to uchwalili, pełni w siebie wiary,
Nie palić pod groźbą najsurowszej kary.
Już się żony cieszą, że im lepiej będzie :
Będzie sól i mydło i na światło zbędzie.
Walczmy więc z paleniem ostro, jak kto może,
W czym z całego serca życzę wam : Szczęść Boże !

Utworów swych Czarnota do druku nie posyłał ; pisał je w wolnych od pracy chwilach, ot tak dla własnej przyjemności. Czytałem ich kilka w rękopisie ; są to wiersze nastrojone na ton patriotyczno - religijny.

Młody Kazimierz Czarnota zupełnie wdał się w ojca : z zapałem pracuje społecznie w swojej kochanej Szarbi i od czasu do czasu również wiąże rymy.

W kierunku postępowej gospodarki rolnej dodatni wpływ wywiera na miejscową ludność dwór w Wierzbnie, co to ledwie o miedzę z Karwinem sąsiaduje. Dziedzic Wierzbna, Dr. Teofil Szańkowski, którego hodowli żyto, „wierzbieńskim" zwane, zdobyło zasłużoną sławę nietylko w całej Polsce, ale i poza granicami kraju,- to rolnik zawołany i gospodarz zabiegliwy.

Osobliwością Karwina, której mu inne wioski słusznie zazdroszczą, jest nowy, murowany budynek szkoły powszechnej, do chwili, gdy te słowa kreślę,wprawdzie nie ze wszystkim jeszcze wykończony, ale już na początku roku szkolnego 1927/28 do użytku otwarty. Sprawa budowy tejże szkoły wlokła się od r. 1922.

Oj, byłoż to, było utrapienia co niemiara, zanim szkoła stanęła ! Ludziska bowiem, jakkolwiek dzieci ich dusiły się we wynajmowanej, ciasnej i wilgotnej izbie, a nauczyciel tak z powodu braku odpowiedniej sali, jako też przyzwoitego dla siebie i rodziny swej mieszkania tracił zdrowie, - nie mieli jakoś dla tak ważnej sprawy należytego zrozumienia.

Dymi się każdemu, jak gdyby z komina,
Żaden się nie wstydzi, lecz jeszcze nadyma.
I niejedna żona powstaje co duchu :
„Wyniosłbyś się z izby, paskudny śmierdziuchu!"
Niejeden na tytoń nawet jajka kradnie
Żonie pokryjomu ... Och, jak to nieładnie !
Niejednejby z mężem milej z ~~mężem~~ było,
Gdyby to śmierdziarstwo z ust mu nie waliło ...
Chciałby pocałować, - żona w nogi za piec :
„Ty paskudny smrodzie, wynoś mi się stąd precz!"
Także i ojcowie wiele na tym tracą,
Bo i chłopcy kradną i żydków bogacą.
Lada smarkacz matce porwie jajek z domu
I niesie do żyda : „Daj prędko tytoniu!"
Niechże się z nas każdy z tą plagą obliczy
I pójdzie śladami tamtych od Pilicy,
Co to uchwalili, pełni w siebie wiary,
Nie palić pod groźbą najsurowszej kary.
Już się żony cieszą, że im lepiej będzie :
Będzie sól i mydło i na światło zbędzie.
Walczmy więc z paleniem ostro, jak kto może,
W czym z całego serca życzę wam : Szczęść Boże !

Utworów swych Czarnota do druku nie posyłał ; pisał je w wolnych od pracy chwilach, ot tak dla własnej przyjemności. Czytałem ich kilka w rękopisie ; są to wiersze nastrojone na ton patriotyczno - religijny.

Młody Kazimierz Czarnota zupełnie wdał się w ojca : z zapałem pracuje społecznie w swojej kochanej Szarbi i od czasu do czasu również wiąże rymy.

W kierunku postępowej gospodarki rolnej dodatni wpływ wywiera na miejscową ludność dwór w Wierzbnie, co to ledwie o miedzę z Karwinem sąsiaduje. Dziedzic Wierzbna, Dr. Teofil Szańkowski, którego hodowli żyto, „wierzbieńskim" zwane, zdobyło zasłużoną sławę nietylko w całej Polsce, ale i poza granicami kraju,- to rolnik zawołany i gospodarz zabiegliwy.

Osobliwością Karwina, której mu inne wioski słusznie zazdroszczą, jest nowy, murowany budynek szkoły powszechnej, do chwili, gdy te słowa kreślę,wprawdzie nie ze wszystkim jeszcze wykończony, ale już na początku roku szkolnego 1927/28 do użytku otwarty. Sprawa budowy tejże szkoły wlokła się od r. 1922.

Oj, byłoż to, było utrapienia co niemiara, zanim szkoła stanęła ! Ludziska bowiem, jakkolwiek dzieci ich dusiły się we wynajmowanej, ciasnej i wilgotnej izbie, a nauczyciel tak z powodu braku odpowiedniej sali jako też przyzwoitego dla siebie i rodziny swej mieszkania tracił zdrowie, - nie mieli jakoś dla tak ważnej sprawy należytego zrozumienia.

Drażnił ich głównie przymus bezpłatnej zwózki wszelkiego, na budowę szkoły potrzebnego materiału z oddalonych stron.

Także odnośne władze, od których dobrej woli pomyślne przeprowadzenie budowy zawisło, dość obojętnie sprawę tę traktowały. Nawet zainteresowane w tej sprawie najbliższe wsi - Wierzbno i postępowa Szarbia - wprost nieprzyjaźnie do niej się odnosiły, a to z tej racji, iż z chwilą otwarcia uczelni w Karwinie szkółki w tychże wioskach ulegną zwinięciu, a dzieci do oddalonej karwińskiej szkoły chodzić będą musiały.

Główna zasługa pomyślnego doprowadzenia budowy do końca przypada kierującemu nauczycielowi tejże szkoły, Janowi Chołdzie, który mimo piętrzących się ciągle trudności, niezrażony sarkaniem i wymysłami niechętnych szkole ludzi, - nie spoczął, nie dojadł, nie dospał, lecz niestrudzenie łamał wszelkie zapory i kroczył śmiało naprzód, aż dzieła dokonał.

Czerpiący z tej szkoły wiedzę przyszli obywatele będą w późne lata dzielnego nauczyciela z wdzięcznością wspominać.

Już umieszczona na końcu X rozdziału wzmianka o nocnym poszukiwaniu przez mieszkańców wsi u mnie w studni skarbów, daje wystarczającą miarę intelektu pewnej części tutejszych ludzi. To też na brak urozmaicenia monotonnie płynących mi tu dni skarżyć się nie mogę, aczkolwiek urozmaicenie to bardzo niepożądane.

Jedno z takich urozmaiceń, które szerszym echem po okolicy się rozniosło, miałem w okresie wielkanocnej spowiedzi 1928 r., a to tak było:

W początkach lutego, potrzebując pieniędzy na zapłacenie podatków, sprzedałem miejscowemu kupcowi 10 kwintali owsa. Gotówkę kupiec uiścił, lecz zakupionego owsa od razu nie zabrał. Zboże to mieściło się w spichlerzu, na kupę zsypane. Spichlerz ma dwoje drzwi, z których jedne jako zbyteczne, drągami były od wewnątrz podparte, drugie zaś wejściowe na dobrą kłódkę zamknięte. Pewnej nocy przy końcu marca amatorzy cudzej własności, dostawszy się do spichlerza ciasnym, w ścianie nad ziemią wybitym otworem, odtarasowali drzwi i wynieśli kilka kwintali owsa.

Skoro wczesnym rankiem syn mój dostrzegł kradzież, udał się natychmiast na posterunek policji państwowej w Igołomii z doniesieniem o szkodzie.

Nad wieczorem dopiero przyszło dwóch posterunkowych. Obejrzeli,

Drażnił ich głównie przymus bezpłatnej zwózki wszelkiego, na budowę szkoły potrzebnego materiału z oddalonych stron.

Także odnośne władze, od których dobrej woli pomyślne przeprowadzenie budowy zawisło, dość obojętnie sprawę tę traktowały. Nawet zainteresowane w tej sprawie najbliższe wsi - Wierzbno i postępowa Szarbia - wprost nieprzyjaźnie do niej się odnosiły, a to z tej racji, iż z chwilą otwarcia uczelni w Karwinie szkółki w tychże wioskach ulegną zwinięciu, a dzieci do oddalonej karwińskiej szkoły chodzić będą musiały.

Główna zasługa pomyślnego doprowadzenia budowy do końca przypada kierującemu nauczycielowi tejże szkoły, Janowi Chołdzie, który mimo piętrzących się ciągle trudności, nieszczędzony sarkaniem i wymysłami niechętnych szkole ludzi, - nie spoczął, nie dojadł, nie dospał, lecz niestrudzenie łamał wszelkie zapory i kroczył śmiało naprzód, aż dzieła dokonał.

Czerpiący z tej szkoły wiedzę przyszli obywatele będą w późne lata dzielnego nauczyciela z wdzięcznością wspominać.

Już umieszczona na końcu X rozdziału wzmianka o nocnym poszukiwaniu przez mieszkańców wsi u mnie w studni skarbów, daje wystarczającą miarę intelektu pewnej części tutejszych ludzi. To też na brak urozmaicenia monotonnie płynących mi tu dni skarżyć się nie mogę, aczkolwiek urozmaicenie to bardzo niepożądane.

Jedno z takich urozmaiceń, które szerszym echem po okolicy się rozniosło, miałem w okresie wielkanocnej spowiedzi 1928 r., a to tak było:

W początkach lutego, potrzebując pieniędzy na zapłacenie podatków, sprzedałem miejscowemu kupcowi 10 kwintali owsa. Gotówkę kupiec uiścił, lecz zakupionego owsa od razu nie zabrał. Zboże to mieściło się w spichlerzu, na kupę zsypane. Spichlerz ma dwoje drzwi, z których jedne jako zbyteczne, drągami były od wewnątrz podparte, drugie zaś wejściowe na dobrą kłódkę zamknięte. Pewnej nocy przy końcu marca amatorzy cudzej własności, dostawszy się do spichlerza ciasnym, w ścianie nad ziemią wybitym otworem, odtarasowali drzwi i wynieśli kilka kwintali owsa.

Skoro wczesnym rankiem syn mój dostrzegł kradzież, udał się natychmiast na posterunek policji państwowej w Igołomii z doniesieniem o szkodzie.

Nad wieczorem dopiero przybyło dwóch posterunkowych. Obejrzeli,

wypytali i poszli. Ponieważ była to jednak stosunkowo znaczna kradzież, nad którą trudno przejść do porządku dziennego, więc owi policjanci - których nazwisk lepiej że nie wymienię - chcąc snać okazać swą sprężystość, postanowili działać. Ale widno sami nie bardzo dufali w swój zmysł śledczy, albowiem na trzeci dzien po dokonanej kradzieży dobrali sobie dwóch chłopów z Karwina - niby Sherlocka Holmesa i doktora Watsona - by ci śledztwo im ułatwili. Owi zaś „detektywi", przejęci ważnością powierzonej sobie misji, orzekli z góry, iże złodzieje ukraść owsa nie mogli ... Zeznanie to wystarczyło zupełnie policjantom za powód, by mnie i syna mego zaskarżyć do sądu w Proszowicach o oszustwo ukrycia owsa na szkodę kupca ...

Na rozprawie sądowej zjawił się w sukurs skarżącemu posterunkowemu przodownik policji państwowej z Proszowic, który - jakkolwiek o całej sprawie tyle wiedział, co mu tamten powiedział - domagał się od sądu „surowego ukarania winnych zbrodni popełnionego oszustwa Kurasiów"...

Warto na koniec zaznaczyć, że zaraz po dokonaniu przez policję wstępnego śledztwa odkryliśmy dalszą szkodę, mianowicie skradzenie na strychu spichlerza jeszcze dwu puchowych poduszek, na których ukochana Marysia ostatnie tchnienie wydała. Ale przypatrzywszy się już na wstępie sposobowi śledztwa policji, zamiast ją o tym odkryciu uwiadomić, westchnąłem tylko : Od powietrza, głodu, ognia i wojny - i od podobnej ochrony policyjnej - zachowaj nas Panie !

Dla charakterystyki, jak u nas chrześcian-katolików pojmowane jest siódme przykazanie, przytoczę malenki szczególik.

W jesieni 1926 r. odstawiając dla cukrowni w Chybiu wyprodukowane u siebie buraki, przy ładowaniu ich na wóz doglądałem osobiście, by produkt był czysty. Zajęci robotą ludzie śmiali się z tych moich skrupułów.

Przy wypłacie należytości za dostawione buraki odtrąciła mi cukrownia od każdych stu kilogramów aż po 7 kg rzekomo z powodu „zaśmiecenia" ... A kiedy karwińskiemu sołtysowi wspomniałem o tej niesprawiedliwości, ten rzekł dosadnie : -„A, widzi pan !...Niech się pan uczy kraść".

Powiadają, że „bieda jest złym doradcą". Całkiem słusznie. Ale też prawdą jest i to,że „przykład idzie z góry", jak w przytoczonym z burakami wypadku.

Przyznać trzeba, że mieszkańcy Karwina nie mają raju na ziemi. Wiele rodzin, szczególnie wśród osadników, nie ma dachu nad głową, nie ma gdzie chudoby pomieścić, a znaczna część mieszkańców tonie w długach, jak to się mówi „po uszy". Więc niemal wszyscy, chociażby mieli jedną tylko krowinę, ostatnią kapkę mleka odnoszą do mleczarni szarbiańskiej, byle tylko koniec z końcem jakoś związać, zadawalając się przy odżywianiu mlekiem odtłuszczonym.

Tymczasem spadają na nich ciężary w postaci różnych powinności, jakie udźwignąć trudno. Bo prócz świadczeń na rzecz budowy szkoły, prócz uciążliwego przymusu szarwarkowego na tutejszych, przedpotopowych drogach, oraz nakazanych bezpłatnych robót i podwód przy rozpoczętej w r. 1927 budowie szosy na starej drodze z Posądzy przez Wierzbno do Igołomii prowadzącej, wreszcie nadmiernych podatków i różnych, także przymusowych opłat, jak asekuracje i t.p. - gniotą ludność niepomiernie także parafialne ciężary.

Już z chwilą objęcia gospodarstwa w Karwinie musiałem od każdej morgi nabytej ziemi, bez względu na to, czy to odłóg, czy nieużytek, złożyć pewien datek na kupno kawałka pola, potrzebnego na rozszerzenie parafialnego cmentarza w Poborowicach. Zaraz potem proboszcz, X. Wojciech Dunal, ściągał z parafian po 1 zł z każdej morgi posiadanego gruntu na sprawienie szat liturgicznych, - wreszcie obłożył nas podatkiem po 2 zł z morgi na postawienie mu nowej stodoły ...

Do użytku proboszcza było do niedawna 8 mórg pola w Poborowicach, w ostatnich jednak czasach przybyło mu jeszcze 12 mórg z rozparcelowanego w sąsiednich Wiąckowicach majątku państwowego. Przedstawiali ludzie proboszczowi, by owe 12 mórg puścił na lat parę w dzierżawę i za uzyskany tą drogą czynsz stodołę sobie postawił, albowiem owe 8 morgów i dotychczasowa stodoła mogą mu na razie wystarczyć, tak, jak przez długie lata starczyły poprzednim proboszczom, - lecz darmo! - „Płaćcie i płaćcie !" - woła, nie chcąc zrozumieć nagiego faktu, że wiele dzieci chłopskich nie ma nietylko butów, ale i koszul, że u wielu brak grosza na ratowanie chorych członków rodziny.

A skoro wołania jego o pieniądze nie zawsze odnosiły pożądany dlań skutek, w niejednym wypadku uciekł się do sposobu wymuszań przy u -

dzielaniu posług religijnych, wreszcie począł zalegającycych wypominać z ambony ...

To też i ludziska nie przebierają w środkach zdobycia „dóbr doczesnych" i niejedni nie wstydzą się twierdzić, że„ukraść - to nie grzech" ... Jest to swoiste rozumowanie : Ukradnę, zapłacę ; pójdę do spowiedzi, otrzymam rozgrzeszenie - i będę dobrym katolikiem ...

Z jednej strony prawdziwa, z przed wieku pańszczyzna w wieku dwudziestym, z drugiej wyrywa się z gardła okrzyk : Światła ! Więcej światła !

dzielenia posług religijnych, wreszcie począł zalegających wypominać z ambony ...

To też i ludziska nie przebierają w środkach zdobycia „dóbr doczesnych" i niejedni nie wstydzą się twierdzić, że „ukraść - to nie grzech" ... Jest to swoiste rozumowanie : Ukradnę, zapłacę ; pójdę do spowiedzi, otrzymam rozgrzeszenie - i będę dobrym katolikiem ...

Z jednej strony prawdziwe, z przed wieku pańszczyźniane w wieku dwudziestym, z drugiej wyrywa się z gardła okrzyk : Światła ! Więcej światła !

XV.

Śpiewajcie pieśni !

„Wiek rozwiał me marzenia,
Znikł urok błogich lat,
Ach, inne dziś wrażenia,
Gdy rzucę okiem w świat".

Skoro obecnie cofnę się myślą w ubiegłe lata młodości, co prawda smutnej i chmurnej, lecz i górnej, przychodzi mi na pamięć powyższa zwrotka pieśni do Anioła Stróża, przez moich rodziców każdego dnia rano i wieczorem w czasie mych pacholęcych lat śpiewanej.

I błogosławię pamięć w Bogu spoczywających rodziców za owe pieśni, co upoiwszy melodią swą moją jeszcze niewinną, młodocianą duszę, były dla niej w następnych latach tarczą, od której wszelkie zło odbijało się, „jak piasek od pancerza".

I były, jak ów nektar upojny, co rzeźwiąc w straszliwym zmaganiu się z przeciwnościami życia słaniające się ciało i mdlejącą duszę, podnieca siły do wytrwałego kroczenia mimo tysięcznych przeszkód naprzód ku wytkniętemu celowi.

Powiedział wieszcz :

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało".

I wielką prawdę powiedział. Z wszystkiego, co życie mi dało, pozostała tylko pieśń. Pieśń w duszy zaklęta.

I kiedy świat zmienił się dla mnie w grób milczenia, pieśń ta ciągle w duszy mi grała. Niemilknąca, niewyczerpana tworzyła z siebie pieśni nowe.

Pieśni nieme, a jednak głośne, tak głośne, że potęgą dźwięku swego głuszyły zgrzyty złych mocy zwątpienia.

Szedłem więc naprzód wytrwale przez ciernie żywota, aż u schyłku lat moich wkroczyłem w królestwo milczącego smutku.

I widzę dziś świat inny, całkiem inny od świata ongi marzonego.

„Wiek rozwiał me marzenia,
Znikł urok młodych lat"...

A jeżeli nie załamałem bezradnie rąk, jeżeli z gestem niechęci

XV.

Śpiewajcie pieśni !

„Wiek rozwiał me marzenia,
Znikł urok błogich lat,
Ach, inne dziś wrażenia,
Gdy rzucę okiem w świat".

Skoro obecnie cofnę się myślą w ubiegłe lata młodości, co prawda smutnej i chmurnej, lecz i górnej, przychodzi mi na pamięć powyższa zwrotka pieśni do Anioła Stróża, przez moich rodziców każdego dnia rano i wieczorem w czasie mych pacholęcych lat śpiewanej.

I błogosławię pamięć w Bogu spoczywających rodziców za owe pieśni, co upoiwszy melodią swą moją jeszcze niewinną, młodocianą duszę, były dla niej w następnych latach tarczą, od której wszelkie zło odbijało się, „jak piasek od pancerza".

I były, jak ów nektar upojny, co rzeźwiąc w straszliwym zmaganiu się z przeciwnościami życia słaniające się ciało i mdlejącą duszę, podniecą siły do wytrwałego kroczenia mimo tysięcznych przeszkód naprzód ku wytkniętemu celowi.

Powiedział wieszcz :

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało".

I wielką prawdę powiedział. Z wszystkiego, co życie mi dało, pozostała tylko pieśń. Pieśń w duszy zaklęta.

I kiedy świat zmienił się dla mnie w grób milczenia, pieśń ta ciągle w duszy mi grała. Niemilknąca, niewyczerpana tworzyła z siebie pieśni nowe.

Pieśni nieme, a jednak głośne, tak głośne, że potęgą dźwięku swego głuszyły zgrzyty złych mocy zwątpienia.

Szedłem więc naprzód wytrwale przez ciernie żywota, aż u schyłku lat moich wkroczyłem w królestwo milczącego smutku.

I widzę dziś świat inny, całkiem inny od świata ongi marzonego.

„Wiek rozwiał me marzenia,
Znikł urok młodych lat"...

A jeżeli nie załamałem bezradnie rąk, jeżeli z gestem niechęci

nie odwróciłem się od dzisiejszego otoczenia, zasługa to pieśni.

Pieśni przez rodziców w dniach dziecięctwa mego śpiewanej. Co jak nić złota wiąże mię z przeszłością.

„Ach, inne dziś wrażenia,
Gdy rzucę okiem w świat".

Inne i niepociągające. Żyję tym, co minęło i tym, co mnie czeka.

Za ojcami wierni przyjaciele w grób się położyli.

I zginął bez śladu czasu wielkiej wojny najmłodszy mój brat Władysław.

I umarł w pięknym dniu majowym 1923 r. w stolicy rakuskiej ziemi młodszy brat Franciszek, a wieść o śmierci jego doszła mię po roku.

Zostałem sam jeden - najstarszy i ułomny.

Zostałem, bym patrzał pełnymi łez oczyma na odchodzące w krainę wieczności córki moje - w najpiękniejszych wiosen rozkwicie. Nadzieje starości mojej. W świętym wypełnianiu czwartego przykazania wzory do naśladowania piękne.

*

* *

Matki polskie ! Nad kołyskami dzieci waszych śpiewajcie pieśni. Śpiewajcie im przez cały czas pacholęctwa ich.

Ciało ich piersią waszą karmcie, a dusze ich pieśnią krzepcie! Pieśnią nieskażoną, ojczystą.

A mocne i na wszelkie zło odporne i na wszystkie niedole hartowne będą ich dusze.

I błogosławić będą pamięć waszą.

A u kresu życiowej wędrówki nie cienie ponure, a jasność w tęczowej otoczy oglądać przed sobą będą.

Więc śpiewajcie pieśni !

nie odwróciłem się od dziecięcego otoczenia, zasługa to pieśni. Pieśni przez rodziców w dniach dziecięctwa mego śpiewanej. Co jak nić złota wiąże mię z przeszłością.

„Ach, inne dziś wrażenia,
Gdy rzucę okiem w świat".

Inne i niepocieszające. Żyję tym, co minęło i tym, co mnie czeka.

Za ojcami wierni przyjaciele w grób się położyli.

I zginął bez śladu czasu wielkiej wojny najmłodszy mój brat Władysław.

I umarł w pięknym dniu majowym 1923 r. w stolicy rakuskiej ziemi młodszy brat Franciszek, a wieść o śmierci jego doszła mię po roku.

Zostałem sam jeden - najstarszy i ułomny.

Zostałem, bym patrzał pełnymi łez oczyma na odchodzące w krainę wieczności córki moje - w najpiękniejszych wiosen rozkwicie. Nadzieję starości mojej. W świętym wypełnianiu czwartego przykazania wzory do naśladowania piękne.

*
* *

Matki polskie ! Nad kołyskami dzieci waszych śpiewajcie pieśni. Śpiewajcie im przez cały czas pacholęctwa ich.

Ciało ich piersią waszą karmcie, a dusze ich pieśnią krzepcie. Pieśnią nieskażoną, ojczystą.

A mocne i na wszelkie zło odporne i na wszystkie niedole hartowne będą ich dusze.

I błogosławić będą pamięć waszą.

A u kresu życiowej wędrówki nie cienie ponure, a jasność w tęczowej otoczy oglądać przed sobą będą.

Więc śpiewajcie pieśni !

Indeks osobowy.

I n d e k s   m i e j s c o w o ś c i